W006

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 3/606 1998

• « La Culture » • Revue mensuelle •

E. ŁĘTOWSKA: **BYĆ SĘDZIĄ W TRUDNYCH CZASACH**

M. NOWAKOWSKI: **REDA**

K. BAUMGARTEN: **RÓWNOWAGA STRACHU**

A. STACH: **PATRIOTYZM A PRAGMATYZM**

SPIS RZECZY

Andrzej Koraszewski:	*Inteligencja na drodze do kapitalizmu*	3
Ewa Łętowska:	*Być sędzią w trudnych czasach*	16
Marek Nowakowski:	*Reda*	27

WIERSZE

Wojciech Kawiński:	*Syn marnotrawny*	46
Grzegorz Wróblewski:	*(Za chwilę stanie się coś niedobrego). – Już niedługo się znów zobaczymy*	47
Adam Lizakowski:	*Prezes. – Wydawca polonijnego pisma*	48

ARCHIWUM POLITYCZNE

Karol Baumgarten:	*Równowaga strachu?*	51

KRAJ

Smecz:	*Z ukosa*	62
Ewa Berberyusz:	*Kartki ze skażonej strefy*	78

SPRAWY I TROSKI

Andrzej Stach:	*Patriotyzm a pragmatyzm*	84
Grażyna Pomian:	*Cmentarz powązkowski*	93
Aureliusz M. Pędziwol:	*Na marginesie „skażonych kartek”*	100

SĄSIEDZI

Bohdan Osadczuk:	*Wyborcza mapa Ukrainy*	105

NOTATKI REDAKTORA 110

KRONIKA KULTURALNA

J. Zdzisław Szyłeyko	*Kryzys postępu*	119
–	*Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej*	126
–	*Nagrody*	130
–	*Stypendia Fundacji im. Marii i Zygmunta Zaleskich*	133

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 176

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec/Mars 1998

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy) – DM 100,00	F.	330,00
Zygmunt Albert, Schiffdorf (Niemcy) – zamiast kwiatów na grób Pani Adeli Marii Żeleńskiej, zmarłej 24.11.1997	F.	500,00
Leszek Bednarski, Halifax (Kanada)	F.	400,00
Teodor i Fanni Błachutowie, Ottawa ON – zamiast kwiatów na trumnę Maki Sożańskiej, zmarłej w Ottawie 18.12.1997 r. – dol.can. 50,00	F.	210,00
Aleksander Bragiński, Jülich-Steinstrass (Niemcy) – po raz 48-my	F.	612,71
Wanda i Irena Brysz, Genewa – w 6-tą rocznicę śmierci Juliana Brysza, naszego Męża i Ojca	F.	500,00
Zbigniew Brzeziński, Waszyngton – po raz 28-my – dol. 500,00	F.	3.000,00
Czesław Deminet, Albuquerque, NM (USA) – po raz 25-ty dol. 34,00	F.	204,00
Dla uczczenia pamięci naszego Przyjaciela Jana Halperna w piątą rocznicę Jego śmierci – Maria Strelcyn	F.	100,00
Maria i Wojciech Hermanowscy, Nowy Jork – dla uczczenia pamięci naszego Szwagra i Brata Andrzeja Hermanowskiego, w szóstą rocznicę Jego śmierci	F.	325,00
Jerzy Jóźwicki, Malmo (Szwecja)	F.	126,58
Dr Stanisław Judek, Ottawa ON – po raz 22-gi – dol. can. 100,00	F.	420,00
Kazimierz Karwowski, Etobicoke, Toronto ON (Kanada) – po raz 6-ty	F.	170,00
Karol J. Krótki, Edmonton, Alta (Kanada) – po raz 21-szy	F.	200,00
Jerzy Lipschytz, Göteborg (Szwecja) – po raz 4-ty, SEC 150,00	F.	113,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja) – po raz 16-ty	F.	100,00
Piłsudski Institute of America, New York (nadesłała Danuta Cisek) – dol. 100,00	F.	600,00
Janusz i Maria Rakowscy, Zurich – zamiast kwiatów na grób śp. Adeli Żeleńskiej	F.	200,00
Prof. Henryk Ratajczak, Paryż – po raz 6-ty	F.	500,00
Dr med. Władysław W. Socha, Upper Grandview, NY – po raz 21-szy – dol. 20,00	F.	120,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA) – po raz 38-my – dol. 81,00	F.	486,00
Dr Wojciech M. Szczygielski, Unionville ON (Kanada) – pragnąc przypomnieć postać Bronisława Pierackiego (1895-1934), czł. ZWC i „Strzelca", legionisty (ciężko rannego dcy 7 komp. II baonu w przeciwnatarciu pod Jastkowem), kmda POW oraz dcy IV odcinka (Szkoła Sienkiewicza i Dworzec Główny) w walkach o Lwów, zast. Szefa Sztabu Gen. I generała WP, kawalera Orderu Orła Białego, posła do Sejmu, min. spraw wewn., wicepremiera, jednego z najbliższych współpracowników Marszałka Piłsudskiego, rzecznika koncepcji państwowej oraz ugody z Ukraińcami, ofiary zamachu politycznego – dol.can. 100,00	F.	420,00

Ciąg dalszy WPŁAT na str. 175

Inteligencja na drodze do kapitalizmu

Byt określa świadomość, a niebyt jej brak. Tak studenci socjologii kwitowali na początku „polskiej drogi do socjalizmu" marksistowską wersję filozofii społecznej. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych, na Uniwersytecie Warszawskim, nasi nauczyciele zupełnie otwarcie mówili nam o ograniczeniach marksizmu, a wykładowcy-marksiści o możliwościach wykorzystania tej doktryny dla krytyki otaczającej nas rzeczywistości. Klasycznymi przedstawicielami tej pierwszej grupy byli Ossowscy, tej drugiej Julian Hochfeld, ale oczywiście dotyczyło to również młodszych pracowników naukowych i asystentów.

W okresie stalinowskim socjologię uważano za naukę burżuazyjną i dopiero w roku 1957 na uniwersytetach otworzono ponownie wydziały socjologiczne. Ten pierwszy po długiej przerwie rocznik studentów socjologii traktowany był przez kadrę profesorską szczególnie, chociaż zapewne nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę z faktu, ze studiowaliśmy w dość niezwykłej atmosferze.

Socjologia jest raczej wiedzą niż nauką, wyjaśniał grupce niezupełnie dorosłych ludzi Stanisław Ossowski, a my słuchaliśmy, nie zdając sobie sprawy z tego, że otrzymujemy bardzo poważne ostrzeżenie, że jesteśmy zachęcani do sceptycznego oglądu wszelkich teorii socjologicznych, do unikania nazbyt kategorycznych sądów i klasyfikowania własnych opinii o społeczeństwie jako Nauki.

Kiedy zaczynałem szkołę średnią byłem całkowicie zdecydowany na studia, które pozwoliłyby mi później na

zamknięcie się w odległej od miejskiego zgiełku leśniczówce. Moim ideałem był las, studia biologiczne, ucieczka od wszelkiej polityki i dobre książki. Do takich dziecięcych marzeń popychała zapewne atmosfera stalinizmu, syberyjska legenda dziadka, rozmowy z moim ojcem. Uczyłem się w Technikum Księgarskim. Ojciec posłał nas do technikum, w głębokim przekonaniu, że dzieci oficera Armii Krajowej nie będą miały żadnej szansy na studia i że w tej sytuacji trzeba zdobyć jakiś zawód na wczesnym etapie. W maju 1956 roku jako księgarski praktykant pomagałem przy konwojowaniu książek przeznaczonych na przemiał. Mimo surowego zakazu zabrałem kilka książek z ciężarówki – „Meteor" Karola Čapka, „Bitwę pod Valley Forge" Howarda Fasta i zbiór artykułów Wacława Nałkowskiego. Wszystkie te trzy książki w jakiś sposób okazały się dla mnie ważne – Čapek rozpoczął trwającą do dziś przygodę z literaturą czeską, Fast wciągnął w zainteresowanie historią Stanów Zjednoczonych, a Nałkowski popchnął mnie w kierunku socjologii. Jeszcze przed studiami sięgnąłem po lekturę Krzywickiego i przypadkiem zetknąłem się z kilkoma artykułami Mieroszewskiego. Za pośrednictwem lektur i mojej polonistki, Marii Baranowskiej, wcześnie zetknąłem się z lewicą zupełnie inną, aniżeli ta, którą reprezentowały rządzące w Polsce władze. Ojciec, przedwojenny oficer artylerii, był pozytywistą, zwolennikiem pracy u podstaw, głęboko przekonanym, że Polacy wszystkie nieszczęścia ściągnęli sobie na głowę sami, był krytyczny wobec Kościoła i prawicy, ale odległy od socjalistycznych ciągot. Patrzył podejrzliwie na moje zainteresowanie Krzywickim, z oficerską rubasznością twierdząc, że w końcu lepsze to niż onanizm wyobraźni polskich romantyków.

Oczywiście na mój wybór kierunku studiów wpływała również historia. Czerwiec i Październik 1956 roku, sowiecka inwazja na Węgry. Nasze dorastanie zbiegło się z eksplozją politycznych dyskusji w domu i w szkole, z niespodziewanym zainteresowaniem prasą, nie tylko wojowniczym *Po prostu*, ale i partyjnymi *Nowymi Drogami*, *Przeglądem Kulturalnym* i poznańskimi lokalnymi gazetami, które z pewnością odwagą nie grzeszyły, ale jednak radykalnie zmieniły ton.

Na drugim roku studiów, jako niespełna dwudziestoletni student, przeczytałem wydaną wówczas książkę łódzkiego

socjologa, Józefa Chałasińskiego, „Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej". Dlaczego właśnie ta książka była dla mnie wstrząsem? Była ona z jednej strony fotografią rodzinną, z drugiej nagłym wzmocnieniem tego, o czym wcześniej czytałem u Nałkowskiego i Krzywickiego. Szlachecka genealogia inteligencji polskiej, inteligenckie getto ludzi dobrze wychowanych, pomieszanie patriotyzmu i kultury pogardy (pogardliwego stosunku do pracy i pogardliwego stosunku do innych). Sienkiewicz zastępujący prawdziwą literaturę, uczący stanowej i narodowej ksenofobii. Tuż przed maturą moja polonistka wezwała mnie do siebie i zagroziła piekielnymi karami jeśli zdecyduję się na demonstrowanie swoich poglądów na temat Sienkiewicza podczas państwowego egzaminu. Powtarzane za Wacławem Nałkowskim i Stanisławem Brzozowskim uwagi o twórczości Sienkiewicza doprowadzały do białej gorączki nie tylko wszystkie ciotki, ale umiały nawet zirytować mojego ojca. Mój pokoleniowy bunt znalazł w pracy Józefa Chałasińskiego swój manifest. Zapewne nie zdawałem sobie wówczas sprawy z tego, że to co mi się w tej książce podobało najbardziej – wyostrzony obraz, prezentacja inteligencji w czarno-białych kolorach, przeciwstawienie inteligenckiego getta nielicznej grupce outsiderów – stanowiło również jej największą wadę. Chałasiński nie stroił swojej książki w szaty naukowej teorii, walił z armaty w marksistów, katolików i liberałów, pokazując zjawisko, które doskonale znałem z historii rodzinnej – historię zubożałej szlachty, która straciwszy swoje majątki przenosiła się do miast i tworzyła namiastkę warstwy oświeconej. *Ersatz*. Wykształcenie było dla tej grupy symbolem statusu, drogą do zdobycia pozycji w towarzystwie. Profesjonalizm, rzetelna praca, osiągnięcia zawodowe to nie były cele tej grupy. Wzorem osobowym dla polskiej inteligencji pochodzenia szlacheckiego był salonowy mędrzec, który dobrze tańczył, najsprawniej wygłaszał podzielane przez innych opinie i błyskotliwie krytykował wszelkich przeciwników tych opinii.

Stanisław Ossowski mówił nam na wykładach, że inteligencja jest warstwą nauczycielską w szerokim tego słowa rozumieniu, że inteligencja ma misję, którą jest podnoszenie poziomu wiedzy i kultury w społeczeństwie jako całości. Chałasiński pokazywał jak wzór osobowy inteligenta pochodzenia

szlacheckiego, inteligenta pouczającego, a nie nauczającego, inteligenta broniącego dostępu do swojego getta, broniącego swojej towarzyskiej pozycji i potrzebującego chamstwa jak powietrza, dla utwierdzenia się w przekonaniu, że jest nadal elitą, promieniuje na rosnące szeregi inteligencji pochodzenia chłopskiego i robotniczego. Namiastka warstwy oświeconej absorbowała młodzież z innych warstw społecznych, wychowując ją na salonowych pięknoduchów, ale zastępy polskich wynalazców, matematyków, fizyków, chemików pozostawały skromne. Do dnia dzisiejszego polskie Nagrody Nobla to powieść i poezja.

Patrząc na zjawisko polskiej inteligencji przez pryzmat własnej rodziny widziałem fascynujący amalgamat środowiska oficerskiego i ludzi teatru. Piękne panie, dobry alkohol, pianino i śpiewana poezja. Inteligencja biesiadna, bez wątpienia patriotyczna, tworząca pozory elitarnej kultury i głęboko bezmyślna. Ojciec z upodobaniem opowiadał historyjkę o lwowskim profesorze, który zwykł siadać w kawiarni nieopodal stolika, przy którym siedziała grupa podchorążych. Nieodmiennie zamawiał kawę i kładł obok filiżanki srebrną dziesięciozłotówkę. Wypijał kawę, płacił, chował do kieszeni monetę i wychodził. W końcu zaintrygowani młodzi ludzie zapytali o sens tych dziwnych manewrów. Stary profesor powiedział wówczas, że bajka związana z tą monetą jest smutna – otóż przyrzekł sobie, że tego dnia, w którym będą rozmawiali o czymkolwiek innym niż o babach i koniach postawi im tort, obawiał się jednak, że nie dożyje tego momentu i rzeczywiście nie dożył.

Ojciec był częścią tego środowiska, ale i świadomym obserwatorem, dostrzegał komiczność środowiskowych norm, zakazu pojawienia się na ulicy w mundurze z paczką inną niż z cukierni, towarzyskiego rytuału przy stole i w rozmowie, intelektualną jałowość inteligenckich spotkań, których pustkę musiał rozpraszać alkohol, bez którego nikt nie wiedziałby co ze sobą zrobić. Moje spotkanie z tamtym światem było spotkaniem z ludźmi doświadczonymi wojną i pierwszymi latami komunizmu, z ludźmi odartymi ze złudzeń, ale jeszcze nie do końca krytycznymi wobec własnej tradycji.

Chałasiński uważał, że warstwa inteligencka jest z gruntu antydemokratyczna, że traktuje wiedzę wybiórczo i instrumentalnie, gardząc wszelką wiedzą użyteczną, wykoślawiając instytucje nauczania, utrudniając zdobywanie wiedzy warstwom niższym, uporczywie utrzymując dystans społeczny również w odniesieniu do jednostek, które pokonując wszelkie trudności, zdobywają równe lub lepsze wykształcenie jak członkowie warstwy inteligenckiej. W definicjach (przedwojennych, powojennych i współczesnych) nieodmiennie znajdujemy stanowcze stwierdzenia, że wykształcenie jest ważną, ale nie jedyną cechą inteligenta, przy czym owe inne cechy pozostają niedookreślone. Te inne cechy to bycie człowiekiem z towarzystwa, człowiekiem obytym, gładkim, ustosunkowanym, krótko mówiąc bycie swoim.

W latach trzydziestych pisał o tym Florian Znaniecki w „Ludziach teraźniejszych a cywilizacji przyszłości", a jego rozważania służyły Chałasińskiemu jako ilustracja tezy o antydemokratycznym oddziaływaniu warstwy inteligenckiej, która nie tylko nie dąży do złagodzenia dystansów kulturowych i społecznych, ale strzeże ich jak źrenicy oka. Nie tyle szlachecki rodowód polskiej inteligencji jest źródłem jej antydemokratycznych postaw, ale raczej sama historia transformacji drobnej, zubożałej szlachty w warstwę inteligencką. Jak pisze Chałasiński, nie był to podbój nowego terytorium, a skazanie i ucieczka. Podczas gdy w wielu innych krajach wyłanianie się zawodów inteligenckich stwarzało szansę awansu dla części mieszczaństwa, gdyż rozwój kapitalizmu otwierał w nauce nowe możliwości zarówno dla ludzi z ziemiaństwa jak i z innych warstw społecznych, Polska przeskoczyła przez wiek XIX, nie przeszła przez rewolucję przemysłową i ta nowa warstwa inteligencka szamotała się między osiemnastowieczną koncepcją szlacheckiego narodu, a pokusą kiełkujących już prądów socjalistycznych, które nie miały wielkiego zastosowania w społeczeństwie polskim i mogły być co najwyżej dawaniem chłopom słowa honoru, że robotnikom będzie kiedyś lepiej. Gloryfikacja polskości często (jak w „Panu Tadeuszu") pojmowanej jako tęsknota do zaściankowej sielanki, w najlepszym przypadku chłopomańskie ciągoty lub gwałtowna miłość do nie istniejącego proletariatu, a wszystko razem uwięzione w bezpłodnej politycznej kawiarni, z której wyjście prowadziło na front, do więzienia lub na Sybir, ale nie do pracy. Chałasiński zwraca uwagę na fakt,

że podczas gdy w Wielkopolsce funkcje przywódców politycznych pełnili wiejscy lub przemysłowi działacze gospodarczy, w Warszawie królowali literaci, a w Galicji urzędnicy i uczeni traktujący swoje katedry jak starostwa. Dystans między inteligencją a ludem był źródłem dumy, tak samo jak źródłem dumy było unikanie wszelkich użytecznych zajęć. W nowej inteligencji z biegiem lat (w szczególności w Galicji i w Poznańskiem) coraz większą część maturzystów stanowiła młodzież z innych warstw społecznych. Nieliczni zostali wpuszczeni do salonu, dla innych stworzono nową kategorię – półinteligencji, oddalonej przepaścią od swoich wiejskich rodzin i kolejną przepaścią od swoich nauczycieli i inteligenckich kolegów ze szkoły. W tej kategorii znalazł się inżynier i weterynarz, nauczyciel, działacz gospodarczy.

Współczesny koreański pisarz opisuje jak w weekendy koreańskie miasta wyludniają się gwałtownie, bo wszyscy włącznie z premierem jadą do swoich krewnych na wieś. Podobne zjawisko obserwowałem w Szwecji. Wcześniej, w latach studenckich, byłem wielokrotnie świadkiem makiawelicznych wysiłków kolegów próbujących zatrzeć swoje wiejskie pochodzenie. Kształcona w tej tradycji nowa inteligencja okazywała się często jeszcze bardziej antydemokratyczna niż ta stara. Dystans od starych inteligenckich rodzin wpychał tę grupę w ramiona PZPR, ale wszystko jedno, czy wiejski chłopak zostawał sekretarzem POP w jakimś biurze czy w fabryce, nauczycielem czy księdzem, z reguły przejmował pańskie narowy charakterystyczne dla „ludzi dobrze wychowanych".

Chałasiński prezentował marksizm i katolicyzm w wydaniu polskiej inteligencji jako dwie strony tego samego medalu. „Dla obydwu tych kierunków – pisał – historia istnieje jako obiektywny proces rozwojowy, kierowany przez jakieś ostateczne sprężyny metafizyczne... jest rzeczą drugorzędną czy tą historią kieruje wola boża, czy jakieś wewnętrzne siły..." Ówczesny hetman polskiej inteligencji marksistowskiej – Stefan Żółkiewski poszukiwał formuły łączącej marksizm z jakimś neopozytywizmem. Zdaniem Chałasińskiego, w płaszczyźnie metodologicznej był to trójkąt, którego nieuniknioną charakterystyką była niewierność, zaś w płaszczyźnie praktycznej sprowadzało się to zaledwie do prób

dialogu między marksistami i katolikami. Ani *Tygodnik Powszechny* ani *Przegląd Kulturalny* nie zamierzały i nie były w stanie wyprowadzić inteligencji z kawiarni, mogły co najwyżej przezwyciężać wrogość między stolikami.

O ile brutalna krytyka marksizmu zawierała w tych czasach swoistą historyczną wartość dodatkową, to równie ostra lub wręcz ostrzejsza krytyka inteligencji katolickiej powodowała uczucie niewygody. Kościół był ofiarą komunistycznych represji, tymczasem Chałasiński wskazywał na inteligencję katolicką, jako na tę część inteligenckiego getta, która w równym lub w jeszcze większym stopniu niż marksiści blokowała transformację tej warstwy i strzegła tradycyjnych dystansów między warstwą oświeconą a ludem. Inteligenckie *credo* niewątpliwie formułowane było na łamach *Tygodnika Powszechnego* wyraźniej niż w innych pismach. „Nie wykształcenie wyróżnia inteligencję – cytował *Tygodnik* Chałasiński – lecz produkcja kulturowa w odróżnieniu od produkcji ekonomicznej." W innym miejscu autor cytował pomieszczone na łamach *Tygodnika* ostrzeżenia iż „nie wolno... kosztem wartości inteligencji powiększać jej ilości". Podczas gdy marksiści otwierali drogę do społecznego awansu, ale zastępowali wykształcenie propagandą, inteligencja katolicka pozostawała wierna idei zamkniętego i liczebnie ograniczonego getta. To getto było tradycyjnie gettem „Europejczyków". Józef Chałasiński w końcu lat pięćdziesiątych pisał, że frazeologia europejskości jest stałym rysem polskiej inteligencji, ale że jest ona z reguły nie tyle próbą przybliżenia zachodniej nowoczesności do ludu, co formułą podkreślającą nasz dystans od tego ludu. Twierdził, że w tej europejskości nie ma odpowiedzialności ani za Polskę, ani za Europę, że jest to głównie wyraz skłonności do hedonistycznej konsumpcji, a nie do zbiorowego trudu.

Ten czarny obraz inteligencji jako warstwy społecznej złagodzony jest opisem „bezdomnych", inteligenckich twórców żyjących poza gettem, tworzących wielkie dzieła w samotności, dzieła, które składają się na nasze najpoważniejsze dziedzictwo kulturowe. Ci „bezdomni" byli z reguły buntownikami przeciw własnej warstwie (nierzadko spalając się w tym buncie), bez szansy skierowania swojej energii na działania pozytywne. Oni tworzyli nasz kulturowy Olimp. Prob-

lem polega jednak na tym, że samotny heroizm jest możliwy w humanistyce, ale w dziedzinie nauk ścisłych sama świadomość nie wystarcza, nauki ścisłe potrzebują bazy, bazy wcześnie kształconych umysłów, instytucji, zespołów, popartego pieniędzmi uznania dla badań podstawowych i oczekiwań ze strony przemysłu na rezultaty praktyczne. W efekcie, powiada Chałasiński, polska kultura zawieszona jest w próżni. Podczas gdy inteligencja zachodnia jest współautorem cywilizacji technicznej, materialnego dobrobytu i dostosowanego do tej cywilizacji technicznej społecznego ładu, inteligencja polska jest warstwą konsumpcyjną, której outsiderzy tworzą wartości kultury, opornie i w niewielkich dawkach docierające do reszty społeczeństwa.

Zapewne współcześnie raz jeszcze można by powtórzyć stwierdzenie Chałasińskiego, że „w dziejach Polski nie było chyba drugiego momentu, który by w tym stopniu, co chwila obecna wymagał od narodu polskiego intelektualnego wysiłku i moralnego charakteru." Prawdziwe pozostaje również zdanie z poprzedzającego to stwierdzenie akapitu, że „...u nas każde pokolenie inteligencji zaczyna pracę od początku i zawsze w ten sam sposób".

W czterdzieści lat od ukazania się książki Józefa Chałasińskiego (a w pięćdziesiąt lat od pierwszej publikacji jej głównych fragmentów) mógłby ktoś powiedzieć, że tamte rozważania o konsekwencjach szlacheckiej genealogii polskiej inteligencji są już całkowicie bez znaczenia. Można by sądzić, że dziś problemem jest nie tyle owa szlachecka genealogia inteligencji, co fatalne dziedzictwo komunistycznych instytucji oświatowych. Obawiam się, że obserwacje Chałasińskiego (które były powtórzeniem wcześniejszych wniosków całej plejady najlepszych polskich pisarzy i publicystów) nie utraciły swojej aktualności. Przeniesione z przeszłości wzory osobowe odnajdujemy nie tylko na warszawskich i krakowskich salonach, ale również (często wręcz w karykaturalnej postaci) na wiejskich plebaniach, w pokojach nauczycielskich, w redakcjach gazet i w gabinetach lekarskich. Opisywany przez Chałasińskiego ustawicznie demonstrowany dystans społeczny, pogarda, brak życzliwości i heroiczna obrona salonowych barykad – to wszystko są zjawiska, które znakomicie zaszczepiły się w inteligencji, o innej już niż szlachecka genealogii. W miarę postępującej rewolucji oświatowej, w miarę wzrostu liczebności ludzi z wyższym wykształceniem, coraz częściej obserwujemy próby zawężania definicji inteligenta, ale również interesujące nawoływania do ratowania systemu edukacji jako instytucji nie tyle podnoszącej poziom cywilizacyjny społeczeństwa jako całości, ale sita wyławiającego rodzynki z ciasta. Dla mnie takim przykładem był m.in. artykuł Janusza A. Majcherka w *Tygodniku Powszechnym* (4 stycznia 1998) pod intrygującym tytułem „Matematyka i Radio Maryja". Majcherek ma za złe nowemu ministrowi edukacji zamiar przywrócenia matematyki na egzaminach maturalnych i obawia się, że jest to próba przywiązywania nadmiernej wagi do nauczania przedmiotów ścisłych. Jego zdaniem szkoła średnia winna iść raczej w kierunku nauczania „logiki, retoryki, erystyki", co przyczyniłoby się do podniesienia poziomu debat w Polsce. Fascynujące są argumenty autora artykułu w *Tygodniku* mające nas przekonać, iż zwiększanie rangi nauczania matematyki i innych przedmiotów ścisłych „idzie pod prąd tendencjom dominującym nie tylko we współczesnej wiedzy, ale także w nowoczesnym modelu gospodarki" (*sic*!). Skłonność nowego ministra edukacji do „inżynierskiego podejścia do wiedzy" – czytamy w tym artykule – jest naturalna ze względu na jego wykształcenie. Ten ostatni zarzut, sformułowany jest przez przedstawicieli Instytutu Edukacji Narodowej działającego pod patronatem Radia Maryja. Majcherek wyraża obawy, że kontrpropozycja formułowana przez ów Instytut prowadzić może do nowej (tym razem katolickiej a nie marksistowskiej) indoktrynacji w szkołach. Autor wydaje się jednak dzielić lęk przedstawicieli Instytutu przed owym „inżynierskim podejściem do wiedzy".

Dwa zdania z tego artykułu intrygują szczególnie – pierwsze, że polska szkoła „zdominowana jest przez pozytywistyczny paradygmat nauki" i drugie, że przeciętny polski licealista i tak zna matematykę lepiej od swoich rówieśników z krajów znacznie wyżej rozwiniętych. Muszę ze wstydem przyznać, że to pierwsze zdanie wykracza poza moje zdolności intelektualne i nie jestem w stanie pojąć, co też Janusz A. Majcherek rozumie przez „pozytywistyczny paradygmat nauki". (Pytałem nawet o to znajomego dyrektora szkoły, ale

też nie umiał mi tej figury retorycznej wyjaśnić.) Natomiast drugie stwierdzenie jest na takim poziomie ogólności, iż mówi tylko o dobrym samopoczuciu jego autora. Prawdziwość lub fałszywość tego zdania uzależniona jest od tego jak będziemy oglądali dane statystyczne. Prawda jest, że na przykład w Wielkiej Brytanii doszło do zaniedbań, które są obecnie pilnie nadrabiane, prawdą jest również, że niektórzy autorzy twierdzą, iż sukcesy eksportowe Japonii, przynajmniej w pewnym stopniu, związane są ze szczególnym naciskiem na nauczanie matematyki i innych przedmiotów ścisłych w szkołach, co zaowocowało podniesieniem poziomu szeregowych pracowników przemysłu i możliwością przeniesienia odpowiedzialności za jakość produkcji na jej szczeble wykonawcze. Majcherek twierdzi, że w zmieniającym się świecie automatyzacja redukuje zapotrzebowanie na kwalifikacje techniczne w przemyśle. Jest dokładnie przeciwnie, automatyzacja redukuje zapotrzebowanie na bezmyślne prace fizyczne i w coraz większym stopniu wymaga wysokiej sprawności intelektualnej, umiejętności odczytywania pomiarów, czytania wykresów, ciągłego uczenia się nowych programów komputerowych, przeliczania danych, itp. Autor zauważa, że fabryki wyludniają się i w nowoczesnym systemie gospodarczym pojawia się raczej zapotrzebowanie na usługi. Słusznie, licea i uczelnie w coraz większym stopniu kształcić będą nie tylko uczestników debat, ale i kupców, inspektorów podatkowych, kontrolerów jakości mleka w mleczarniach, których wiedza na temat prawideł erystyki może się okazać nie wystarczająca dla przekonania klientów czy też partnerów z Unii Europejskiej. Niewątpliwie erystyka – sztuka prowadzenia sporów – jest niebywale istotna, pod warunkiem jednak, że spierający się wiedzą o czym mówią i że rozumieją otaczającą ich rzeczywistość, co w cywilizacji technicznej wymaga jednak obycia z matematyką i innymi naukami ścisłymi, pozwalającymi mieć do świata techniki stosunek inny niż wyłącznie konsumpcyjny.

Swego czasu niejaki Platon narzekał na stan nauczania w Grecji i nawoływał do naśladowania metod nauczania dzieci stosowanych przez Egipcjan. Ten fragment platońskich dialogów również nie stracił aktualności. Janusz A. Majcherek oczekuje, że wykształcenie klasyczne przyczyni się do podniesienia poziomu debat, tymczasem Platon nawoływał do nauczania, które prowadziłoby do tego, iżby dzieci rozumiały zasady geometrii i prawa natury, co przyczyniłoby się do uszczuplenia obszarów pustego gadania.

Powróćmy na zakończenie do książki Józefa Chałasińskiego. Jesienią ubiegłego roku wydawnictwo „Świat Książki" zdecydowało się na jej ponowne wydanie. Tym razem publikacja nie wzbudziła już tak gorącej dyskusji, ani tak gwałtownych protestów. (Powiedzmy szczerze, mimo bardzo żywych dyskusji wokół problemu inteligencji, jej wznowienie nie zostało zauważone.) Również na Uniwersytecie Warszawskim lektura Chałasińskiego nie należy do lektur obowiązkowych młodych adeptów socjologii. Mogłoby to oznaczać, że cały problem jest już tylko ciekawostką historyczną. Osobiście podejrzewam, że jest jednak zupełnie inaczej, ale jeśli koncepcje zmian systemu oświaty proponowane przez ministra edukacji rzeczywiście wejdą w życie, to w dalszej przyszłości historyczne wzory postaw i zachowań polskiej inteligencji mogą mieć malejące znaczenie. Dokonująca się dziś w Polsce rewolucja gospodarcza stwarza zapotrzebowanie na ogromne ilości dysponujących wysokimi kwalifikacjami fachowców. Zmiany ilościowe, uwikłanie w działania praktyczne, konieczność profesjonalizmu i podporządkowania się etyce zawodowej, z konieczności doprowadzą zapewne jeśli nie do eliminacji, to do radykalnego ograniczenia znaczenia tych wzorów postaw i zachowań w środowiskach inteligenckich, o których pisał Józef Chałasiński. Czas trwania tego procesu nie jest jednak obojętny.

W tym samym okresie kiedy ukazał się artykuł Janusza A. Majcherka, na łamach *Tygodnika Powszechnego* toczyła się fascynująca dyskusja wokół antysemityzmu. Wbrew pozorom problem antysemityzmu jest bardzo ważnym elementem dyskusji o inteligencji. Część inteligencji nie tylko ulegała urokowi antysemityzmu, ale stawała się jego teoretykami i misjonarzami. Dmowski, Nowaczyński, ksiądz Warszawski, podobnie jak współcześnie Tejkowski, ksiądz Jankowski i wielu innych, nie tylko głęboko wierzyli (wierzą), że Żydzi blokują narodowi polskiemu drogę do świetności, ale również próbują umocnić tę wiarę w ludzie. Możemy się zastanawiać nad pytaniem, czy antysemityzm jest grzechem, czy nie jest,

czy Kościół ponosi tu jakieś winy, czy też nie, ale możemy również spojrzeć na antysemityzm jako na zjawisko blokujące rozwój oświaty i ograniczające skuteczność misji ciążącej na inteligencji jako warstwie nauczycielskiej. Wśród zarzutów powtarzanych przez antysemitów wyjątkowo często pojawiają się różne stwierdzenia oparte na obserwacji tak zwanej „nadreprezentacji" osób pochodzenia żydowskiego w prestiżowych zawodach, w medycynie, w adwokaturze, w dziennikarstwie, w szeroko pojętej nauce. Ta „nadreprezentacja" może być traktowana jako spisek, a może być postrzegana jako prosta konsekwencja systemu wartości nakazującego wczesną stymulację intelektualną dzieci, przeznaczania w budżetach rodzinnych znacznie większych sum na kształcenie dzieci, aniżeli obserwujemy to w rodzinach nieżydowskich, traktowania nauki jako wartości popularyzowanej w domu, w szkole i w synagodze. Na ową „nadreprezentację" możemy reagować propagandą nienawiści i uczonymi teoriami o spisku, jest jednak rzeczą mało prawdopodobną, aby te działania przyniosły jakiekolwiek sukcesy, aby poprawiły szanse młodego pokolenia w zawodowej konkurencji, aby w najmniejszym stopniu przyczyniały się do sukcesu społeczeństwa jako całości. W toczącej się na łamach *Tygodnika* dyskusji moją szczególną uwagę zwróciło zdanie, którego autor stwierdza, że wina księdza Jankowskiego jest szczególna ze względu na jego pozycję, gdyż jest postacią znaną. Obawiam się, że patrząc na problem antysemityzmu jako na rodzaj schorzenia utrudniającego zasadniczą zmianę postaw w społeczeństwie, postrzeganego przez wielu jak lekarstwo mające łagodzić dolegliwość skutków złego systemu kształcenia, cała kwestia wypowiedzi księdza Henryka Jankowskiego jest rzeczywiście wyolbrzymiona. Znacznie poważniejszy jest problem setek (tysięcy?) księży i nauczycieli, których sława nie wykracza poza parafię lub szkolną klasę, którzy notorycznie podważają racjonalny system wartości, wzmacniają jałowe frustracje, osłabiają zawodowe ambicje i dostarczają łatwego wyjaśnienia faktu, dlaczego kolejne pokolenia uczniów pozostaną na dole drabiny społecznej. Możemy sobie dla własnej wygody powiedzieć, że nauczyciele głoszący antysemityzm z katedr czy z ambon po prostu nie należą do inteligencji, że prawdziwa inteligencja jest wolna od

tej zarazy. Są to jednak zabiegi służące wyłącznie poprawie samopoczucia.

Amerykański ekonomista W.W. Rostow twierdzi, że anglikańscy pastorzy przysłużyli się do popularyzacji nauki (czytaj: nauk ścisłych) w większym stopniu niż francuskie oświecenie. Nie bardzo wiadomo jak sprawdzić taką tezą, prawdą jest jednak, że wielu z nich zapisało się w historii nauk przyrodniczych, że z literatury wyłania się obraz pastorów – popularyzatorów nauki (oczywiście nie wszyscy byli popularyzatorami nauki, ale było to zjawisko znacznie, znacznie częstsze aniżeli przypadki popularyzowania nauki przez polskich proboszczów), że teologia Kościoła Anglikańskiego nakazuje odkrywanie praw natury.

W Polsce inteligencja głosząca antysemityzm zaliczana jest często przez inteligencję liberalną do kategorii „półinteligentów", do „ciemnogrodu". Jak długo niezliczone zastępy owych „półinteligentów" prowadzą swoją „pracę u podstaw", nikt nie zwraca na nich uwagi. Kiedy jedna czy druga wypowiedź bardziej znanej postaci przetoczy się przez łamy prasy i odbije echem poza granicami kraju, odczuwamy przykre zażenowanie.

Problem inteligencji jest dyżurnym tematem inteligencji od z górą stu lat. Dziś, kiedy istnieje realna perspektywa wyjścia z zaścianka i pełnego włączenia się Polski do kultury zachodniej, problem ten jest tylko o tyle istotny, o ile łączy się on ze sporami o charakter instytucji oświatowych. Niezależnie od tego, jaką postać ostatecznie przyjmą reformy systemu edukacyjnego, na inteligencji polskiej ciążyć będzie obowiązek wyprowadzenia społeczeństwa z cywilizacyjnej zapaści. Całego społeczeństwa, a to wymaga zmiany postaw i systemu wartości znacznej części grupy, którą nazywamy inteligencją.

Andrzej KORASZEWSKI

Być sędzią w trudnych czasach

ISKRZENIA MIĘDZY JUDYKATYWĄ I POLITYKAMI

1.

Jesteśmy świadkami kolejnego przypływu napięć na linii: egzekutywa-sędziowie. Nie udało się skompletować sądu lustracyjnego, co egzekutywa i legislatywa odebrały jako rodzaj cichej demonstracji. Zbiegło się to w czasie z wyrokiem – nie zadowalającym opinii publicznej i polityków – w trwającym przez kilka lat procesie przeciw pacyfikatorom „Wujka". Od razu więc przypomniano (a raczej wypomniano) judykatywie inne, podobne sytuacje: proces generałów Ciastonia i Płatka, Humera i innych, gdzie długotrwałość i żmudność postępowania (czasem w związku z tym przywołuje się argument o kosztowności takich procesów) nie przyniosła tego, na co czekano – bezwarunkowego potępienia wszystkich oskarżonych. Publiczność – i ta na sali sądowej, czekająca na wyrok, i ta w szerszym znaczeniu – a więc społeczeństwo, przekonane o słuszności swej racji historycznej i „pełnej kompatybilności" tej racji z racją sprawiedliwości, skłonna jest oskarżać sędziów o reakcyjność, sympatyzowanie z *ancien regime*'em, niechęć do reform, nowej władzy, a może nawet – *horribile dictu* – widzieć w stanowisku judykatywy własny interes w zamazywaniu rozliczeń z przeszłością.

Jeżeli nie-prawnik pisze (Krzysztof Zanussi w *Polityce*):

Fragmenty referatu przygotowanego na spotkanie sędziów Stowarzyszenia Iustitia, Łódź, styczeń 1998.

„nie można... nie liczyć się z podstawowym wymogiem sprawiedliwości, która mówi, że tam, gdzie była zbrodnia, tam musi być i kara...", to jest zrozumiałe.

Wtedy jednak prawnik powinien wytłumaczyć, że tak jest w sferze rzeczywistości faktów: nie ma bowiem zbrodni bez zbrodniarza. Tyle, że prawo (w sensie wymierzanie sprawiedliwości) jest instrumentem bardzo nieodpornym na próbę czasu. Gdy ten niszczy dowody (a przecież choćby w procesie „tych z Wujka" zadbano, by papiery się nie zachowały) i ludzką pamięć, sędzia i prawo są bezradni. Domaganie się kary w myśl zasady: była zbrodnia, a więc musi znaleźć się zbrodniarz, musi być wymierzona kara, w takiej sytuacji to gwałt na zasadach prawa. Prawo nie nadaje się do wymierzania sprawiedliwości historycznej i nie jest substytutem moralności. Jest w tym zakresie z natury ułomne. Przedawnienie to nie łaska dla nikogo. Nieprawda, że dzięki przedawnieniu „zbrodniarzowi się upiecze". To tylko przyznanie się do bezradności i słabości. To, że niestety, powszechny jest brak świadomości w tym względzie – to dowód niskiej kultury i prawnej, i ogólnej, to świadectwo naszej klęski edukacyjnej. Ale eksploatacja polityczna tej niewiedzy to coś jeszcze gorszego: to krótkowzroczność graniczącą z głupotą.

O tym u nas nie pamiętają politycy i brną co rusz w stare błędy usiłując wykorzystać prawo jako paliatyw osądu historii i substytut moralności. A to zupełnie różne rzeczy. Sędziowie o tym wiedzą. Jest czasem wiedza intuicyjna, przeczuwalna, i niestety – nie zawsze dobrze artykułowana, nawet na własny użytek. Sędziowie wiedzą i protestują przeciw wmanewrowywaniu ich w sytuacje bez wyjścia, przeciw naciskom politycznym i usiłowaniom zdyskredytowania ich samych, sędziów, jako winnych temu, że prawo jako takie i jego mechanizmy nie są posłuszne zapotrzebowaniu dyktowanemu atmosferą polityczną. O tym powinien też wiedzieć – z urzędu! – minister sprawiedliwości i roztoczyć nad sądownictwem parasol ochronny. Powinien potrafić przyjąć na siebie ataki na wyrok i powinien umieć odeprzeć wezwania kolegów-polityków do rozprawienia się z sędziami nie spełniającymi oczekiwań. I jeszcze: powinien starać się o edukację sędziów: o rozbudzenia ich umiejętności fachowych, aby mogli lepiej środkami profesjonalnymi minimalizować istnienie sytuacji,

gdzie sędzia musi powiedzieć: „nie wiem" i zamknąć sprawę wyrokiem uniewinniającym. I starać się też powinien o rozbudzenie w sędziach wrażliwości: na zasady sprawiedliwości rozumiane w duchu aksjologii demokratycznej, europejskiej, nowoczesnej. Tyle, że to wymaga czasu, stosowanych *systematycznych* działań, nieco pieniędzy (wcale nie tak dużo) za to dużo cierpliwości, konieczności odgrywania roli „parasola ochronnego" przed pomysłami polityków, co nie jest wygodne dla ministra-polityka.

Fatalna była sprawa ustawy lustracyjnej: ona jest naprawdę niedobra i wcale się nie dziwię sędziom, że nie chcą iść do tego sądu. Tymczasem albo się im w tej sytuacji grozi, albo próbuje rzecz załatwić „sposobem", czemu towarzyszą bardzo niezręczne wypowiedzi i premiera, i szefa resortu. W końcu akurat to, że „po wyborach zmieniła się atmosfera polityczna" jest naprawdę ostatnim argumentem, który powinien być wykorzystany jako zachęta do udziału w sądzie lustracyjnym.

Z ustawą lustracyjną jest tak, że uczciwy sędzia, szanujący zasady domniemania niewinności i nie mogący wydać wyroku potępiającego w wypadku sytuacji, gdy brak dostatecznego materiału dowodowego (co tu musi być częstsze niż w wypadku spraw „normalnych") naraża się na podejrzenie, że chce się wysługiwać politycznie przeszłemu reżimowi. Zresztą jest podobnie z procesem „tych z Wujka". Oczywiście byłoby lepiej, gdyby „instynkt powszechny" (to znów Zanussi) miał jak najmniej okazji do mijania się z „literą stanowionego prawa". Tyle, że w tym celu przynajmniej nie należy mnożyć sytuacji, gdzie tak stać się musi, przynajmniej w licznych przypadkach. Jeżeli komuś sprzedaje się do aparatu fotograficznego film, który jest stary – pewno albo wcale nie będzie zdjęcia, albo będzie ono nieudane. Ale nie będzie temu winien ten, kto robi zdjęcia; wina jest po stronie tego, kto chce posłużyć się filmem, gdy klisza uległa niszczącemu działaniu czasu. A już fatalnie jest wtedy, gdy fotograf protestuje, bo chce robić dobre zdjęcia, a zmusza się go do użycia do tego nieprzydatnego narzędzia.

2.

Wielokrotnie gdy sama w różnych gremiach wyrażałam swój sceptycyzm wobec różnego rodzaju spraw rozrachunkowych albo wobec prób uczynienia z prawa i sądu urzędowej sankcji dla nakazów moralności, spotykałam się z pytaniem: „a z jakich pozycji Pani to mówi". W podtekście tkwiło niemaskowane podejrzenie, że idzie mi o obronę niesprawiedliwej historii, zbrodniczych (czy tylko obecnie nie popieranych) polityków, albo że jako nihilistka kwestionuję związek między prawem i moralnością.

Zawsze wtedy tłumaczę, że nie idzie mi o obronę konkretnej koncepcji politycznej czy moralnej, ale o to, aby używać właściwego narzędzia do właściwych mu celów. Prawo bowiem po prostu nie nadaje się do tego, aby przy jego pomocy czynić rozrachunki z historią, zwłaszcza gdy jej osąd jest spóźniony o dziesięciolecia, ani nie jest sprawne jako oręż moralności, zwłaszcza gdy idzie o którąś ze skrajnych postaci, wymagających od człowieka postaw heroicznych. Prawo jest tylko sposobem osiągania w miarę bezkonfliktowego funkcjonowania społeczeństwa. Jeżeli jednak prawo zmusza się do udziału w politycznych rozrachunkach z historią albo z niego korzysta jako zbrojnego instrumentu moralności – staje ono w nieuchronnym konflikcie ze swymi pryncypiami: z konsekwencjami domniemania niewinności, z koniecznością akceptowania zasady *in dubio pro reo*. Czynności kierownicze są z natury rzeczy konstrukcją wyjątkowo źle znoszącą niszczycielskie działanie czasu jeśli idzie o dowody. Bo występuje tu długi łańcuch przyczynowy, bo z „natury rzeczy" dokumentów w takich sprawach brak. Kierownicy dający polecenie ryzykowne – niechętnie posługują się dokumentami, wolą ustne rozkazy czy nawet sugestie, które powinien odczytać wykonawca.

Czy pamiętają państwo scenę z Schillerowskiej Marii Stuart, gdy Elżbieta sugeruje kanclerzowi, aby podsunął jej wyrok śmierci na krewniaczkę tak, aby królowa „nie zauważyła" co podpisuje? W konsekwencji uniewinnia się (bo musi!) wydających polecenia, gdy „jeszcze" (z uwagi na istnienie dowodów) „da się" osądzić bezpośrednich wykonawców. Publiczność tego nie rozumie. Nie rozumie także, dlaczego nie można „solidarnie" skazać wszystkich członków formacji zbrojnej, która do kogoś strzelała, choć można było np. zasądzić solidarne odszkodowanie od grupy, której działanie wyrządziło szkodę. Niejasna (dla publiczności) jest

cała złożoność decyzji sądu o wyłączeniu sprawy niektórych oskarżonych – do innego postępowania. W sprawach o których mówimy, oskarżeni są wiekowi, co jest związane z ryzykiem częstych odroczeń. Publiczność nie rozumie zasad prawa i aksjologii, które decydują o konieczności ich szanowania. Politycy – nawet ci, od których z uwagi na profesję czy pozycję można byłoby oczekiwać zrozumienia – nie chcą tego rozumieć. Gdyby pokazali, że rozumieją – sami naraziliby się na łatwy atak ze strony przeciwników politycznych, jako na sojuszników historycznej konserwy. Łatwiej więc milczeć. A sędziowie? Czują się dotknięci atmosferą tworzoną wokół nich i ich działań. Są rozżaleni, że oczekuje się od nich (kolejny raz?) powolności wobec racji innych, niż racja prawa.

3.

„Sędzia nie jest od oceny jakości ustawy, sędzia ma ją wykonywać". Ta jędrna wypowiedź pochodzi od wiceministra sprawiedliwości.

Mamy teraz pretensje do sędziów o ich orzekania w minionym okresie. Że stosowali uchwałę Rady Państwa zakazującą pluralizmu związkowego, zamiast orzekania bezpośrednio na konwencjach międzynarodowych, przewidujących zasady wolności związkowej. Że stosowali restrykcyjne ustawodawstwo stanu wojennego nie bacząc na obowiązujący w Polsce Pakt Praw Politycznych, bo wszak „ich obowiązuje ustawa, a nie prawo międzynarodowe". Właśnie po to, aby w przyszłości nie było tego rodzaju sytuacji, Konstytucja z 1997 roku przewiduje, że prawo międzynarodowe wchodzi do polskiego systemu prawnego. Właśnie dlatego Konstytucja nakazuje sędziom własne bezpośrednie stosowania, aby byli kontrolerem ustawodawcy. I daje im w tym celu stosowne instrumenty (żeby już ograniczyć się do zupełnie bezspornej kwestii: postawienia pytania o zgodność z Konstytucją ustawy Trybunałowi Konstytucyjnemu).

W dawnym ZSSR, w czasie procesu opozycjonistów Daniela i Siniawskiego, oskarżeni usiłowali powołać na swą obronę fakt, iż być może ich czyny nie były zgodne z obowiązującym ustawodawstwem, ale odpowiadały temu, co mówi konstytucja. Usłyszeli wtedy z ust sędziego, że ona nie

jest od tego, aby oceniać, sądzić samo sowieckie prawo, ale jej zadaniem jest ukaranie oskarżonych.

4.

Nowa Konstytucja z 1997 roku wprowadza powinność jej własnego, bezpośredniego stosowania przez sądy. W kontaktach ze środowiskiem sędziowskim można napotkać (zadawane trochę po cichu, trochę z niepokojem) pytanie: co to właściwie znaczy? Znaczy, że po pierwsze, Konstytucja staje się tekstem, który sądownictwo ma uwzględniać przy dokonywaniu operacyjnej wykładni prawa. A skoro tak, to Konstytucja staje się elementem wykładni systemowej, podobnie, jak dotychczas działo się to ze „zwykłymi" ustawami, wchodzącymi w grę w danej sprawie. Tyle, że Konstytucja jako zwieńczenie systemu prawa z natury rzeczy „wchodzi w grę" (może wchodzić) w każdej sprawie. Zmusza to sędziego (każdego!) do krytycznej oceny „reszty" ustawodawstwa – na wypadek dostrzeżenia sprzeczności z Konstytucją. A ta właśnie sprzeczność dotyczy nie tylko wysłowienia jakiejś kwestii materialno-prawnej, ale np. niezachowania właściwego trybu wydawania przepisów rangi niższej (bo Konstytucja zawiera w sobie rygorystyczne wymagania stawiane systemowi źródeł prawa, co do kompetencji stanowienia oraz co do umocowania i jego zakresu); naruszenia przez konkretną ustawę (akt niższego rzędu) praw zasadniczych jednostki (bo obecnie mamy system zgodny z zasadą „ustawy w ramach praw zasadniczych" i odrzucający dawną zasadę „prawa jednostki tylko w obrębie ustaw"); wypełnienia zwrotów niedookreślonych i przepisów blankietowych interpretacją (prawo sędziowskie) zgodną z aksjologią nie „dowolną" czy „własną" – ale konstytucyjną (bo spójność aksjologiczna prawa i zasada bezpośredniego stosowania Konstytucji tego wymaga). Z tego tytułu już można powiedzieć, że pod rządem nowej Konstytucji każdy sąd staje się w pewnej mierze sądem konstytucyjnym. Oczywiście wykonując tego rodzaju zadania sędzia zwykły nie jest zdany wyłącznie na siebie. Pomijam w tym miejscu kontrowersyjny problem, czy natykając się na coś, co w jego przekonaniu jest sprzecznością między ustawodawstwem zwykłym a Konstytucją, sędzia może po prostu odmówić

stosowania ustawy. Ale nie budzi wątpliwości, że sędzia w takim wypadku jest uprawniony (art. 193 Konstytucji) postawić pytanie prawne Trybunałowi Konstytucyjnemu.

Te nowe i trudne zadania z pewnością spotkać się muszą z oporem sądownictwa, wynikającym z niewiedzy, niedoświadczenia i zwykłego, ludzkiego strachu przed nowymi i nieznanymi zadaniami. Wszak aby postawić pytanie Trybunałowi Konstytucyjnemu trzeba mieć wiedzę w zakresie dotąd nieznanym, orientować się w zasadach prawa konstytucyjnego, a to wśród sędziów nie jest powszechne, nawet jeśli głośne przyznanie się do tego faktu jest czymś niechętnie ujawnianym. Trzeba przecież zaufać swojej wiedzy i zdolności przekonywania, aby pójść z problemem do prezesa sądu, pokonać opór wynikający z wątpliwości „dlaczego inni wcześniej nie dostrzegli tego problemu w tym oświetleniu", nie obawiać się posądzenia o „gwiazdorstwo" (śmiertelny grzech w oczach środowiska!), zwalczyć obawę przed ośmieszeniem (na wypadek własnego błędu lub niezrozumienia przez innych, intencji stawiającego zapytanie). Trzeba też wyrobić przekonanie (a że to nie jest łatwe, obrazuje spór o prestiż między Sądem Najwyższym a Trybunałem Konstytucyjnym), że judykatywa nie składa się tylko z sądów powszechnych i że poszczególne jej składniki zyskują – jako całość – na kooperacji i współpracy. Uświadomienie sobie tych trudności i ich pokonanie nie jest z pewnością kwestią tylko wiedzy (świadomości, że trudności istnieją), ale i umiejętności praktycznego zachowania się w ich obliczu, gdy się już ujawnią. A na ich nabycie trzeba czasu. I to jest pierwsze z serii współczesnych wyzwań, wobec których stają obecnie sędziowie.

5.

Relacjonowano mi wymianę zdań z pewnej narady, kiedy to prelegentka (sama sędzia) mówiła o kwestiach wiążących się ze stosowaniem Konstytucji. Jeden z dyskutantów z pewną irytacją stwierdził: „Pani nam mówi o stosowaniu Konstytucji. Może niedługo mamy orzekać na podstawie prawa międzynarodowego?!" I tu dochodzimy do kolejnego wyzwania, związanego z tym, że to, co w cytowanej replice miało być wyrazem gryzącej ironii, staje się obecnie rzeczywistością.

Wiedza o stosowaniu (bezpośrednim, jak tego wymaga nowa Konstytucja) prawa międzynarodowego jest bowiem wśród sędziów jeszcze mniejsza, niż ma to miejsce z bezpośrednim stosowaniem ustawy zasadniczej. A jest to kwestia znacznie trudniejsza, zarówno ilościowo, jak i jakościowo. Co więcej, w wypadku sprzeczności między prawem międzynarodowym a ustawodawstwem wewnętrznym pierwszeństwo dać należy temu pierwszemu. Zasada ta – przynajmniej w odniesieniu do praw człowieka – obowiązuje już w Polsce od 1993 roku. I niestety, z jej dostrzeżeniem ma nawet kłopoty Sąd Najwyższy, o czym świadczy choćby następujący wywód[1] „... prawo do ochrony sądowej, gwarantowane przez art. 14 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych oraz art. 6 Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności – zarówno w doktrynie jak i w orzecznictwie międzynarodowych organów kontroli przestrzegania praw człowieka – jest odnoszone do spraw o wynagrodzenia za pracę w szerokim rozumieniu tego słowa, a więc i za pracę wykonaną przez biegłego. Prawo wewnętrzne Polski... gwarantuje taką ochronę, gdy biegłego powołał sąd (cywilny lub karny), a nie gwarantuje – gdy organem powołującym był prokurator. Stwierdzenie to nie mogło jednak mieć wpływu na rozstrzygnięcie. Sądy – a wśród nich i Sąd Najwyższy – związane były z istniejącymi unormowaniami prawa wewnętrznego, zaś wspomniany brak skoordynowania obowiązujących przepisów, to ewentualne zadanie dla legislatora. W dacie rozstrzygnięcia sprawy... nie było wyraźnych norm tej treści, jakie znalazły się w art. 91 Konstytucji RP...". Tymczasem od czterech lat Konwencja Europejska daje naszym obywatelom bezpośrednią skargę do Strasburga za naruszenie Konwencji. I Sąd sam przyznaje, że do takiego naruszenia doszło. Czytając uzasadnienie sędziowskiego *non possumus* przypomniałem sobie inne uzasadnienie, zmierzające dokładnie tym samym tropem, posługujące się tym samym schematem myślenia. Wydali je inni sędziowie, w innym czasie. Było to słynne orzeczenie, gdzie Sąd Najwyższy uznał, że sprzeczna z ratyfikowaną przez Polskę konwencją międzynarodową o wolności związkowej

1. III CKU 24/97

Uchwała Rady Państwa wykluczająca pluralizm związkowy – jednak wiąże. Proszę sprawdzić argumenty i pamiętać, że to ostatnie orzeczenie chluby naszej myśli prawniczej nie przyniosło. Inne uzasadnienie orzeczenia jednego z sądów apelacyjnych: „nietrafne są zarzuty dotyczące Konwencji Europejskiej i praktyki Trybunału Strasburskiego. Przejmując tę Konwencję, państwo polskie nie uznało nadrzędności Wspólnoty, a jedynie zobowiązało do odpowiedniego dostosowania prawa wewnętrznego... Założenie autora zarzutu, że normy międzynarodowe działają w prawie wewnętrznym samodzielnie, nie ma tu zastosowania. Tak działać mogą jedynie ogólne zasady prawne, używane jako wskazówki interpretacyjne, bądź postanowienia o charakterze politycznym (autor zapewne myli tu Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych z Konwencją o ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności) lecz nie regulacje organizacyjne, proceduralne. Byłoby nie tylko obrazą suwerenności Państwa (Narodu), ale i anarchizowaniem porządku prawnego, gdyby dopuścić derogowanie prawa własnego przez inne normy. Są to zarzuty tyleż poważne, co nieprzemyślane". Europejska Konwencja, wbrew przekonaniu sądu – działa bezpośrednio, wprost, bynajmniej nie zobowiązując tylko do dostosowania prawa wewnętrznego, i to aż tak bezpośrednio i wprost, że daje obywatelom skargę na władze krajowe, o ile ich postępowanie narusza Konwencję. Przykłady te ujawniają, że nawet najwyższe instancje sądowe i nawet w sprawach wydawałoby się oczywistych, bo dotyczących Konwencji Europejskiej i praw człowieka, prezentują poglądy odbiegające od współczesnej *communis opinio* na temat tego, jak dochodzi do stosowania w porządku wewnętrznym prawa międzynarodowego. A przecież obowiązek prawidłowego posługiwania się prawem międzynarodowym jako narzędziem korektury prawa wewnętrznego staje się obecnie zadaniem wszystkich sądów i nie tylko w sprawach zawierających element praw człowieka.

6.

Sprawą nieodległej przyszłości staje się uczynienie z sądów (wszystkich instancji!) sądów prawa europejskiego. Wejście formalne do struktur europejskich powoduje, że prawo Wspólnot stanie się częścią polskiego systemu prawa i że polskie sądy będą miały obowiązek je stosować, z zachowaniem zasady pierwszeństwa przed prawem rodzimym – na wypadek zachodzącej sprzeczności. Wpływ prawa europejskiego (i pierwotnego, i wtórnego) ulega zresztą z czasem coraz wyraźniejszemu zacieśnieniu. Np. w zakresie odpowiedzialności deliktowej w ciągu ostatnich siedmiu lat ukształtowało się prawo pretorskie[2], na mocy którego poszkodowanym zaniechaniem legislacyjnym polegającym na nieuzgodnieniu w wymaganym terminie ustawodawstwa wewnętrznego z wymogami dyrektyw i rozporządzeń Wspólnoty, przysługuje roszczenie odszkodowawcze. Jest to koncepcja z wielu względów nowa i obca naszej tradycji myślenia o odpowiedzialności deliktowej, a przecież jej zaakceptowanie przez sądy jest po prostu koniecznym elementem harmonizacji naszego prawa z prawem europejskim. Przykładów takich można podać znacznie więcej.

Obawiam się, że wysiłku, jaki czeka nasze sądownictwo w tym zakresie, nie można sprowadzić do tezy o „nauczeniu się" prawa europejskiego. Jest to bowiem kwestia odmiennego podejścia do tekstu, struktury systemu prawa, zasad wykładni i stosunku do orzecznictwa europejskiego. Sądy narodowe w koncepcji Wspólnot Europejskich są sądami „pierwszego kontaktu" w zakresie prawa europejskiego, mają m.in. obowiązek zadawania pytań Trybunałowi w Luksemburgu na temat sposobu rozumienia tego prawa. Takie pytanie trzeba umieć zadać, a przede wszystkim umieć dostrzec moment, kiedy je zadać należy. Wybiegi, oparte na negacji tej powinności i kwestionowaniu priorytetu prawa międzynarodowego i prawa europejskiego – co zdarza się odnaleźć obecnie w orzeczeniach niektórych sądów – muszą w tej sytuacji być traktowane jako zabieg przesłaniający niewiedzę i unik rozwiązania problemu, którego rozwiązania przez orzekającego sędziego wymaga obowiązujący porządek prawny.

●

2. Praktyka Trybunału w Luksemburgu wchodzi do systemu prawa europejskiego jako tzw. *acquis communautaire*.

Polska judykatywa ma obecnie wszelkie konstytucyjne szanse na to, aby stać się prawdziwą trzecią władzą, gwarantującą poszanowanie państwa prawa i moderującą ekscesy innych władz. Jest oczywiste, że musi to spotkać się z przejawami niezadowolenia ze strony innych władz, nie mogących przeprowadzić swej woli w sposób niekontrolowany. Te przejawy niezadowolenia mogą przyjmować różne – czasem bardzo nieprzyjemne – postaci dyskredytacji. Nie gołosłowne protesty czy żale, ale rzeczowe wyjaśnianie konstytucyjnej niestosowności takiego zachowania, stanowią właściwą drogę postępowania w tym wypadku. Autorytetu się nie otrzymuje, autorytet się buduje. Sędziowie nie zdają chyba sobie dostatecznie sprawy z własnej wielkości. Albo o tym nie wiedzą, albo sami po cichu w siebie wątpią, albo chcą, aby im autorytet po prostu podarowano i zagwarantowano raz na zawsze. Tymczasem muszą na ten autorytet pracować: w dobie obecnej i najbliższej przyszłości – bardzo ciężko, i to nie tylko dlatego, aby była to rekompensata za grzechy przeszłości, ale aby sprostać zadaniom dnia dzisiejszego i jutrzejszego. Mają obowiązek przypominać o fundamentach na jakich ich autorytet jest zbudowany i wskazywać na własny wysiłek do niego prowadzący. Tego wszystkiego wymaga obowiązek uczestnictwa w społecznym dialogu.

Ewa ŁĘTOWSKA

Reda*

Krzysztofowi Czabańskiemu z podziękowaniem za inspirującą pomoc podczas pisania

– Bladź! – zachłysnął się któryś i słów mu zabrakło. Siniał już z pasji i oczy wytrzeszczył. Kogo tak lżył, przeklinał, od wszystkiego odsądzał? Redę! Tylko Redę można było tak wyzywać. Bezsilnie i wściekle. Ona była niezwyciężona. Ile w niej siły! Dusiła jak hydra. Gorące morze. Ołowiany kolor. Takie samo niebo. Huczy klimatyzacja w kajutach. Bulaje szczelnie zamknięte. Puszka. Puszka i w niej trzydzieści osiem szprot. To my! Wieczorami słychać szmer rozmów wachtmanów w pentrze. Coraz bardziej jałowe te gadki. Coraz więcej powtórek. Pentra: przytulisko dla bezsennych, miejsce gdzie zabija się czas. Żałosne próby dziarskości i ożywienia.

– Ja tam nie narzekam – ktoś próbuje chwacko. – Leżę sobie i chujem gruchy obijam...

Ale i jemu twarz owisa, oko martwieje. Albo z obrzydzeniem i bezsilną pasją ponad miarę wpatruje się w brunatne kształty karaluchów. One ruchliwym stadkiem pokrywają dzbanki z kawą, stół, chleb, wszystkie zakątki pentry. Dorodne, większe niż nasze, europejskie, koloru mlecznej kawy. Zaczyna rozgniatać. Sadysta!

To jest reda. Czterdziesty dzień. Zabójcza nieruchomość, paraliż oczekiwania. Światła topowe na sąsiednich statkach. Pełno tych światełek. Czerwone, zielone. Statki jak choinki w czas Bożego Narodzenia. Czarna, tropikalna noc i te świa-

* Fragmenty książki Marka Nowakowskiego, która pod tym samym tytułem ukaże się w maju br. w wydawnictwie ABC.

tełka. Szyderstwo z naszej przeświętej tradycji. Przeszło pięćdziesiąt statków leży na redzie. Tak się mówi. Leżą. Opasłe tankery, masowce, drobnicowce, liniowce. Nowe, stare. Nawet trafiają się liberciaki, muzealne krypty, pamiątki z ostatniej wojny. Wszystkie leżą pokornie. Nawet te piękne amerykany, ostatni cud techniki. Nie ma lepszych i gorszych. Wszystkie czekają. Codziennie między tym zniewolonym stadem, licznym niby hiszpańska armada, pojawia się motorówka pilota. Ona, ta łupinka niesie wybawienie. Zwalnia, kluczy, znowu przyśpiesza. Drze wodę białymi krechami. Hazard wyczekiwania. Który to szczęśliwiec, skurwiel jeden wejdzie dziś do portu?

Pokład nagrzany jak kuchenna blacha. Z nudów urządzają idiotyczne zawody. Kto dłużej bosą stopą wytrzyma na pokładzie ładowni. Kretyni! Dla najlepszego nagroda. Butelka ginu od ochmistrza. Rekord wytrzymałości to tylko minuta. A wygrał taki jeden co stopy miał jak róg, końskie kopyta, kmiotek rodem z białostockiej wiochy. Odebrał butelkę, a zazdrośni szeptali złośliwie – Wieśniak, sieczkobrzęk! Takiemu czarnoziem wołami orać, a nie po oceanach pływać!

To jest świat Redy, kraj, dom, niedawna hierarchia rang i dostojeństw, wszystko to uległo zatarciu i oddaleniu, przesłonięte natarczywym pytaniem – Kiedy wreszcie wejdziemy do portu?

Pytania tego nigdy nie zadawało się głośno, lecz niby bormaszyna drążyło ono nieustannie głowę. Cholernie bolała od tego głowa.

Tylko marzenia zwyżkowały. Czasem pozwalały wznieść się wyżej i zapaść w błogostan. Ale i one nagle wysychały pozbawione paliwa, nicość, pustka.

Steward kapitański Edzio, to unikat. Grzeczny i układny, nigdy nie zapomina o swoich obowiązkach. Rasowy kelner okrętowy, żeby tak rzec, wydaje się monolitem.

Oto przy biesiadnym stole na imieninach kapitana czuwa bacznie nad całością imprezy. Biała koszula, czarna mucha, czarne spodnie, czarne włosy lśnią od pomady. Cóż za człowiek! Z jakim giętkim ukłonem podsuwa tacę z zakąskami, kunsztowne ozdoby z majonezu i warzyw na kanapkach. Tort to wyrafinowane dzieło mauretańskiej architektury, krem utoczony w kształcie minaretów, wielbłądy z mlecznej czekolady,

Arabowie w fezach z czerwonych wisienek. Cóż za wymyślność! Brązowe odaliski snują się w seraju. Naprawdę, ulepili je z kawowej masy ci wandale z kuchni. Jakże te łapy od schaboszczaków i golonek dały sobie radę z tak delikatną materią? Ten wykwit sztuki cukierniczej jest dowodem czułej pamięci. Kapitan przecież pływał na muzułmańskiej linii fosfatowej do Maroka, Algieru. Naczytał się o kalifach, korsarzach, Almorawitach, Tuaregach i koranicznym prawie szariatu wobec niewiasty.

Jeszcze dotąd zaczyna – A wiecie skąd nazwa Gibraltar? Zwycięski wódz Maurów Gaber-El-Tarik...

Sztab estetów nad tortem pracował, żeby przyjemność miał Stary. Steward Edzio w swym zawodowym transie odstawia puste talerze, podsuwa następne na potrawy gorące, toast za zdrowie kapitana wypija na stojąco; nie wypada mu przecież siadać przy Pierwszym po Bogu.

– No jeszcze po jednym, panie steward – zachęca łaskawie kapitan-solenizant.

Edzio z uniżonym uśmieszkiem, który wygląda jak grymas, wypija duszkiem drugą lufę i zaraz zaczyna zbierać niepotrzebną zastawę. Biegnie już po widelczyki i talerzyki do wetów. Ani na chwilę nie rozluźnił swego gorsetu. Istny grajek z „Titanica". Toniemy, wiemy o tym, już sił nam brak, ale orkiestra gra do końca!

Imieniny odbywają się na górnym pokładzie. Granatowa noc, diamenty gwiazd, niebo wisi jak baldachim. Niżej kolorowe girlandy lampionów, dzieło elektryków. Wyszykowaliśmy naszemu staremu ucztę na najwyższym poziomie pod tropikalnym niebem.

Jacek Radio, prawdziwy omnibus, zna się też na astronomii, rozpoznaje rozmaite konstelacje.

– Tam Krzyż Południa, dokładnie nad nami! – obwieszcza z patosem. – Widzicie?!

Zadarliśmy głowy, wpatrując się w to okrutne tropikalne niebo. Tyle nocy dręczyło nas ono niewymownie. Akurat wtedy steward zbierać zaczął talerzyki po deserach. Zbierał cichutko, bez najmniejszego hałasu. Stosiki zgrabne układał i tanecznym krokiem, rytmizując się umiejętnie z lekkim kołysaniem statku na martwej fali, doszedł do relingu i buch! Wszystko wywalił za burtę. Chwycił następny stosik i to

samo. A czynił to spokojnymi, pełnymi gracji ruchami. Osłupieliśmy. Niema siła tej sceny poruszyła każdego.

Zdumiał się kapitan:

– Co pan, panie steward!

Steward zaś był jak w transie. Nadal pełen szacunku i dystansu wobec zwierzchnika, tylko oczy miał szklane i głosu starego nie usłyszał. Jeszcze dorzucił do oceanu parę sosjerek, salaterkę. Potem oburącz chwycił naszego starego i począł go siarczyście obcałowywać po policzkach.

– Najlepszego panie Janie! – rzekł. – Z pana jest złoty chłop, kochany! Najlepszego! – wprost zaryczał i tak obracał kapitanem jak marionetką w swym nad wyraz silnym uścisku. Chciał go pocałować w usta, a kapitan bronił się jak mógł.

Wszyscy zbaranieli. Ta raptowna metamorfoza fachowca nad fachowcami, barmana z elitarnego klubu, mistrza dystansu i powściągliwości poraziła nas naprawdę.

– To reda – szepnął ze zrozumieniem Tata, Chief Maszyny, najstarszy wyga morski w tym zacnym gronie.

Reda brała. Właziła w łeb i buszowała pod czaszką. Miała prawo siać spustoszenie. Wtedy skończył się jej piąty tydzień i powaliła nawet niezłomnego Edzia. Jego odporność psychiczna była dotąd imponująca. Trenował w wolnych chwilach angielski, często dochodziła z jego kabiny gardłowo-kluskowa wymowa, nieźle chwytał akcent synów Albionu. Raz go zobaczyłem jak prężył się w lustrze i – *How do you do*? – powtarzał. Lubił najbardziej przy kielichu opowiadać o upodobaniach i dziwactwach swoich kapitanów. Pięciu czy sześciu przeszło przez jego czułe ręce.

– Miesiąc minie od zamustrowania – chełpił się – i już mam starego w kieszeni. Wiem jaki ma charakter. Co lubi najbardziej, co go drażni i co mu pasuje. Wiem czy nadkwasota go żre albo wątroba gniecie. Wszystkiego dojdę, przecież gacie jemu piorę, koję ścielę. Wiem też czy żonka po głowie mu jeździ albo w konia robi. Tak patrzymy na siebie: on wie, że ja wiem i ja wiem, że on wie. Ale zawsze trzymam dystans. Dyskrecja, szacunek, nawet potakiwać jak bredzi. Oto moja polityka zawodowa. Każdego starego rozpracuję i poznam do spodu. Nie ma dla mnie mocnych kapitanów – kończył ten wywód z niezachwianą pewnością.

To był wzór cnót, ideał nad ideały, nigdy się nie pokazywał w rozpiętej koszuli, zawsze mucha lub krawat, spodnie z nieskazitelnym kantem, buty wyczyszczone do najwyższego połysku.

Niektórzy przypuszczali, że steward meldunki nadaje o kapitanie i innych. Ucho centrali. Wielkie ucho. Jednak to podejrzenie nigdy nie zostało sprawdzone. Możliwe jedynie na zasadzie licznych analogii. Bywali tacy stewardzi. Ale jak chyba słusznie zauważył Chief Maszyny, wszystkie uszy i oczy dalekiej centrali przestały funkcjonować. Zawiesiły działalność do czasu, kiedy skończy się fenomen tej Wielkiej Redy. Ruszą maszyny, bruzda spienionej wody za nami i zacznie się przerwany rejs naszego trampa masowca (rudę żelaza wieźliśmy do Karachi) o nieefektownej nazwie m/s Hutnik. Ruszą więc maszyny, obracać się zacznie koło sterowe i ludzkie związki powrócą do ustalonego prawem i bezprawiem porządku.

Najlepiej to wyczuwał Straszydełko, miał zwierzęcy instynkt i walił wprost o partyjniakach, ubolach i innych gnidach, co pokładli uszy po sobie i przestali ludziom życie zatruwać.

– Nie ma ich sukinkotów! – powiadał i wodził zacietrzewionym wzrokiem wokół. – Natura wzięła górę nad zboczeńcami.

Mówiono o nim, że Biblię czyta na okrągło i ponoć należy do jakiejś sekty badaczy Pisma. Jednak Straszydełko trafił w dziesiątkę. Bo tak patrząc na sekretarza komórki partyjnej naszego „Hutnika", pierwszego elektryka Wicusia, który poruszał się jak w somnambulicznym transie i oparty o reling, patrzył nostalgicznie na niedaleki i tak niedostępny ląd, można było wierzyć, że Reda wzięła górę nad Polityką. A bosman poczciwie, wręcz jawnie wyznawał, że w partii jest tylko po to, żeby się utrzymać we flocie i mówił o jakichś swoich wujkach i innych pociotkach, którzy Sowietom i naszym rodzimym pachołkom trzepali skórę w partyzanckich bojach.

Minął kwadrans od incydentu przy imieninowym stole i steward przycupnął sobie na boku i rzewnie zapłakał. Był wstrząśnięty nieoczekiwanym nawet dla samego siebie upadkiem.

– Edziu – pocieszaliśmy nieszczęśnika. – Puściło ci w szwach i szajba odpaliła. Każdemu to się zdarza. Nie martw się!

Zmobilizował się kapitański steward i znów zapiął szczelnie gorset swej doskonałości. Już wkrótce na kolejnym przyjęciu w mojej kabinie – z nudów bawiliśmy się w te bankiety, uczty jak w Wersalu za Ludwików, zaproszony przecież w charakterze gościa, usługiwał nam do stołu, szykował zakąski, zmywał talerze i w żaden sposób nie można było go od tego odwieść.

– Jestem gościem, owszem – zgadzał się. – Ale również stewardem i nigdy nie mogę zapominać o swoich obowiązkach. Ty... (w mesie podczas posiłków nigdy tak do mnie się nie zwracał, choć byliśmy po serdecznym brudziu) – jesteś pasażerem i w bezwarunkowy zakres moich czynności wchodzi również obsługiwanie ciebie. Takie są moje powinności – rzekł twardo.

Podczas biesiady drugi mechanik, Zdzich opowiedział historię z dawnych czasów, kiedy we flocie funkcjonowali „Kaowcy". Kaowiec – skrót ten oznaczał kulturalno-oświatowego pracownika – był po prostu politrukiem i przysłali go na statek po linii służbowej.

– Otóż... – zaczął Zdzich – w mesie niedużego stateczku, 3 tysiące ton, drobnicowiec, kursującego na linii Gdynia-Londyn, posiłki podawał nam wyjątkowo niegrzeczny i bezczelny steward. Przynosił wystygłą kawę, niedosmażoną jajecznicę. A każdą próbę protestu czy reklamacji zbywał wyzywającą odpowiedzią: Nie podoba się, to można nie jeść! Mówił tak do marynarzy, oficerów. Do wszystkich. Rozpanoszone bydlę! Ludzie pochylali głowy i milczeli. Na statek zamustrowałem jako palacz i nie mogłem pojąć tej samowoli stewarda. Pytałem chłopaków dlaczego tak pokornie znoszą chamstwo. Odpowiadali szeptem: On jest stamtąd, rozumiesz? Nadal pokornie jedli niedosmażoną jajecznicę, zeschły chleb, pili zimną kawę.

– Skąd o tym wiecie, że jest stamtąd? – zapytałem jednego rozsądnego gościa, naszego cieślę.

– Skoro na tyle sobie pozwala – odpowiedział – to skąd może być? Musi być stamtąd. No, sam powiedz.

Logika w tym nieodparta. Ale coś mi nie pasowało. Tak na wyczucie. Kiedy wróciłem z tego pierwszego rejsu, zacząłem dopytywać się o stewarda. Dowiedziałem się z pewnych źródeł, że jest to eks-kelner z „Ermitage", zwolniony za opilstwo. Pijak

i cham. Szykanował gości, nawet potrafił poturbować. A przyjęli go do floty, bo miał wpływowego teścia. Wcale nie przysłany stamtąd. Raczej nie przysłany stamtąd. Pewności stuprocentowej nie można było mieć przecież. W następnym rejsie przy pierwszej wystygłej kawie, zrugałem stewarda jak burego psa. Nie jestem ułomek, bić się umiem i gotowy byłem zmierzyć się z nim. Mógł przecież do mnie podskoczyć, nisko przecież byłem w hierarchii, palacz. Steward rozdziawił gębę. Niechlujny, zapijaczony troglodyta.

– No! – powtórzyłem. – Zmienić kawę, ale to już!

Zaraz pomknął do pentry. Wrócił z dzbankiem gorącej kawy. Odtąd obowiązki swoje spełniał bardzo sumiennie. Grzeczny, nawet przymilny.

– Ale dopiero ja miałem za swoje – zakończył Zdzich, drugi mechanik. – Wszyscy myśleli, że ja to dopiero jestem stamtąd. Pomówienie jak smród ciągnęło się za mną we flocie i jeszcze teraz niektórzy tak na mnie patrzą, ze słowami się liczą.

– Z tym stewardem pływałem później na „Marchlewskim" – wtrącił trzeci mechanik, zwany „Wikingiem". – Tak samo bali się go wszyscy.

Głos zabrał Chief Pokładu.

– To będzie też wesoła historyjka. U nas na łajbie w tamtych czasach był „Kaoszczak" drań, najgorsza swołocz. Tylko węszył. Z lądowej bezpieki. Zasłużony, utrwalał władzę ludową, miał dwa postrzały. Chwalił się swoimi zasługami. Jak walczyłem z czarną reakcją, tak zawsze po wódce zaczynał swoje bajdy. Jako zasłużonego więc dla wypoczynku do floty go przenieśli. Jod mi bardzo pomaga, mówił i kupował na handel co się dało w sklepach zgniłego kapitalistycznego Zachodu. No i czuwał. Raz było szkolenie partyjne i po wykładzie na parapecie w mesie broszura jakaś pozostała. Związek Sowiecki ojczyzną sprawiedliwości, postępu i pokoju. Coś w tym rodzaju. Pełno tego było. Leżała ta broszura i leżała na parapecie. Zupełnie zapomniana. Po kilku dniach porządki steward robił. Ściany odkurzał, okna mył. Patrzy! Leży na parapecie makulatura od wilgoci napuchła. Wtedy byliśmy w tropikach. Buch! Wyrzucił ją z parapetu na pokład. Na to tylko czekał kaoszczak. Nie lubił stewarda. Na pieńku ze sobą mieli. Wyskoczył ten skurwiel, ukryty był za

łodzią ratunkową. Broszurę podniósł i od razu raban zrobił. Zwołał zebranie, napiętnowano stewarda: świadomie materiały szkoleniowe zbezcześcił i kiedy tylko wróciliśmy z rejsu centrala natychmiast zdjęła biedaka ze statku. Może kaoszczak celowo tę broszurę na parapecie pozostawił? Nie byłem nigdy bohaterem – po chwili milczenia podjął Chief. – Ale wtedy namówiłem odważniejszych ludzi z pokładu i donos opracowaliśmy na kaoszczaka. Chcieliśmy go wykończyć i pokonać tą samą bronią. Napisaliśmy, że w stanie opilstwa pozwala sobie na obelgi i szyderstwa wobec naszej władzy i sojusznika czyli Związku Radzieckiego. Wychwala Piłsudskiego za to, że baty dał Ruskom, czeka na trzecią wojnę światową i imperializm amerykański wielbi. Nawet posunęliśmy się do tego, że wymyśliliśmy jego rzekome konszachty z cudzoziemcem w którymś z portów. Namęczyliśmy się nad tym donosem. Jednak po rozważeniu wszystkich za i przeciw podarliśmy ten donos na strzępy i spaliliśmy. Zaczęliby przecież dochodzenie, przesłuchania, konfrontacje i jak nic wpadlibyśmy w szambo. Przycisnęliby nas mocno i ktoś mógłby popuścić, na pewno. Po latach spotkałem go na lądzie, znaczy tego kaoszczaka. Naplułem mu w mordę, przyłożyłem parę kopów. Rzecz odbyła się bez świadków. Uciekał jak zając. Taka drobna satysfakcja.

Opowieści z czasów dawniejszych strasznie ponure, przygnębiały. Niewola, strach, poniżenie. Psie życie. Zebrani przy biesiadnym stole zamyślili się smętnie. Każdy mógł coś wygrzebać z dna swojej pamięci. Coś wstydliwego, haniebnego. Kłuje to czasem, spać spokojnie nie pozwala. Kto z nas w tym paluchy maczał? Komu to doświadczenie nie zostało oszczędzone? Kto był ofiarą, katem? Najlepsza jest pamięć dziurawa. Żeby nic nie pamiętać. Lub pamięć sito. Odsiewać to czego nie chce się pamiętać. Przyjemne zostaje. Ale trudna to sztuka. Chyba niemożliwa. Na szczęście dobiegł nas okrzyk z pokładu. Od dzioba krzyczeli. Rachunek sumienia został przerwany.

– Motorówka pilota! – krzyczeli.

Wybiegliśmy hurmą na pokład. Oświetlona łódź motorowa pruła prosto na nas. Minęła tanker pod banderą Panamy i do nas. Czyżby! O tej porze! Patrzyliśmy jednak z nadzieją. W łodzi pełno roześmianych marynarzyków. Machają

rękoma, śmieją się, pokrzykują. Nawet śpiewają chórem. Jaka tam motorówka pilota, psiakrew! Opadły nam szczęki. Wracali marynarze z norweskiego drobnicowca. Wybrali się na wycieczkę i wracali sobie z lądowego spaceru, lordowie! Za twardą walutę z redy na ląd można łódź wynająć. Z wielu oczekujących na wejście do portu statków tak sobie pływają. Tylko u nas funduszu na takie przyjemności zabrakło. Cholerna zazdrość brała. Patrzyliśmy nienawistnie na podpitych, radosnych Norwegów. Panowie i pariasi.

– Tak ich pomyjami oblać! – zgrzytnął zębami starszy marynarz Karolak. Chodzili po twardej ziemi. Nic się im nie kołysało pod stopami, agregaty nie wibrowały, ustał szum wentylatorów w kajutach. Ten ląd utęskniony! Tam przyjemności bez liku. Burdele Karachi! Bazary Karachi! Małmazja na odległość wyciągniętej ręki i nie można pokosztować!

– Kurewskie jest szczęście Polaków! – użył ktoś histerycznego uogólnienia.

– *Fuck off*! – powtarzał Tata, Chief Maszyny, który podczas wojny pływał w konwojach. W jego przypadku był to gniew z powodu braku sprawiedliwości. Ojcowskie współczucie dla naszej niedoli. Tata przecież nigdy nie wychodził na ląd. Statek nasz stawał przy kejach w wielu portach i Tata tylko spacerował sobie po pokładzie. Osiemdziesiąt metrów w jedną i osiemdziesiąt w drugą.

– Panie Chief, chodź pan z nami! – zapraszaliśmy go nieraz.

Kręcił przecząco głową.

– Już tu byłem wiele razy – odpowiadał. – Meczety, bazary, burdele, palmy, piach. Znam ten raj i niczego nowego się nie spodziewam.

Opłynął już wszystkie kontynenty, był już w tylu portach. Opowiadał nam jak kochał się z Anmamitkami, Malajkami, Hinduskami, tancerkami z wyspy Bali, Rio i Tobago. Nie, żeby się przechwalał, ale tyle lat okręt był jego domem i port przystankiem w nie ustającej podróży.

Dawno temu w Szkocji jedna rodowa milady z zamku na wysokiej górze zapałała do niego afektem i zapragnęła, żeby został jej mężem.

– Polacy byli wtedy w modzie – uśmiechał się Tata powściągliwie. – Bohaterowie powietrznej bitwy o Anglię,

stracency z konwojów do Murmańska. Byłem u niej w pałacu. Przodkowie z czasów Jakuba Stuarta patrzyli srogo z portretów, orkiestra na dudach grała, faceci w kraciastych, kolorowych spódniczkach chude giry pokazywali, damy rodową biżuterią obwieszone, sfora psów myśliwskich. Jane miała na imię, długonoga charcica, nie powiem, pociągająca, hoża dziewoja. Ale gdzie ja tam do niej! Za setką czystej pod kiełbasę z kapuchą tęskniłem, za wydmami w Lisim Jarze, za latarnią w Rozewiu. Za tym byle czym jak diabli tęskniłem!... Przeszłość omszała Tatę ogarnęła jak wir przy starym młynie.

Tylko raz jeden w naszym długim rejsie wyszedł na ląd. To niebywałe wydarzenie miało miejsce w Ceucie. Przy pobliskiej kei zacumowany był m/s Bolivar pod banderą Wenezueli i tam chiefem maszyny był dawny kumpel Taty. Razem kończyli szkołę morską w Tczewie. Razem rozpoczynali praktykę na morzu. Los długo trzymał ich razem. Podczas wojny pływali na m/s Warszawa i szczęśliwie uratowali się po storpedowaniu statku. Kolega po wojnie do kraju już nie wrócił. Pisywali do siebie na święta i imieniny. Potem w ogóle zaprzestali się odzywać i tak oto spotkali się nieoczekiwanie w Ceucie. Tata wybrał się do niego w odwiedziny. Wszyscy patrzyli. To był szok dla nas. Podreptał wzdłuż kei. Obejrzał się i zwolnił kroku. Jakby naraz zatęsknił za swoją macierzystą łajbą. Szedł z pochyloną głową. Ląd wcale go nie interesował. Później tamten z Bolivara odprowadzał go na statek. Obaj podobni do siebie. Masywni, łysi, z kępkami siwych włosów jak wieniec wokół łysiny. Laurowe wieńce starości. Ubrani niedbale, workowate drelichowe spodnie, trepki, flanelowe koszule. Tamten pykał fajeczkę. Tata wkroczył na trap. Tamten na pożegnanie pomachał mu ręką. Tata uczynił to samo i od razu poszedł do siebie.

Zamknął się w kajucie i nie wyszedł z niej aż do południa następnego dnia, kiedy rozbrzmiewać zaczęły dzwonki alarmowe zwiastujące wyjście statku w morze.

Woda redy lśniła tego ranka jak roztopiona rtęć, rozlana po horyzont. Zmartwiało wszystko. Na statkach nie widać żywej duszy. Wymiotło. Nie pokazywały się motorówki. Niedaleki ląd zamglony, spowity w szary całun rozpalonego powietrza.

– Już lepiej utknąć gdzieś w cieśninie Magellana. Terra

Fuente, Punta Arenas. Tam jest przynajmniej koniec świata. A my tkwimy jak przyszpileni w środku mapy – rzekł Tata z Maszyny i zachichotał. Poczłapał do swojej nory. Chyba tam na Ziemi Ognistej go jeszcze nie było. Dlatego tak powiedział.

Dalej gapiliśmy się w ten zamazany, nierealny ląd. Burdele Karachi! Bazary Karachi! Dla jednych nade wszystko uciechy, rozrywki, wyuzdana rozkosz, orgia. Dla innych wymiana towarowa, handel, szwindle, twarda waluta płynie strumieniem i tylko liczysz. Wrócisz do kraju, zainwestujesz, rozmnożysz i mocno staniesz na nogi. W jednym i drugim wypadku poczujesz swą wartość. Jako człowiek interesu oraz jako pełnokrwisty ogier. Należało się zadośćuczynienie męczennikom rozpiętym na rozżarzonym Krzyżu Redy.

Burdele Karachi podobno niezwykłej różnorodności. Wprost niewyczerpane zagłębie. Bogactwo wyborów. Dziwki czarne jak heban, popielate, kawowe, złociste, mahoniowe, czekoladowe. Grube, szczupłe, kolczyki mają w nosach i uszach, bransolety na rękach i nogach. Brzęczą tymi bransoletami, wyginają się i prężą, przewracają ślepiami, białe zęby szczerzą. Niektóre ubrane tak skąpo, tyle widać, te cycki, te brzuchy, uda... Inne owinięte szczelnie w białe sari, kolorowe sarongi. Tak się snują bezszelestnie, smukłe lub obfite kształty pod cienką materią schowane tyle rozkoszy obiecują! I tanie, tanie jak orzeszki arachidowe. Przypomnieli sobie niektórzy Goa. Analogia wzmagała apetyt. Tam w Goa burdelowe miasteczko Baina. Obszerny obszar płatnego występku nad oceanem. Gąszcz szałasów, bud, lepianek krytych palmową strzechą, falistą blachą. Labirynt błotnistych ścieżek, kozy i dzieciaki taplają się w kałużach. Nocą nieprzeliczony migot światełek i w każdej budzie, lepiance, szałasie zamtuz otwiera swe gościnne podwoje. Samogon z trzciny cukrowej słodkim, palącym strumieniem trzewia wypełniał, łby rozsadzał i runęli nasi chłopcy w świat ciemnej, błyskającej tajemniczymi światełkami rozkoszy. Piski, jęki, chrapliwe skomlenia, okrzyki, niezrozumiała mowa. Wchłaniała ta Baina jak topiel bezdenna. Ciomkała bagnista toń lubieżnie i wciągała. Co to był za raj! Długo potem kurowali sobie jurni junacy kolana do krwi starte i obolałe, poranione na ryżowych matach, które za podściółkę do erotycznych

igraszek służyły. W gorącym wilgotnym klimacie jątrzyły się spracowane kolana, ropiały i puchły. Co bardziej wstydliwi długie spodnie pozakładali, żeby zataić swój grzeszny udział w bachanaliach. Teraz znów niektórym przed oczyma Baina wyuzdana zakwitła i patrzyli z wilczym głodem w oczach na zamglone kontury nieodstępnego Karachi.

Znacznym powodzeniem cieszyła się opowieść lubieżnego ochmistrza, szefa alkoholowego sezamu na statku. Otóż ochmistrz w Abidjanie setnie sobie poharcował. Wybrał się do portowej dzielnicy uciech i opiwszy się winem, które tam sprzedawali w taniej obfitości, wynalazł sobie czarną nałożnicę i oddalił się z nią w wiadomym celu. Czarna piękność była wesołą chichotką i tańcząc magnetycznym kuprem powiodła go przez liczne przybytki rozrywki, gdzie panowała egzotyczna muzyka Czarnego Lądu, zwana *High-Life*. Nasz ochmistrz zbudził się o świcie w lepiance. Leżał w uściskach dwóch kobiet. Z jednej strony obłapiała go gruba mammy, istna góra mięsa i tłuszczu, jej piersi niby bochny uciskały mu nos. Z drugiego zaś boku tuliła się do niego smukła dziewczyna, piersi miała malutkie, sterczące jak różki koźląt i poufale czochrała go po włosach, jakby iskała, szukała robactwa, pewnie u nich to oznaka czułości, oddania wobec mężczyzny. Po klepisku izby krzątały się jeszcze dwie Murzynki w nieokreślonym wieku i kilkoro dzieciaków. Wszyscy uśmiechali sie do niego życzliwie. Krzepiący jak na ohydny, kacowy poranek obraz ludzkiej życzliwości wobec gościa. Jeszcze jedna stara kobieta, po prostu wiedźma, czarownica, szamanka pojawiła się w tym uroczym mieszkanku i zajęła się przygotowywaniem posiłku. Zaproszono go do familijnego stołu. Siadł prawie nagi, podszczypywany i głaskany przez kobiety, dzieci i wiedźmę. To gremium powiększył jeszcze stary, siwy Murzyn, który wychynął nie wiadomo skąd. Jadł jakąś papkę z manioku, patatów, rybki w czerwonym, ostrym sosie. Popijał palmowym, mlecznego koloru winem ze wspólnego kubka. Biesiadował i cały czas włosy jeżyły mu się na głowie, Choroby, zarazy! Weneryczne i inne, choćby te ohydne ameby. Wizja chorób ogarnęła go wraz z kacem i podsuwała coraz okropniejsze warianty zagrożenia. Wreszcie uciekł z gościnnej lepianki i pędem puścił się do portu.

– Na szczęście opatrzność czuwała – prowadził opowieść nasz ochmistrz, mężczyzna o oliwkowej, lepkiej urodzie plantatora z Brazylii. – Nic nie złapałem. Zresztą może wcale nie było powodu. Czy człowiek w takim stanie nadawał się do amorów? Mocno byłem napity i może wcale sobie nie pofolgowałem.

Dydaktyczna pointa wcale nie działała na słuchaczy. To był raczej bodziec inspirujący. Rzucić się w wir rozkoszy, korzystać z uległych ciał, macać, gładzić, przyciskać, objemować. Sycić swój głód i sycić aż do zatracenia. Tak pewno sobie wyobrażał raje wschodu asystent z pokładu, zwany krótko Asem: był najmłodszy, zachciewajki mu jeszcze wyskakiwały na czole i brodzie. Napęczniałe niewyżyciem, białe france.

Ale dla ochłody rozpalonych głów był jeszcze złowrogi przykład Trzeciego Elektryka, młodego żonkosia. Przed przybyciem do Marmugoa otrzymał przez Gdynia-Radio telegram, że żona dzieciątko mu urodziła. Wydał uroczysty bankiet z tej okazji. Trunków mnóstwo. Kapitan ochrzanił ochmistrza za nadmiar alkoholu sprzedanego z kantyny.

– Rodzina mu się powiększyła – odparł ochmistrz. – Nie mogłem odmówić.

– No tak – przyznał Stary i sam elektrykowi podarował butelkę szampitra.

Wznoszono toasty za pomyślność jego trzyosobowej rodziny. Szczęście męża i ojca promieniowało z poczciwego oblicza Trzeciego Elektryka. Urodził mu się następca, syn. Pokazywał fotografie ze ślubu. On i żona cielęco uśmiechnięci do obiektywu. Obejmują się czule. Nakładają sobie obrączki. Obfita dokumentacja początku małżeńskiej drogi. Potem „Pomocnik Edisona", tak nazywaliśmy elektryków, poszedł do dzielnicy uciech Baina. Ubrał się jak na rasowego marynarza przystało: biały, tropikalny mundurek, krótkie spodenki, białe skarpetki, czarne buty. Przyjemnie było patrzeć na tak schludnego i eleganckiego przedstawiciela żeglarskiego fachu. Wkroczył w ten wyuzdany obszar z arystokratyczną nonszalancją człowieka, którego dzieli nieprzebyty dystans od kolorowego łajdactwa, spoglądał obojętnie i żeby nie było żadnych nieporozumień oświadczył kolegom z mocą charakteru w głosie, że uczestniczy jedynie jako obserwator. Wyłącznie z ciekawości geograficznej i obyczajowej. Chodził, cho-

dził. Patrzył, patrzył. Oczy mu ogromniały. Dla kurażu krzepił się rumem. Aż w jednej chatce utknął. Chatka jak inne, tylko tym się wyróżniała, że puszki po benzynie Esso i Shella jej kruche ściany wzmacniały. Wrócił na statek bladym świtem. Przemykał się cichaczem dolnym pokładem. Ale go spostrzegli.

– Rasputin! – zawołali.

Musiał pokornie znosić kpiny załogi. Tam w Baina nieźle zaszalał. Mało mu było jednej, trzy po kolei degustował, ogierek nienasycony. Niestety smętny teraz ten Trzeci Elektryk, młody żonkoś. Bardzo smętny. Samotnie na uboczu wystaje, wzrok odwraca od kuszących świateł Karachi, patrzy w granatową toń oceanu i wzdycha.

Dlaczego? Tylko nasz lekarz okrętowy, Jasiu Kotlarczyk posiada w tym przedmiocie rozeznanie. Na pewno coś złapał. Ale co? To sprawa pacjenta i lekarza. Rzecz osłonięta kurtyną tajemną.

●

Był taki na naszym statku małpiszonek. Maleńki, kudłaty. Piszczał jak szczur. Ale jaki ludzki, czuły! Siedział z upodobaniem na barku bosmana, tulił się do niego i patrzył w oczy tak wymownie. Małpimi, ale jakże mądrymi oczkami. Czasem był nostalgiczny, a czasem tak wesoły i walił łapkami w łysy łeb bosmana jak w bęben. Nie mówił nic, tylko piszczał. Ale jaka to była skala pisków. Ostrzegał, prosił, żalił się, dawał rady. Pamiętaliśmy doskonale jak w Casablance ładunek został źle ułożony. Lada przechył w morzu i mogła nastąpić katastrofa. Niby dlaczego bosmanowi wtedy butelkę z piwem wyszarpnął i złośliwie wylał jej zawartość? Wcale nie z małpiej złośliwości. Ostatnia to była flaszka i bosman klnąc na Obezjana wlazł jeszcze raz do ładowni robotę sprawdzić. Wtedy odkrył, że całe to zamocowanie ładunków to szajs, partactwo. Cieślę zawołał i trzeba było jeszcze raz ształerkę poprawić. Ile razy ten Obezjan, małpiszonek malutki na właściwą drogę nas nakierował. Czuwał nad nami. Drapiąc człowieka po brodzie, wichrząc włosy czy szczypiąc w ucho. Dawał sygnały. A jak piszczał rozmaicie. Można było się z nim dogadać. Nasz przyjaciel. Tak twierdził bosman i przy-

znawaliśmy mu rację. Dlaczego Obezjan? A nie małpa po prostu. Kupiony bowiem został od Murzyna, który posługiwał się rosyjskim językiem. Wyjątkowy to był stwór. A jak się branzlował? Był taki czas, że czynił to do przesady.

– Nie męcz nadaremnie sprzętu – mówiliśmy.

Obezjan, wpatrując się w nas mądrymi ślepkami zdawał się mówić:

– A co, twój chuj?

Miał potrzebę założenia rodziny. Szukaliśmy mu samiczki. Nie zdążyliśmy. Wypadł za burtę w poprzednim rejsie. Morze wtedy było spokojne. A on przecież taki mądry, doświadczony. Wiedział doskonale, że niebezpieczny żywioł rozpościera się wokół i zawsze ostrożnie skakał po relingach. Zlekceważył wtedy niebezpieczeństwo, stracił równowagę? Nikt tego nie widział. Był i nagle go nie ma! Boleśnie przeżyliśmy odejście Obezjana.

– Gdyby żyło to mądre stworzenie – powiedział smętnie bosman.

●

Więc dzień taki jak poprzednie. Nic nie zapowiadało żadnej zmiany. Ale zdarzenia, które nastąpiły potem były nieoczekiwane i szybkie. Motorówka pilota podpłynęła pod burtę naszego statku nie zauważona przez nikogo. Wcale się nie spodziewaliśmy jej przybycia. Czas motorówek był do południa. Taka praktyka od początku. A to było po południu. Zerwaliśmy się z cienistych legowisk. Wybiegliśmy z kajut. Zatupotało na pokładzie. Kapitan pędząc od siebie, zapomniał wyłączyć adapter i gonił go potężny głos Ewy Demarczyk – Madonny... Sześciokonne!...

– Wyłącz pan ten wrzask! – warknął kapitan, spoglądając gniewnie na stewarda.

Chief pokładu pośpiesznie dopinał spodnie. Tempo wydarzeń!

Już po sztorm-trapie wdrapuje się pilot. Witają go kapitan i chief pokładu. Spiesznie obciągają koszule, poprawiają paski u spodni. Kapitan nie zdążył zawiązać sznurowadeł. Śmiesznie dyndają przy butach. Cielsko „Hutnika" zmartwychwstało. Dudnią maszyny. Dzwonki z mostku

kapitańskiego. Sygnały. Kapitan krzyczy przez tubę do bosmana. Gapimy się w pilota jak w istotę z innej planety. Europejczyk. Ryżawy, z króciutkim, starannie przystrzyżonym wąsikiem. Typ Szkota, Holendra. Elegant w białych rękawiczkach. Istny palant z kolonialnego klubu. Piloci doskonale zarabiają. Zazwyczaj to doświadczeni kapitanowie żeglugi. Z wieloletnim stażem. Synekura dla fachowców. Ale też odpowiedzialność. To kluczenie między statkami w ciasnocie redy, prowadzenie kolosa do nabrzeża, ustawianie z precyzją co do centymetra.

Kapitan z pilotem na mostku. Chief przy nim. Steward biegnie po kawę. Konwersują wodzowie. Kapitan przymilny. Chief też. Pilot odęty. Może antykomunista zajadły i może nas za bolszewicką hordę z nożami w zębach uważa. Raczej buc z natury.

– Wolno naprzód! – sygnał dla maszyn.

– Lewa! Prawa! Stop!

Zaczęło się naprawdę. Poruszyło się koło sterowe. Tyle czasu było martwe. To żaden omam z upału. Koło się obraca. Maszyny zaczęły pracować. Krypa ruszyła. Kłębiliśmy się jak oszalałe stado zmartwychwstańców.

– Czterdzieści cztery! Widzicie, sprawdziło się! – wołał z entuzjazmem Trzeci Elektryk, który musi zrobić odczyn Wassermana w tutejszym „łabaju". Tak nazywano kiedyś szpital dla wenerycznych. Termin ten jeszcze funkcjonował. Wylegliśmy na burtę. Patrzymy za burtę. „Hutnik" pruje wodę. Biała kipiel od śruby. Pozostawiamy za sobą głęboką bruzdę. To nasz kilwater. Płyniemy, płyniemy! Mijamy inne statki. Martwe krowy na redzie. Załogi gapią się na nas. Bolesna zazdrość. Znamy to uczucie doskonale. Port ogromnieje w oczach. Główki falochronów oznaczają drogę farwateru.

Wpływamy. Tęczowe plamy olejów na wodzie, jakieś kolorowe puszki. Przybliżają się betonowe nabrzeża. Dźwigi, taśmociągi, hangary. Ziemia. Widać ziemię. Szarożółta, spalona. Rzadkie kępki niskiej roślinności. Też szarożółtej. Wszystko widzimy jak sępy. Najdrobniejsze szczegóły. Ogarnia nas euforia.

Bosman i jego ludzie sposobią cumy, rozkładają na burcie wielkie plecionki, ochraniacze przed uderzeniami o beton nabrzeża. Plecionki nazywają się „jajami bosmańskimi".

Dyndają jak bycze klejnoty naprawdę. Wpływamy do basenu portowego. Nasza keja. Krzątają się ludzie z obsługi. Stoją przy pachołkach. Niemrawe, leniwe dranie. Rzucamy cumy. Na kei pod barakiem, pokrytym falistą blachą półnagi, brązowy tubylec w turbanie. Dopiero co wstał. Przed chwilą w kucki oddawał się potrzebie fizjologicznej. Teraz, wypinając chudy tyłek w naszą stronę, podciera się garścią piachu zagarniętego z ziemi. Zaryczeliśmy śmiechem. Machamy do niego rękoma.

– Sraluch – wołamy.

Popatrzył na nas ze zdziwieniem. Wytarł tyłek, opuścił jak kurtynę podartą szatę burego koloru. Osobliwy higienista. Nastąpił charakterystyczny stukot i zgrzyt. Zamocowano trap. To już ostateczne zespolenie z lądem.

Przekroczyliśmy mostek jeszcze za dnia. Głodną, niecierpliwą watahą zbiegliśmy na ląd. Twarda ziemia pod stopami. Niektórzy byli napici. Uczynili to zawczasu. Ogarnęło nas gorące, lądowe powietrze. Takie samo jak na wodzie. Ale nam wydało się inne. Ożywiające. Wdychaliśmy chciwie.

Popędziliśmy do miasta. Znaliśmy drogę z opowieści bywalców. Wielokrotnie nam powtarzali. Od bramy w lewo. Potem w prawo. Będzie to osławiony Bunder Road. Witało nas upragnione Karachi! Wpierw swoimi zapachami. Zaleciało mdlącą wonią olejów, korzennych przypraw, zapachem sandałowego drzewa. Kłębił się tłum sprzedawców, pośredników, oszustów, ladacznic. Kobiety owinięte po same oczy w kolorowe szaty, siedziały w kucki przed kramikami, pełnymi owoców, ryb, orzeszków arachidowych. Piecyki, ruszty opalane węglem drzewnym. Coś smażą, pitraszą. Zawiewa spalenizną. Skwierczy i bulgocze olej. Jazgot, gestykulacja.

Gdzieś w tle pokazał się dwugarbny wielbłąd. Azja od Afryki odróżnia się ilością garbów wielbłąda. Na szyldach zawijasy pisma urda, hindu, pusztu. Gdzieniegdzie po angielsku. Szarpią nas woźnice, taksówkarze, pośrednicy, stręczyciele. Proponują swoje usługi. Pięknooki chłopiec pragnie być naszym przewodnikiem. Pląsa przed nami w niskich pokłonach. Na razie niczego nie chcemy. Poszliśmy piechotą. Po czterdziestu czterech dniach bezruchu należało się to naszym zastałym kończynom. Niech zaznają twardej matki-ziemi. Kipiel przy bramie portowej rozrzedziła się nieco. Coraz

mniej ludzi. Znaliśmy przecież topografię z opisu bywalców i wyszczególniony był przez nich pusty obszar w drodze do handlowo-rozrywkowego centrum. Wyludniona uliczka. Jakieś lepianki. Wieżyczka minaretu. Zakurzone krzaki. Przeleciał czarny, wychudzony psiak. Grzbiet miał goły, wyłysiały i na nim krwawą pręgę rany. Zabeczała koza. Po europejsku, smętnie, cienko. Słońce waliło w kark. Młot upału. Pot oblepiał koszule, zalewał oczy. Ale nie zwalnialiśmy kroku. Niewyczerpane są rezerwy sił w ludziach. Wydobywa je nadzieja.

I nagle na środku naszej drogi wyrosła krowa. Wychynęła z jakiegoś zaułka. Szła powoli i dostojnie, omiatając się zagnojonym ogonem od much obsiadających jej zapadłe boki. Była szarego umaszczenia jak wszystko wokół. Święta krowa! Wiedzieliśmy o uprzywilejowanej pozycji tego bydlęcia w świecie braminów. Mała, chuda, sierść wyliniała, apatycznie poruszała łbem z połamanymi rogami. Jej oczy były zamglone. W istocie niepozorne stworzenie. Nie mierzyć się jej z mlekodajnymi holenderskimi czy szwajcarskimi krowami z naszego kontynentu. Nam jednak ta krowa ogromniała w oczach. Wydawała się kolosem. Wielkie, święte zwierzę. Świętością swą podniesione niebywale. Przecież nietykalna. Tubylcy rozstępowali się przed nią z pokorą.

Zatrzymaliśmy się mimo woli, chcąc dać jej przejście. Tylko motorzysta Straszydełko, olbrzym porośnięty zwierzęcymi kudłami na piersiach i plecach, wyszedł jej naprzeciw. Popatrzyła na niego wielkimi, wilgotnymi oczyma i człapała dalej. Zbliżała się do niego leniwym truchtem stworzenia apatycznego i pozbawionego bojaźni. Niezwyczajna przeszkód. Nawykła do wolnej drogi.

– Swołocz! – usłyszeliśmy jego zagniewany głos.

Zamachnął się, walnął piersią. Krowa ugięła się i zaraz opadła na przednie nogi. Cios kowala. Złamała się w klęczki pod tym ciosem. Chwycił ją oburącz za rogi. Zaparł się i odepchnął. Przetoczyła się niezgrabnie na bok. Padła. Bluźnierca! Popatrzyliśmy niespokojnie dokoła. Bosonodzy, ciemnoskórzy, omotani w białe szaty, czmychali do swoich lepianek. Pewnie bramini, wyznawcy krowiej świętości. Groźnie wyglądał nasz profan. Zapaśnik ze starożytnej areny, barbarzyńca w zwycięskim pojedynku z turem.

Uliczka opustoszała zupełnie. Zbezczeszczona krowina niezgrabnie gramoliła się z ziemi. Przebierała chudymi kończynami. Wydała słaby, smętny poryk.

– Co ty wyprawiasz! – oburzył się Jacek Radio. – To zwierzę jest przecież przedmiotem kultu!

Straszydełko wypluł zgasły niedopałek z kącika usta.

– Krowiarze są tutaj w mniejszości – odparł flegmatycznie. – To muzułmański kraj, kapujesz mądralo?

Zaczęliśmy się śmiać do rozpuku. Najgłośniej z profanacji świętej krowy śmiał się marynarz Leoś, nasz zwycięski Izraelczyk. Wszyscy na tej redzie staliśmy się po trosze heretykami.

Ale i rozsądek Straszydełki był godny uznania. Muzułmański w większości kraj. Wiedział co robi. Nie ryzykował zbyt wiele.

Straszydełko ruszył energicznie do przodu. Poszliśmy za nim. W głowach nam buzowało niecierpliwym podnieceniem. Duch uskrzydlał wątłą, wymęczoną materię. Burdele Karachi! Bazary Karachi! To przecież była utęskniona fata morgana nasza. Hordą barbarzyńców ruszyliśmy na podbój miasta.

Marek NOWAKOWSKI

ARCHIWUM „KULTURY" T. IV

JERZY GIEDROYC – ANDRZEJ BOBKOWSKI

LISTY 1946–1961

Wybór, opracowanie i wstęp
Jana ZIELIŃSKIEGO

Str. 780

CZYTELNIK **WARSZAWA 1997**

Wiersze

Wojciech KAWIŃSKI

SYN MARNOTRAWNY
(Chagall)

Tło
jakby zamazane dziecinną kredką:
bladożółte słońce, pokraczny ptak
nad szarymi dachami miasteczka, plac
pełen biedoty, stary człowiek-ojciec
obejmuje tego, który przybył ze świata;
zmęczony, porażony wstydem. Prostota
wizji, biblijny temat przeniesiony
oczyma żydowskiego Rembrandta
na Białoruś, w kraj brzóz i bagien,
pod magiczne niebo poezji i snu. Te
twarze nie-anielskie wkrótce
czas pochłonie; ulecą popiołem,
prochem kości, psalmem który zgasi
piekło wieku; niewymówione, brudne
od liter i symboli. Tlą się do dzisiaj
chmury nad Witebskiem, stoi na śniegu
boso stary zegar z błękitnym skrzydłem;
owocuje jabłoń, z dalekiej wyprawy
powraca Don Kichot; obraz nie ma proporcji,
tak jak proporcji nie ma
świt, krew, zmierzch i czas niełaskawy.

1997

Wojciech KAWIŃSKI

Grzegorz WRÓBLEWSKI

(ZA CHWILĘ STANIE SIĘ COŚ NIEDOBREGO)

Za chwilę stanie się coś niedobrego, coś
o czym zmuszony będę szybko zapomnieć.
Albo wręcz przeciwnie.

Któż zna swoje przeznaczenie? Stara praczka
rozwiesza pościel na sznurkach między drzewami.
Widząc czyste niebo jest ponownie szczęśliwa.

JUŻ NIEDŁUGO SIĘ ZNÓW ZOBACZYMY

Już niedługo się znów zobaczymy i usiądziemy
naprzeciw siebie w wygodnych fotelach.
(Milcząc ustalimy wszystkie niezbędne szczegóły.)

Potem rozstaniemy się na kilka długich, podobnych do
siebie dni.

W tym czasie będziemy często o sobie myśleć.
Gdy się ponownie spotkamy, będziemy mieli sobie wiele do
powiedzenia.

Usiądziemy naprzeciw siebie w wygodnych fotelach.
Milcząc ustalimy wszystkie niezbędne szczegóły.

Grzegorz WRÓBLEWSKI

Adam LIZAKOWSKI

PREZES

Spotkałem prezesa zupełnie nie podobnego
do człowieka ale do prezesa
prezes dobry Polak
dobry patriota
dobry katolik
opowiadał mi o cierpiącej ojczyźnie
o zbiórce butów dla ubogich Polaków
o wysyłce mleka w proszku
dla głodnych dzieci
o milionach dolarów wysłanych
dla Solidarności
o walce z komunizmem
o 40 latach pomocy dla kraju przez duże K
nic nie mówił o kulturze polskiej w Ameryce
chociaż kultura też na k jak komunizm i kraj
prezes
nie miał złotych pierścieni na palcach
ale ja je widziałem
nie miał bransolety z ametystów
ale ja ją widziałem
nie miał złotej korony na skroniach
ale ją widziałem
nie przyklęknąłem przed prezesem
ale on mnie widział na klęczkach
ja mały człowiek ogon szarej myszki
przyszedłem do prezesa z prośbą
o dotacje na wiersze
wyobraźcie sobie wiersze
i bosy Polacy
głodne polskie dzieci
walka o niepodległość ojczyzny
usta prezesa mówiły prawdę
prezes to naprawdę mądry prezes

tyle zrobią przemądrych rzeczy
szkoda tylko że poezja nie ochroni stóp
nie nakarmi głodnych Polaków
nie obroni Polski
taki miły i mądry prezes
znalazł dla mnie czas aby to wszystko
opowiedzieć

Chicago 1991

WYDAWCA POLONIJNEGO PISMA

Wydawca polonijnego pisma
skrzyżowanie połykacza ognia
z cudotwórcą mówi:
czy pan myśli, że ja wierszy nie lubię
lubię
ale kto dzisiaj czyta poezję
prędzej pan kijem Wisłę zawrócisz
niż kiełbasiarz da reklamę do gazety
z wierszami
prędzej Bałtyk wyschnie niż adwokat
da reklamę do gazety z wierszami
panie
jak nagiej panienki na okładkę nie dam
nikt na gazetę nie spojrzy
magistry, inżyniery, lekarze, dentyści
właściciele firm polonijnych, agencje pracy
ubezpieczeniowe, sprzedawcy domów
biura podróży czyli tak zwana
polonijna inteligencja
to hołota
w ogóle nie kupują prasy
panie mówienie o wierszach
to kwadratura koła
liczenie ile diabłów zmieści się

na końcu szpilki
walenie się młotkiem w głowę
i mówienie, że po każdym
uderzeniu jestem mądrzejszy

tak mi opowiadał fachowiec
od prasy polonijnej w Chicago
któremu jeszcze w Polsce
ZOMO
wybiło ząb mądrości

Chicago 1991

Adam LIZAKOWSKI

Archiwum polityczne

Równowaga strachu?

W początku ubiegłego roku rząd szwedzki zlecił siedmiu niezależnym zespołom badawczym opracowanie ekspertyz, mających wszechstronnie ocenić rzeczywiste koszty finansowe oraz konsekwencje polityczne i społeczne rozszerzenia Unii na Wschód; te interesujące teksty zostały opublikowane w listopadzie 1997.

Inicjatywa szwedzkiego rządu była o tyle pożyteczna, iż dotychczas cała zachodnia debata na temat integracji europejskiej zdominowana była przez problem unii monetarnej; w Europie Zachodniej i w USA ukazało się kilkaset poważnych artykułów, opracowań analitycznych, broszur etc. na temat ekonomicznych oraz politycznych konsekwencji pewnego już powstania EMU. Natomiast o przyjęciu do Unii Europejskiej nowych członków z Europy Wschodniej dyskutowano raczej półgębkiem oraz przy użyciu postulatywnych ogólników, determinowanych przez *political correctness*.

Politycy zachodnioeuropejscy zdają sobie sprawę, że ewentualni nowi członkowie Unii nie mogą dostać takiej pomocy finansowej, jaką – dzięki ówczesnej hojności Niemiec – otrzymała Hiszpania czy Portugalia. Przy zastosowaniu tamtych kryteriów pomoc dla najbogatszego kraju kandydackiego, Słowenii, wyniosłaby 6,7% słoweńskiego GDP, dla Bułgarii – 39% bułgarskiego GDP etc. Jest to oczywiście absolutnie nierealne. Dla „kuzynów ze Wschodu" Bruksela proponuje dotacje w wysokości 4% GDP kraju kandydackiego. Natychmiast nasuwa się pytanie, skąd wziąć te pieniądze i czy te 4% – katalizujące wprawdzie szereg innych inwestycji – wystarczy.

Jedna z zamówionych przez rząd szwedzki ekspertyz, zwana raportem Ströma – gdyż na czele opracowującego go zespołu stał docent Lars-Inge Ström – stwierdza wprost, że obliczone przez ekspertów Komisji koszty integracji państw Europy Wschodniej z Unią są „czystą kalkulacją życzeniową". Raport Ströma noszący tytuł „Regionalne konsekwencje poszerzenia Unii Europejskiej na Wschód" (SOU 1997, 160), wcale inteligentnie porównuje je z rachunkiem za zjednoczenie Niemiec. W latach 1991-1997 wpompowały zachodnie Niemcy we wschodnie landy zupełnie oszałamiającą sumę 1.037 miliardów DEM; w dodatku przypadły one na obszar, który zamieszkuje niespełna 17 milionów ludzi. A przecież wiemy, że integracja dawnej DDR z BRD wcale nie jest zakończona i właściwie trudno mówić nawet o początku sukcesu. *In Ostdeutschland jeder fünfte ohne Arbeit* – krzyczała tłustą czcionką *FAZ* z 10 stycznia tego roku; w nowych landach bezrobocie (19,9%) jest dwukrotnie większe niż w dawnych Niemczech Zachodnich (9,9%). Ponadto przeciętna produktywność przemysłu w dawnej DDR nadal wynosi zaledwie 60% produktywności zachodniej. Mimo utrzymania ogromnych subwencji wzrost GDP we wschodnich landach będzie w tym roku, po raz pierwszy od czasu zjednoczenia, nawet mniejszy niż w landach zachodnich.

Raport Ströma zauważa, że Komisja przewiduje zasilenie budżetu wszystkich krajów kandydackich sumą 45 miliardów ECU rocznie. Oznacza to, że dla wszystkich 10 kandydatów roczna dotacja Unii będzie mniejsza od sumy, jaką wschodnie landy otrzymały w roku 1991, najgorszym, dawna DDR otrzymała wówczas „tylko" 131 miliardów DEM, a więc ca 66 miliardów ECU.

Jednak sposób wygospodarowania nawet tej skromnej dotacji budzi protesty w wielu krajach, także w Szwecji, która jest jednym z pięciu zaledwie dawców netto do unijnej kasy. Od kontynentalnych krajów Europy różni się Szwecja diametralnie, także geograficzno-populacyjnie. Pod względem powierzchni jest ona czwartym państwem w Europie (po Rosji, Francji i Hiszpanii), ale specyficznie zaludnionym: na obszarze większym od Niemiec, bo obejmującym 449.964 km^2, żyje naród liczący zledwie 1/10 niemieckiej populacji, przy czym jego większość zgrupowana jest w kilku dużych

miastach. TPA (*thinly populated area*) – jak to określają fachowcy – to aż 62% szwedzkiego terytorium, przy czym akurat tam mieszkają Szwedzi stosunkowo ubodzy. Otóż w Unii Europejskiej obowiązuje zasada, iż regiony, w których GDP/*capita* wynosi mniej niż 75% średniego GDP/*capita* wszystkich krajów Unii otrzymują pomoc finansową. Choć więc Szwecja jest w sumie dawcą netto dla budżetu Unii, to jednak sporą część z odprowadzanych do Brukseli pieniędzy otrzymuje z powrotem, właśnie w ramach pomocy regionalnej, zwłaszcza dla obszarów subpolarnych. Mówiąc konkretnie, w roku 1997 zasiliła Szwecja budżet Unii sumą 18,6 miliardów SEK, z czego z powrotem otrzyma 11,3 miliardów SEK. Licząc to w procentach GDP poszczególnych krajów, największymi dawcami netto w całej Unii są Niemcy, Holandia oraz Szwecja (Wielka Brytania ma wytargowany tzw. Rabat pani Thatcher) i właśnie te trzy kraje twierdzą ostatnio unisono, że w przyszłości muszą płacić mniej. Dziś istnieje pułap wspólnego wkładu do kasy Unii, który wynosi 1,27% łącznego GDP wszystkich jej członków. Otóż Niemcy, Holandia, Szwecja i Austria (która też jest dawcą netto – choć niewielkim) chcą wprowadzić pułap wkładu indywidualnego, co automatycznie doprowadziłoby do obniżenia wkładów dotychczasowych największych dawców netto. Można zresztą zrozumieć upór, z jakim minister Theo Waigel domaga się zmniejszenia wkładu jego kraju, który w dużym stopniu utrzymuje całą Unię: wkład Niemiec netto wynosi aż 10.628 milionów ECU, gdy wkład netto Francji zaledwie 287 milionów ECU. Niemcom trudno też zrozumieć, dlaczego kraje od nich bogatsze, mające wyższy GDP/*capita* : Dania i Belgia są netto biorcami z kasy Unii, dlaczego 2.307 milionów ECU dotacji nadal otrzymuje Irlandia, kraj autentycznego cudu gospodarczego, mający już GDP/*capita* wyższy od brytyjskiego.

Politycy Unii rozumieją, że nie jest rozsądnie ciągle drażnić „dobrego wujka z Niemiec", który trzyma kasę i ma różne kłopoty wewnętrzne (już ponad 4,5 milionów Niemców jest bezrobotnych i kanclerz Kohl musi porzucić ambicję obniżenia niemieckiego bezrobocia o połowę do roku 2000, nb. z identycznej obietnicy wycofać się musiał premier Szwecji, Göran Persson). Komisja Europejska przygotowuje

więc projekt zmniejszenia pomocy regionalnej. Wywołuje to oczywiście protesty zainteresowanych krajów, także Szwecji.

Lars-Inge Ström uważa, że z redukcją pomocy regionalnej dla szwedzkiej TPA trzeba się będzie pogodzić, zwłaszcza wobec perspektywy rozszerzenia Unii na Wschód: „trudno będzie motywować, dlaczego Szwecja ma otrzymywać pomoc obejmującą 62% swojego terytorium, gdy równocześnie Europa Wschodnia uporać się musi ze znacznie większymi niż szwedzkie problemami".

Lars-Inge Ström jest niezależnym ekspertem, a więc z oszczędnościami łatwiej mu się pogodzić niż politykom, zależnym wszak od wyborczej kartki. Po lewej i po prawej stronie szwedzkiej sceny politycznej dużo jest zwolenników tzw. *formuły hiszpańskiej*. Określenie to nawiązuje do stwierdzenia, jakie padło z ust premiera Hiszpanii w czasie jego wizyty w Szwecji we wrześniu 1997. José Maria Aznar powiedział wówczas, że jest zdecydowanym zwolennikiem przyjęcia do Unii nowych członków, pod warunkiem że tort do podziału będzie większy; w każdym razie Hiszpania na poszerzeniu Unii stracić nie może. Od siebie dodam, że netto jest Hiszpania największym biorcą unijnych subwencji, gdyż pożera 6.094 milionów ECU. Zwolennikiem *formuły hiszpańskiej* jest niewątpliwie szwedzki minister gospodarki, Anders Sundström, który w grudniu ubiegłego roku wystosował nawet w tej sprawie specjalne pismo do trzech Komisarzy (Anita Gradin, Karel Van Miert, Monika Wulf-Mathies). Odbiorcom swego PM minister Sundström zapowiada, że „rząd szwedzki już w obecnej fazie rezerwuje sobie prawo działania stosownego do okoliczności. Wprawdzie unijna pomoc dla Szwecji obejmuje aż 62% terytorium kraju, ale jedynie 18,5% jego ludności. W innych krajach, np. w Irlandii, pomoc przypada na 40% populacji, a w wypadku Grecji czy Portugalii objęta jest nią cała ludność, która w dodatku nie żyje w warunkach polarnych i nie musi się zimą poruszać na śnieżnych skuterach. Interesujące opracowanie Głównego Urzędu Rewizyjnego (RRV 1997, 44) podaje, że w latach 1995-99 otrzyma Szwecja 12 miliardów SEK pomocy regionalnej p o d w a r u n k i e m, iż szwedzki sektor publiczny będzie partycypować w planowanych projektach sumą 16 miliardów SEK. To samo opracowanie przyznaje, że

w pierwszych dwóch latach członkostwa administracja wojewódzka i gminna nie potrafiła przyjmować pomocy regionalnej, choć – powiedzmy szczerze – szwedzka biurokracja nie należy do najgorszych na świecie.

Problem obcięcia unijnej pomocy dla północnych obszarów Szwecji – i to na skutek planowanego poszerzenia Unii – jest dla szwedzkich polityków o tyle bolesny, iż zbyt długo twierdzili, że na poszerzeniu tym społeczeństwo szwedzkie jedynie skorzysta. Na ten aspekt sprawy zwrócił uwagę główny autor innego z zamówionych przez rząd szwedzki raportów, Johan Torstensson, który jest głównym specjalistą Instytutu Badań Ekonomicznych szwedzkich związków zawodowych (*Fackföreningsrörelsens institut för ekonomist forskning*) i profesorem uniwersytetu w Lund. Uważa on, że przytaczany często argument, iż Polska ze swoimi 38 milionami mieszkańców będzie stymulować także szwedzki wzrost gospodarczy, najwcześniej nabierze mocy realnej około roku 2015. Raport zespołu Torstenssona nosi tytuł „Większa i lepsza Europa?" (SOU 1997, 156). Aczkolwiek w jego tytule umieszczony jest znak zapytania, profesor Torstensson uważa, iż ta większa Europa rzeczywiście będzie lepsza, gdyż na rozszerzeniu Unii skorzystają przede wszystkm nowi członkowie, a wzrost dobrobytu w Europie Wschodniej musi zwiększyć stabilność i bezpieczeństwo całego kontynentu. Jednak dla obecnych członków Unii ekonomiczne efekty rozszerzenia będą „praktycznie minimalne". Torstensson, przewiduje, że całej „piętnastce" przyjęcie nowych członków da w pierwszych latach średni wzrost GDP rzędu 0,1-0,3% przy czym najwięcej skorzystają Niemcy, a najmniej – Hiszpania.

Johan Torstensson skrytykował, także w szwedzkich mediach, dziwne stanowisko swojego rządu na arenie międzynarodowej; z jednej strony rząd szwedzki twierdzi, że jest zdecydowanym zwolennikiem szybkiego przyjęcia do Unii nowych członków (takiego stanowiska wymaga wszak *political correctness*), z drugiej strony – wykonuje różne praktyczne posunięcia, które mogą rozszerzenie odwlec w czasie. I tak domaga się rząd szwedzki – zresztą w stanowisku tym nie będąc odosobniony – aby całkowita reforma polityki rolnej Unii nastąpiła p r z e d jej rozszerzeniem na Wschód.

Ta polityka jest rzeczywiście zła, sprzeczna z regułami WTO i drażniąca Amerykanów. Ale polskim chłopom nie będą przysługiwały unijne rekompensaty za planowaną obniżkę gwarantowanych cen produktów rolnych (w krajach kandydackich ceny i tak będą rosły od niskiego poziomu wzwyż), a rząd szwedzki musi sobie zdawać sprawę, że jeżeli dwa wielkie kraje rolnicze Unii, Francja i Hiszpania, zostaną postawione wobec postulatu: wpierw całkowita reforma polityki rolnej, a potem rozszerzenie Unii na Wschód, to będą przyjęcie nowych członków odwlekać. Od siebie dodam, że bynajmniej nie z miłości do Litwinów, Łotyszy i Rumunów rząd szwedzki z wyjątkowym uporem domagał się, aby rokowania o członkostwie rozpoczęto i prowadzono równocześnie ze wszystkimi kandydatami, a nie tylko z „szóstką", wytypowaną przez Komisję Europejską. Tę szwedzką taktykę rozszyfrował trafnie i dał temu wyraz Jacques Delors w czasie kongresu europejskich partii socjalistycznych w Malmö.

Johan Torstensson uważa, że w krajach wschodnioeuropejskich, które zostaną członkami Unii, na pewno zwiększy się poziom zachodnich inwestycji, dotychczas znacznie niższy niż zakładały to prognozy z lat 1989-90. Jednak zachodnia produkcja w nowych krajach Unii będzie przede wszystkim konsumowana na ich chłonnych wewnętrznych rynkach, a także w Rosji. Nie ma więc większego zagrożenia, iż jeszcze bardziej zwiększy się bezrobocie w Europie Zachodniej i tak będące już plagą wyjątkową (w samych tylko Niemczech i Francji bezrobotnych jest 7,7 milionów ludzi, wg danych z grudnia 1997). Zachodni rynek pracy zagrożony natomiast być może migracją siły roboczej z nowych, wschodnioeuropejskich członków Unii. Problemowi temu poświęcona jest inna z zamówionych przez szwedzki rząd ekspertyz, raport pani profesor Gonäs, noszący tytuł „Wolny ruch siły roboczej – bezpieczeństwo i równouprawnienie" (SOU 1997, 153), *de facto* będący jedną wielką przestrogą przed Polakami.

Trzeba stwierdzić wyraźnie, że większość interesujących się tą problematyką osób na Zachodzie zdaje sobie sprawę, że problem rozszerzenia Unii jest przede wszystkim p r o b l e m e m P o l s k i, chociażby tylko z tego powodu, że na 50 milionów ludności krajów kandydackich przypada 38 milionów Polaków.

O tym, jaką wagę prof. Lena Gonäs – jedna z *les enfantes terribles* („mówi to, co inni myślą") szwedzkiej socjaldemokracji – przywiązywała do swojego raportu, może świadczyć fakt, że cały jej zespół (Lena Gonäs, Sven E.O. Hort, Per Lundborg i Claes Ramel) opublikował w *Dagens Nyheter* z 18 listopada 1997 obszerny artykuł pod znamiennym tytułem „Imigracja ze Wschodu musi być zatrzymana", z następującym wytłuszczeniem: „Masowa imigracja ludności ze Wschodniej i Centralnej Europy do Szwecji może być rezultatem poszerzenia Unii Europejskiej. W Szwecji taka imigracja prowadzić może do obniżenia płac i zwiększenia bezrobocia..."

Lena Gonäs uważa, że w krajach aspirujących do członkostwa istnieje duży potencjał emigracyjny, gdyż nawet ci obywatele Europy Wschodniej, którzy są zatrudnieni w swoich krajach, będą mogli chcieć spróbować szczęścia na Zachodzie. Jednak osobami, które zechcą wykorzystać wolny ruch siły roboczej są przede wszystkim:

– obecni bezrobotni;

– przyszli bezrobotni (chociażby z karłowatych gospodarstw rolnych i restrukturyzowanych „dinozaurów" postkomunistycznego przemysłu);

– nędznie opłacani pracownicy o szczególnie wysokich kwalifikacjach (np. lekarze).

Prof. Gonäs uważa, że na sygnalizowane powyżej zagrożenia mały wpływ będzie miała koniunktura w sąsiednich dla Szwecji krajach Europy Wschodniej; z uwagi na duże różnice płac i standardu życia między Europą Zachodnią i krajami kandydackimi prawdopodobne jest, że koniunktura w tych ostatnich odgrywać będzie mniejszą rolę niż sytuacja na rynku pracy w docelowym kraju imigracji, twierdzi Lena Gonäs. Dlatego Unia Europejska musi stworzyć reguły przejściowe, obowiązujące przez dłuższy okres, m.in. ograniczające wolny ruch siły roboczej z nowych krajów członkowskich.

Profesor Gonäs nie jest naturalnie jedyną osobą przestrzegającą przed niebezpieczeństwem inwazji „elementu wschodniego". Podobne przestrogi były publikowane w różnych krajach, np. austriacki, liberalny *Der Standard* też ogłosił prognozę (18 VIII 1997), iż po rozszerzeniu Unii na

Wschód *700 tysięcy* Węgrów, Polaków, Czechów, Słoweńców i Estończyków runie na Zachód. Różni eksperci przewidują, że większość „inwazji" skieruje się na Niemcy, Austrię i Szwecję. Nie będzie to naturalnie imigracja stała, ale czasowa imigracja zarobkowa, choć prawdopodobnie część najzdolniejszych i najbardziej rzutkich imigrantów osiedli się na dłużej w krajach swojego czasowego zarobkowania. Z wytypowanej przez Komisję szóstki krajów kandydackich problemem dla Szwecji nie jest Estonia (zaledwie 1,68 milionów mieszkańców), ale Polska. Ostatecznie już dziś władze szwedzkie mają problemy z Polakami i jest faktem powszechnie znanym (bo opisanym w prasie), że nawet Polska Misja Katolicka w Sztokholmie funkcjonuje jako punkt pośrednictwa pracy „na czarno". Na granicach Polacy traktowani są bardzo nieprzyjemnie, często brutalnie, czym polskie media świadomie się nie interesują (chyba że poturbowany będzie ktoś z warszawskiego *towarzystwa*, np. dziennikarz Surdykowski w Austrii).

W kontaktach z Unią Polacy popełniają dwa poważne błędy, które nazwać można szwedzkim i greckim. Spróbujmy wyjaśnić, jaka treść kryje się za tymi określeniami.

Połączone wysiłki wszystkich szwedzkich elit: polityków lewicy i prawicy, wszystkich mediów, wielkiego businessu. Związku Pracodawców etc. zdołały – w unikalnej pod względem swego rozmachu i kosztów kampanii – nakłonić większość szwedzkiego społeczeństwa do zaakceptowania integracji z Europą i zwolennicy wejścia Szwecji do Unii uzyskali w referendum niewielką przewagę. Wśród szwedzkich zwolenników Unii panowały wówczas na jej temat dwie opinie. Jedni wyobrażali sobie, że Unia jest jeszcze jedną organizacją międzypaństwową, w rodzaju OECD czy ONZ, do której po prostu dobrze jest należeć. Drudzy zdawali sobie wprawdzie sprawę, że Unia Europejska nie jest jakąś EFTA czy ulepszoną unią celną, ale sądzili, że na kontynent uda im się przeszczepić chociaż resztki „modelu szwedzkiego". Krach tego złudzenia był bolesny. Znany szwedzki pisarz i filozof, Lars Gustafsson napisał kiedyś z ironią, że jego rodacy są nacją wędrujących moralistów: jeżdżą po świecie i pouczają innych, co jest słuszne i jak należy zbudować sprawiedliwe społeczeństwo szczęśliwych ludzi. Od

roku 1995 jest Szwecja członkiem Unii, a więc zaczęli też Szwedzi jeździć do Brukseli z perfekcyjnie przygotowanymi wystąpieniami. Wygłaszali je, upierali się przy swoim stanowisku i przegrywali nawet wtedy, gdy racja niewątpliwie była po ich stronie (jak chociażby w sprawie telewizyjnej reklamy kierowanej do dzieci czy reklamy alkoholu). Bowiem Unia nie jest – na szczęście! – międzypaństwowym forum do wygłaszania kazań, ale organizacją ponadpaństwową, w której zachodzi nieustanny proces pogłębiania się współpracy politycznej, wymagający stałego *lobby*'ingu i umiejętności osiągania kompromisu we właściwym momencie.

Błąd grecki jest innego rodzaju. W przeciwieństwie do Szwedów umieją się Grecy targować i zawierać kompromisy, ale są najbiedniejszym państwem Unii, dodatkowo cierpiącym na obsesję turecką. Wprawdzie największy nawet entuzjasta tureckiej łaźni czy chałwy nie będzie twierdzić, że Turcja stwarza choćby pozory przestrzegania praw człowieka, a więc nadzieje Ankary na członkostwo w Unii są – mimo zdumiewającego poparcia USA – nader płonne. Nie zmienia to jednak faktu, że Grecy z pewną monomanią przypominają dawne krzywdy od Turków poniesione, odwołując się przy tym do swej chlubnej historii, wprawdzie głównie starożytnej.

Otóż polscy negocjatorzy – co zauważyła nawet prasa krajowa (np. *Polityka* z 29 listopada 1997) – zachowują się w rozmowach z Brukselą niczym przedstawiciele wielkiego mocarstwa, a miejsce Polski w Unii traktują jako automatyczną wręcz rekompensatę za krzywdy, jakie Zachód i Rosja wyrządzili „narodowi z dorobkiem tysiącletniej historii chrześcijańskiej" etc. Co więcej, niektórym jawnie się marzy polska misja cywilizacyjna w Europie, rechrystianizacja tej pogańskiej Unii, którą Radio Maryja utożsamia z „homoseksualizmem, pornografią i przerywaniem ciąży" (depesza agencji TT z 28 grudnia 1997). Samo członkostwo Polski to wręcz czcza formalność skoro przecież „Polska zawsze była w Europie". Niestety nawet ta ostatnia konstatacja, którą uporczywie powtarzają wszyscy polscy politycy, nie dla wszystkich w Unii ma wartość aksjomatyczną i doprawdy wystarczy pojechać do któregoś z zachodnich sąsiadów, do Austrii, Niemiec czy Szwecji, aby przekonać się, że w sprawie europejskości Polski zdania są podzielone. Polska pycha

wywoływać zaś musi odruchy niechęci i nic dziwnego, że w publikowanej na łamach *Svenska Dagbladet* rozmowie dwóch znanych szwedzkich publicystów, jednemu z nich (Rolf Gustavsson) wyrwał się okrzyk:

„Polska?! Polskę dostała Europa z powodu swych historycznych grzechów. Polacy z każdej technicznej drobnostki będą czynić wielki problem polityczny: teraz wreszcie zapłaci Europa za wszystkie upokorzenia, jakie przez stulecia musieli znosić Polacy. W Brukseli już ich wszyscy mają serdecznie dosyć!" (*SvD*, 31 XII 1997).

Ponadto – co zauważył Sven-Olov Lööw (*SvD*, 10 I 1998) – jest coś dwuznacznego w fakcie, iż z jednej strony Polacy ciągle przypominają krzywdę Jałty (niewątpliwą, przyznaje Lööw), a z drugiej – powołują się na takie, rzeczywiście przez Brukselę cenione walory, jakimi są centralne położenie kraju i jego etniczna homogeniczność. A przecież, przypomina Lööw, Polska przedwojenna nie była ani homogeniczna narodowo, ani nie leżała w Europie Centralnej: przesunięcie na Zachód i pozbycie się znacznych ilościowo mniejszości narodowych na kresach wschodnich było wynikiem jałtańskiego gwałtu, a jednorodność etniczna polskich Ziem Zachodnich – efektem deportacji, które – podkreśla Lööw – miały charakter etnicznej czystki.

Nie tylko jednak Unia boi się Polski, ale także Polska boi się Unii – boją się nie tylko polscy rolnicy, hutnicy czy robotnicy z innych „dinozaurów", ale zwłaszcza polskie elity, które świadomie unikają dysputy o przyszłości Unii.

Piszący te słowa – zdecydowany zwolennik członkostwa Polski w Unii – bynajmniej nie jest admiratorem katolickich ekstremistów z polskiej prawicy. Należy jednak przyznać, że oni jedni zajmują uczciwe stanowisko w sprawie integracji Polski ze strukturami europejskimi: są przeciw, bo widzą, że został już wytyczony kierunek ewolucji Unii w stronę europejskiej Federacji. Ich krajowi adwersarze ograniczają się do twierdzenia, że Polska w Unii być musi, choć nie wiadomo jeszcze, czym ta Unia będzie. Niestety niewiedzy tej nic usprawiedliwić nie może, gdyż nie wie tylko ten, kto nie chce wiedzieć. W Polsce świadomie – prawdopodobnie ze względów wewnątrzpolitycznych – przemilcza się pewne zachodnie debaty, zwłaszcza gdy dotyczą krytyki kapitalizmu

w wydaniu neoliberalnym. Polskie media praktycznie zignorowały głośny, choć niestety zbyt obszerny, artykuł Sorosa o spekulacyjnym charakterze globalnego rynku. Większość prasy przemilcza książki typu „L'horreur économique" czy „Die Globalisierungsfalle" (która jednak została przetłumaczona na 15 języków i nad którą dyskusja trwa do tej pory). Zwłaszcza zaś pomija się publikacje wykazujące, że Unia albo z czasem będzie Federacją, albo się rozpadnie.

Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby wiedzieć, że globalizacji rynku można przeciwstawić tylko inną globalizację, nie tylko EMU – prowadzące do ponadpaństwowej polityki finansowej – ale w przyszłości także ponadpaństwowe partie polityczne, ponadpaństwowe związki branżowe, organizacje konsumenckie etc. Niewielką wagę ma argument, że choćby ze względów gospodarczych to się udać nie może, gdyż zbyt wielkie są różnice między, powiedzmy, Portugalią i Finlandią. Lester Thurow, jeden z najbardziej wpływowych ekonomistów amerykańskich, odpowiada na to, że między gospodarką Kalifornii i Północnej Dakoty zachodzą równie wielkie różnice. Początek zmierzchu ery państw narodowych i nieuchronność ewolucji Unii w kierunku federacyjnym widzą tak różni ludzie jak – przykładowo – fiński filozof Georg Henrik von Wright, przemysłowiec kontrolujący połowę szwedzkiej giełdy, Peter Wallenberg, wspomniany już ekonomista z MIT, Lester Thurow czy wielu europejskich polityków. Nie chcą lub boją się tego ujrzeć polskie elity.

Karol BAUMGARTEN

Kraj

Z ukosa

W siarczystym mrozie zakrzepła warszawska Zachęta, gdy otwierano retrospektywną wystawę malarstwa Jana Cybisa. Udało się zgromadzić wielką ilość prac tego dobrego, choć nieco monotonnego malarza. Po latach zapaści obserwuję powrót licznej publiczności na kulturalne imprezy. Kłopoty z szatnią, najpierw niemrawą, a potem w której nie starczyło numerków. Ot, banalne zaplecze wielkiej sztuki. Prezydent Kwaśniewski otwiera wystawę, energetyczny, kulturalny i jednak na swoim miejscu. Czy Wałęsa w tej roli nie byłby śmieszny? Pytanie, dlaczego Wałęsa nie rozwinął się? Trudno wykluczyć ograniczenia naturalne. Inne powody? Czy nie zbyt jest zajęty sobą, zadufany, już nie musi się uczyć bo wszystko wie, jak popełnia błędy to tylko „błędy konieczne" i ta skaza widzenia, która polega na utożsamianiu interesu Polski z własnym. To ostatnie łączy go z wielkimi tego świata, ale poza tym, chyba niewiele więcej. Wróci do polityki tylko wtedy jeśli nastąpi wielka kompromitacja prawicy i Mariana Krzaklewskiego. Może krzywdzę Wałęsę, ale jak na niego patrzę, jak go słucham, to mam wrażenie, że oczekiwanie na tę porażkę oplata go jak bujny bluszcz.

Otwarcie wystawy ma miejsce w przeddzień rocznicy zabójstwa pierwszego prezydenta Rzeczpospolitej Gabriela Narutowicza. *Gazeta Wyborcza* cytuje nieznaną relację malarza Kazimierza Lasockiego. Jak zwykle poraża banalność zbrodni, a w niej element przypadku. Prezydenta zaproszono na otwarcie dorocznego Salonu, ale równie dobrze mógł nie być zaproszony. Kiedy w Sztokholmie badałem okoliczności zabójstwa premiera Palmego, a w Tel-Awiwie rozmawiałem

z naocznym świadkiem zabójstwa premiera Rabina, miałem podobne uczucie niechlujnego absurdu.

Lasocki relacjonuje: „Stałem przy schodach, gdy z publiczności wyłonił się Niewiadomski. Przywitał się jak zwykle, rozejrzał się po publiczności i za chwilę zapytał: Który to Narutowicz? Odpowiedziałem, że go tu przecież jeszcze nie ma, bo gdyby był, to wystawa byłaby otwarta. Za chwilę otwarły się drzwi i wszedł Narutowicz w towarzystwie dwóch adiutantów. [...] Po jakichś 15-20 minutach słychać było suchy trzask, jak gdyby się szklany sufit na głowę walił. [...] Zjechały się zaalarmowane władze bezpieczeństwa, wpuściłem ich na górę, a sam pozostawałem na dole. Wtedy zaczął się dobijać ktoś do drzwi wejściowych. Kazałem otworzyć – ukazuje się Józef Haller ze swymi adiutantami. Opowiadam mu co się stało. Przyjął to niezbyt dramatycznie, gdyż pyta mnie: 'A gdzie on leży?' Ja go objaśniam, a on na to: 'Ale inne sale można obejrzeć'". I tak wedle relacji... słynny generał po prostu, jakby nigdy nic, zabrał się do oglądania obrazów, proszę jaki kulturalny człowiek! Przybiegli dwaj adiutanci z Zamku a ujrzawszy Hallera rzucili się na niego z obelgami, że to przez takich jak on... Dalej Lasocki wspomina: „kiedy drzwi były już zabezpieczone, poszedłem i ja na górę. Prezydent leżał na ziemi, koło kanapki pod obrazem Teodora Ziomka, który właśnie oglądał w sali nr 1. Przy nim klęczał ksiądz, zdaje się przygodny, zaproszony i modlił się. Poszedłem zobaczyć Niewiadomskiego. Był w tzw. sali Matejki, zaraz niedaleko drzwi. Siedział plecami do środka, twarzą zaś do obrazu Brandta 'Wyjazd z Wilanowa'. Nie był przez nikogo strzeżony i nikt na niego nie zważał. Popatrzyłem na niego. On, choć czuł, że ktoś przyszedł, ani drgnął, nie odwrócił się i zachowywał się zupełnie obojętnie z założonymi nogami".

W tle tej relacji, bardzo dobrej, bo trzeźwo-beznamiętnej jest informacja: „że ostatnim rozmówcą prezydenta był ambasador Wielkiej Brytanii, przepraszał, że nie był na zaprzysiężeniu i składał gratulacje". Narutowicz zażartował: „chyba kondolencje". I to miały być jego ostatnie słowa.

Mój ojciec opowiadał mi, że w jego szkole w małym miasteczku wszyscy nauczyciele nosili żałobne kokardki, a klasy szły na mszę żałobną... za duszę Niewiadomskiego!

Późni wnukowie tych żałobników krzątają się dzisiaj całkiem żwawo w Polsce.

Ta sama Zachęta po 75 latach. Czy emocje i nienawiści te same? Jednak mimo wszystko, nie. Prezydent Kwaśniewski zażartował, że nie może dłużej mówić, bo jego obstawa ma miękkie nogi ze strachu z powodu tej rocznicy. I dostał oklaski, ale nie wszyscy klaskali, bo jednak nadal sporo osób ma negatywne emocje wobec człowieka, który wyszedł z mroku PRL-u. Ale temperatura tych emocji lokuje się tylko w okolicach stanu podgorączkowego. Podobnie tylko jak w latach 20-tych jest zmęczenie sejmokracją, niemądrą zajadłością partii politycznych. Nie jest to jednak na szczęście zmęczenie śmiertelne, raczej podszyte ironią i lekceważącym machnięciem ręki. Nikomu nie przychodzi do głowy by brać do tej ręki pistolet.

Aktualny prezydent jednak stara się, by od czasu do czasu nam przypomnieć, że z klasą on też ma problemy. Oto ukazała się nagle reklama firmy meblarskiej „Forte", z podobizną Kwaśniewskiego, a reklama głosi: „Prezydent powinien być zadowolony". Najgorsze, że gdy zrobił się skandal to prezydent nadal był zadowolony, twierdził, że w ten sposób wspomaga polski handel do Azji. A już się nam czasami wydaje, że wychodzimy z prowincji i wkraczamy na salony Europy.

W kilka dni po wystawie, z synem Jana Cybisa, który jest architektem, biorę udział w telewizyjnej dyskusji na temat warszawskiej architektury, są też przedstawiciele władz stolicy. Gorzko słodkie uczucie, którego smak tak dobrze już znam, smak bezradności i braku wizji wobec tego miasta, które rośnie spontanicznie jak ciasto na drożdżach, lecz z zakalcem. Ale gdy jeżdżę dzisiaj po Warszawie, czy stoję w gęstniejących z każdym miesiącem korkach ulicznych, odnajduję uczucie, które pamiętam z dzieciństwa, gdy miasto rosło z ruin, a każdy budynek powyżej ośmiu pięter był drapaczem chmur. I zdawało się wtedy, nie tylko nam dzieciom, że im wyżej, prościej, bardziej metalowo i szklano, to tym nowocześniej, a więc ładniej. Dzisiaj te wszystkie budynki nadają się jedynie do rozebrania. A domy w Warszawie znowu rosną jak grzyby po deszczu naszego kapitalizmu. Ale na moje odruchowe podniecenie tym wzrostem i zmianą, siada okrakiem świadomość, że to chyba brzydko się zestarzeje, a nawet jeśli jest o wiele lepsze od budownictwa lat 60 i 70, to wydaje się nie wystarczające wobec estetycznych zaniedbań tego miasta. Jak ocieplić Warszawę przewianą przez przeciągi, której charakter i dusza spłonęły na stosie powstania? Na szczęście sporo odbudowano, potem z kolei wiele napsuto, a miasto dzisiaj jest brzydkie i nieprzytulne. Właśnie dlatego każdy nowy krok w architekturze powinien być czułym krokiem. A tak nie jest. Niedawno zrekonstruowano na placu Teatralnym dawny ratusz, pałac Jabłonowskich. Trzeba było pójść na kompromis z zachodnim inwestorem, dlatego wnętrza i zaplecze pałacu to biurowa atrapa, ale fasada jest dosyć starannie odtworzona. Na razie budynek wygląda trochę jak filmowa dekoracja, ale po kilku latach się spatynuje. Wielu architektów nadęło się: jak można odtwarzać po wiekach, należy budować nowe obiekty, bo miasto musi być żywe. Ale nie tylko w Polsce, gdzie architekci są niestety na ogół słabi, nie widzę architekta, który zaprojektowałby gmach lepiej estetycznie wpasowany w to miejsce, niż ów zrekonstruowany ratusz. Po raz pierwszy od lat jest w stolicy „nowy" budynek, gdzie przyjeżdżają warszawskie rodziny, aby go po prostu ze wzruszeniem oglądać. Oto jeden z licznych dowodów na klęskę współczesnej architektury, która w tej chwili znowu się w coś przepoczwarza, ale nadal jest nieprzytulna i zimna. Próbuje się wymyślić nowe, lepsze koło, a estetyczne formy domu, ulicy zostały opisane już w przeszłości i sprawdziły się w praktyce. Dlatego dzisiaj tylko stare fragmenty miast tworzą żywą i przytulną tkankę. Czy więc należy jedynie twórczo kopiować? To byłoby stawianie pomników swojej bezradności. Wybiera się więc wyjście połowiczne, a efekty są takież same. Już wszędzie w nowym budownictwie wraca się do kiedyś zaniechanej idei ulicy, z pasmem handlowym na parterze. Widziałem niedawno takie nowe fragmenty na warszawskim Ursynowie. Oddech ulgi, że jest lepiej, poczucie, że jest nie wystarczająco. Bo to nadal nie ma twarzy. A kiedyś twarz miał nawet balkon, klamka, okucie zamka, wszystko było naturalną ozdobą osadzoną w tradycji i kulturze, dzisiaj dekoracja bywa jedynie wymyślonym nawiązaniem. Kompromis między tradycją a nowoczesnością jest trudny i kaleki.

Po spektaklu „Nocy Listopadowej" wychodzę wprost na rozświetlony Ratusz i jednak cieszy on moje oko. Teatr Wielki był przez lata remontowany po pożarze a niedawno został upubliczniony. Wnętrze ma nową formę, zbyt wiele tam złoceń a ta stylizacja jest zimna. Spektakl dramatu Wyspiańskiego podzielił artystycznie intelektualną publiczność i krytyków. Reżyser Jerzy Grzegorzewski pohulał sobie z Wyspiańskim i z tradycją. Ale czy jest inne wyjście by dzisiaj potrząsnąć widzem? Wielki dramat narodowy utracił swój kontekst. I jest z tym kłopot. Paradoksalnie, kiedy Polska stanowiła część imperium, wszystkie romantyczne rekwizyty były żywe: książę Konstanty, kibitka na Sybir, cela Konrada, to wszystko miało swoje odpowiedniki w rzeczywistości Polski Ludowej. Tak oto PRL o niemal pół wieku przedłużył życie romantyzmu w Polsce. Zabawne, że komuniści mieli przeciwko sobie nie tylko Pana Boga, ale też wielką polską literaturę. Jaki jest kraj na świecie, gdzie po spektaklu teatralnym państwo drży w posadach, jak to było w roku 68?

Dzisiaj kiedy oglądam jak książę Konstanty miota się po scenie, jak biegają podchorążowie, a Chłopicki hamletyzuje, to rozglądam się gorączkowo za ramą, ale jej już nie ma. Polska jest wolna i ma bardzo praktyczne, a nie symboliczne problemy. A przecież znam historię, widzę korzenie wielu obrazów. Co czuje młodzież tak liczna na widowni? Reżyser stanął niemal dosłownie na głowie, by poruszyć ich wyobraźnię. W „Noc listopadową" wrzucił skrawki innych dramatów Wyspiańskiego, uruchomił liczne maszyny na scenie i pod sceną, ciągle coś się zapada i wynurza. Ale przy okazji powymyślał sceny tak wyrafinowane, że ten spektakl może być zrozumiały jedynie dla garstki wybranych, zrozumiały, co nie znaczy zaakceptowany. Gdy wnoszą na scenę polską żonę Konstantego w szklanej gablocie podobnej do fortepianu, a książę się na tym obiekcie kładzie, to domyślam się, ale z wielkim wysiłkiem całego umysłu, że reżyser chce powiedzieć, że Rosja mimo wszystko nie może Polski posiąść. Wyspiański był zuchwały w swoich wizjach, ale czegoś takiego by nie wykoncypował. Czy to działa na młodzież? Jeśli, to podobnie jak na Zachodzie frapował publiczność film Wajdy „Wesele". Mało z tego rozumieli, ale czarowała ich

magia tego dziwnego świata, jak nas czasami porusza sztuka afrykańska. Wyspiański w „Nocy Listopadowej" chwilami ocierał się o kicz, ale bywał też genialny. W tej bujnej inscenizacji kicz jako istota żywa jest wielce rozbrykany, obok kroczą piękne sceny nawiązujące do malarstwa epoki. A jednak zdarzało się, że czułem się zażenowany, byłem też zażenowany swoim zażenowaniem, a chwilami przysypiałem. Tak, romantyzm i neoromantyzm dopiero teraz kona w naszych ramionach. Reżyser o tym wie, igra z mitami, a nawet je obala, ale kiedy już leżą to widać tylko spore możliwości techniczne nowej sceny, nie najlepszą grę wielu aktorów, niespójną scenografię. To jest bełkot z bardzo ładnymi fragmentami. Ten typ eksperymentu jest od biedy do przyjęcia w teatrze studyjnym, ale nie na scenie narodowej. Zamiast wielkiego spektaklu mamy świadectwo zagubienia widowni, krytyków, aktorów i reżysera. I brak odpowiedzi na pytanie czy dzisiaj należy grać, czy igrać z naszą tradycją?

Pomyślałem, że mam chyba dosyć teatru, szczególnie teatru, który chce rywalizować z kinem. Nazajutrz byłem na małej i skromnej sztuce, w maleńkim jak ucho Teatrze Ochota. Domowa atmosfera, sztuka nie genialna i nie najlepiej grana ale czułem się tam bardziej żywo i na prawdę, niż na rozbuchanym Wyspiańskim w pozłacanej loży Wielkiego Teatru. Lecz naprawdę swojego zwątpienia w teatr zawstydziłem się już wkrótce. W Teatrze Rozmaitości młody i bardzo zdolny reżyser Piotr Cieplak wystawił „Testament psa" brazylijskiego dramaturga Sussuny. Przezabawna sztuka zanurzona w brazylijskim karnawale, a wystawiona w naszym szarym o tej porze roku mieście niezwykle barwnie i z życiem. To jest ciepła kpina, jeśli kpina może być ciepła, z kościoła katolickiego. I jednak dziwi, że taki spektakl nie budzi protestów w tak żarliwie katolickiej Polsce. Bo polska nietolerancja bywa zaskakująco tolerancyjna, oto nasz paradoks. Podejrzewam jednak, że gdyby taką sztukę napisał polski autor, to zrobiłaby się mimo wszystko awantura, a tu zawsze można powiedzieć, że to choroba kościoła, ale nie u nas. Lecz moim zdaniem właśnie w polskim kontekście pokazanie grzesznej zachłanności księży wydaje się bardzo na miejscu. Tyle się publikuje w naszej prasie odważnych reportaży, a

nikt nie odważy się pokazać jak wygląda pobieranie opłat przez księży, jakie są stawki za chrzciny, pogrzeby, śluby... jakie jest to zaplecze Kościoła, jaki poziom przeciętnych księży i co w końcu mówią o nich i parafianie, wierni i zarazem niewierni.

Święta jak od lat, deszczowe. I z każdym rokiem zaczynają się coraz wcześniej, oto kolejny znak europeizacji. Handel i komercja dają świętom rumieńce, ale czy nie są to chorobliwe kolory? Komercja wyjada je od wewnątrz z sacrum. Jestem w Supersamie. Jak ten czas leci, pamiętam ów pierwszy w Polsce wielki sklep samoobsługowy, co to była za sensacja! Teraz jest miniaturą przy powstających supermarketach, gdy dzwonię do kilku znajomych wpadam na ich telefony komórkowe, robią właśnie zakupy w tych świątyniach handlu. A Supersam staje się zabytkiem architektury modernistycznej. Z megafonów płyną kolędy „moc truchleje, ogień krzepnie". Jaka to piękna poetycka metafora! Ale ten ogień krzepnie wśród szynek i serów. Święty Mikołaj, który się kręci po sklepie, jest tak skomercjalizowany, że dzieci jeśli w niego wierzą, to tylko jak w hamburgera. Kolędy nuci też panienka, która między stoiskami zajmuje się promocją nowego gatunku czekolady, ma niezwykle krótką spódniczkę i ładne nogi, które eksponuje jakby to one były przedmiotem handlu. Staram się skupić na czekoladzie, ale moja uwaga biegnie do nóg!

By uciec od ciała idę do ducha i w domu czytam Ewangelię. Z każdym rokiem ta niezwykła opowieść coraz bardziej mnie przekonuje, że miała miejsce naprawdę. A od kiedy Tam byłem, znam scenografię, nawet zapachy, kolory. Ale też coraz trudniej mi zrozumieć ludzi, którzy czerpią z tej opowieści wiarę. Biorąc pod uwagę ogromną skalę tej wiary, moje niezrozumienie jest stworzeniem żałosnym i karłowatym, ale stoi bardzo twardo na swoich krzywych nogach. Spłycenie tej wiary nawet u wierzących, oto fenomen naszych czasów. Ale czy niewierzący, też jakby płycej dzisiaj niewierzą?

Forma nowej cywilizacji, w gruncie rzeczy laickiej, wypranej z metafizyki, a pełnej ognisk magii, gdzie grzeją dłonie zmarznięci i przestraszeni, dramatycznie mi nie odpowiada. Nie mam jednak żadnej propozycji dla siebie i dla innych.

Święta w Polsce nadal są rodzinne, ale jak wszędzie przede wszystkim ogląda się telewizję. Miliony narkomanów podłączają się do kilkunastu kanałów. W wigilię jest może tylko nieco mniej niż zwykle mordowania i kopulacji. Kto by pomyślał, że stworzenie sztucznych światów, drażnienie naszej wyobraźni tak się rozpleni, że nasz organek wiary w fikcję dotychczas eksploatowany głównie przez książkę, zmieni się w wielkie organy, na których można zagrać już niemal wszystko. Film spowodował, że dzieci są dzisiaj bardziej dorosłe, a dorośli o wiele bardziej dziecinni. A Boże Narodzenie jest przede wszystkim świętem telewizji i handlu, przekupnie zostali wpuszczeni do świątyni, i nikt nie ma już siły ani ochoty by ich przegonić.

Jadę na spotkanie autorskie do Radomia, samochodem, w grudniowym deszczu gęstym jak śnieg. Jestem spóźniony i jadę po wariacku, ale kątem oka widzę większych szaleńców, jakiś osobnik który nie do wiary gryzie kierownicę wyprzedza mnie właśnie z lewej strony zahaczając o pobocze. Myślę o biskupie Życińskim, który mnie kiedyś skarcił za brutalne myśli wobec bliźnich, i blokuję w sobie wyobrażenie, że spycham palanta do rowu. Drugim okiem obserwuję chaos i brzydotę tego co przez ostatnie lata kapitalizmu obrosło brzegi szosy. Zakłady, zakładziki, sklepy, wszystko szpetne, gęsto naćkane, woła jeść do pieniędzy, ale jest w tym też witalny optymizm wzrostu tropikalnej dżungli.

Radom, miasto nie zniszczone przez wojnę, ale okrutnie pogryzione przez socjalizm, mieszkańcy są przekonani, że po roku 76, po manifestacjach robotniczych, miasto było źle widziane i celowo niedoinwestowane. I że płacą za to do dzisiaj. Może to prawda, a może to odwieczna i bardzo krzepka w Polsce potrzeba znalezienia prostego wytłumaczenia swojej trudnej sytuacji.

Stara substancja miejska jest zawsze bardziej ludzka, ciepła, niż nowa, pod warunkiem jednak, że nie gnije. W Radomiu to wszystko ledwie się trzyma szarej kupy. Radom kwitnie ale tylko na poziomie parteru, tam biegnie odno-

wione i pachnące handlowe pasmo, gdy piętra i podwórka są w stanie okropnym.

Wstępuję do Muzeum Sztuki Współczesnej, bo ma dobrą markę, a powinny tam wisieć trzy obrazy mojego przyjaciela zakupione przez muzeum. Chciałem obejrzeć jego pełne światła ogrody kwitnące w środku radomskiej zimy. Moje pojawienie się w muzeum późnym popołudniem wzbudziło poruszenie i popłoch. Najwyraźniej byłem pierwszym i zapewne ostatnim gościem tego dnia. Bilet kosztuje tylko złotówkę, ale by wydać mi z pięciu szatniarz został wysłany do sklepu rozmienić. Pojawił się nawet dyrektor. W muzeum nie zobaczę jednak ogrodów mojego przyjaciela, ogrzewają piwnice muzeum, obrazy z kolekcji wystawia się tylko w czasie wakacji. Jest za to wystawa holenderskiej artystki, tak nowoczesnej, że czuję od tych prac powiew chłodu, i nic więcej. Już się nie dziwię, że żaden normalny mieszkaniec Radomia tu nie zajrzy. Słynna holenderska artystka, zimna jak lód, otulona obojętnym Radomiem.

Radom jest głośny w Polsce z wysokiego bezrobocia i z akcji „małolat". Wprowadzono tam niedawno godzinę powiedzmy pół-policyjną dla młodzieży poniżej 18 roku życia by zastopować przestępczość nieletnich. Trochę podyskutowano na ten temat w prasie, ale nawet znani liberałowie właściwie są za. Niech to będzie jeden z dowodów na naszą bezradność wobec problemu. Właściwie czemu w następnym kroku nie legitymować w nocy obywateli powyżej 18 roku życia? Nie ma wątpliwości, że będzie bezpieczniej na ulicach.

Z tyłu głowy ludzi, którzy kiedyś byli w stanie oddać życie za demokrację, rośnie coraz wyżej myśl, którą strach wypowiedzieć publicznie, że demokracja ma więcej wad niż się zdawało, że pokrzywiony jest jej kręgosłup. Coraz trudniej uwierzyć, że większość ma rację. Większość zwykle nie ma racji. Szczególnie w dzisiejszym skomplikowanym świecie, ludzie nie rozumieją rzeczywistości, bo jak pojąć mechanizmy wielkich finansów, prawa ekonomii, to wymaga i trzeźwości sądu i wiedzy profesorskiej. Ale profesorzy też są ze sobą na każdy temat publicznie skłóceni, co w ludziach tylko uzasadnia myślenie irracjonalne, tłumaczenie sporu walką o pieniądze i stołki.

Wyobrażam sobie, jaki jest zamęt w głowach w związku

z szykowaną reformą administracyjną Polski. Ma być drastycznie zmniejszona ilość województw, stworzonych ma zostać około 300 powiatów, wzmocnione zostaną samorządy. Jest spór, ale ja sam z tego mało rozumiem. Jedni mówią, że to tylko mnożenie stanowisk dla partyjnych egoizmów, inni, że to kraj zdecentralizuje i zdynamizuje zarządzanie nim. Widać jak na dłoni grę bardzo partykularnych interesów, i ta humorystyczna panika w kręgach narodowych, że mała ilość województw tak zwiększy ich siłę, że doprowadzi do dzielnicowego rozpadu Polski. Narodowcy snują wizję secesji różnych prowincji i podziału państwa. Brak zaufania narodowców do własnego narodu jest ich cechą wzruszającą. I jest też awantura, że nie będzie województwa częstochowskiego, a tam przecie Jasna Góra!

Komplikuje nam się wolność, tak jest nie tylko w Polsce, ale my nie jesteśmy do takich komplikacji przyzwyczajeni. Aby wrócić do malarstwa, na wystawie pewnej znajomej, po dosyć patetycznych wystąpieniach artystycznych, wystąpił nagle pewien artysta z konkretem, oświadczając, że przyniósł do podpisania apel. Zamierza się zebrać 100 tysięcy podpisów by otworzyć Sejmowi możliwość prawnego działania. To apel w sprawie ograniczenia emitowania scen przemocy w telewizji. Poczułem jak zderzają się we mnie sprzeczne uczucia. I takie na wernisażu też były reakcje, skrajnie mieszane. Mój znajomy artysta wpada na mnie, a jest w stanie tak wielkiego wzburzenia, że bałbym się w tym momencie zmierzyć mu ciśnienie, gotuje się ze złości, że tylko zmierza się do wprowadzenia cenzury, że kler i prawicowy i zaściankowy parlament się tego uchwycą i założą pas cnoty na nasze mass-media. Ale z kolei W. też przecież bardzo liberalny i antyklerykalny jest z całego serca za ograniczeniem gwałtu w telewizji. Ma 3-letniego syna, który powtarza reklamy podpasek. Rodzice są pewni, że jeśli zapamiętał je wiernie jak pamięta płyta kompaktowa, to równie dobrze notuje w swojej małej głowie wszystkie sceny mordowania z telewizji. A telewizora nie można się pozbyć, ani go zbyt często zamykać, bo współczesne dziecko popadnie w obłęd, z rozpaczy.

Jak zdefiniować akty przemocy w jakiejś ustawie? Prawie nie ma dzisiaj filmu, gdzie by nie było przemocy. Ja też oddycham z ulgą, kiedy oglądam film, gdzie nie ma scen gwał-

tu. Ale „Mackbet" Szekspira, jest przecież bardzo gwałtowny, a jaki będzie film „Ogniem i mieczem", który się teraz na nieszczęście w Polsce kręci? Tu gdzieś jest problem nie do rozwiązania. Więc może lepiej go nie rozwiązywać, a walczyć tylko, by mass-mediami kierowali ludzie o zdrowym rozsądku?

Muszę też powiedzieć, że w dziedzinie obyczajowej, to nie mam za grosz zaufania do tego parlamentu i rządu. Unia Wolności dla dobra polskiej gospodarki poświęci wiele. Nowy minister edukacji blokuje lekcje wychowania seksualnego w szkołach, aborcja jest znowu zakazana, po Irlandii mamy najbardziej surową ustawę w Europie. Szykują się następne kroki by bardziej umoralnić nasze społeczeństwo.

I kto by pomyślał, że pod progiem nowego tysiąclecia najbardziej gorące polskie spory będą dotyczyły seksu? Bulgotało i gotowało się od emocji w polskim parlamencie, gdy debatowano nad prezydenckim veto wobec zaniechania osobnych lekcji wychowania seksualnego, a to pomysł nowego ministra oświaty. Lewica starła się z prawicą jak dwie armie pod Grunwaldem krusząc kopie i miecze o seks polskiej młodzieży. Fragmenty Unii Wolności kryły się po kątach wielce zagubione, bo są po stronie liberalnych poglądów lewicy, ale ta lewica to postkomuniści. Otworzyłem telewizor dosyć późno, a ilu głupstw zdążyłem się nałykać! Bałem się, że mi to zaszkodzi, ale organizm odporny po pół wieku PRL, wytrzymał. Ból na twarzach wielu posłów AWS-u, że muszą mówić o tym, o czym powinno się milczeć. Grupa posłów Unii Wolności głosowała jednak zgodnie z własnym sumieniem, czyli ze zdrowym rozsądkiem. I lekcje wychowania seksualnego zostały przywrócone.

We wstrząśniętym AWS-ie zawrzało, że głosowanie potwierdza, że Unia Wolności jest demoliberalna, czyli demoniczna i po stronie zła. Głosowanie nazwano zdradą koalicjanta i „zatrutą strzałą". A w katolickim piśmie *Niedziela* bije się na trwogę: „Deprawacja naszych dzieci na masową skalę ma być w Polsce wprowadzona pod osłoną fałszywej troski o ich zdrowie, szczęście, a nawet moralność". Odezwały się głosy, że dla ratowania narodu powinno się poszerzyć koalicję o PSL, bo w sprawach moralnych jest bliski AWS-owi. Nawet mimo ich przeszłości, paranoicznych poglądów na

ekonomię! Ale nawet najlepiej funkcjonująca ekonomia nam nie pomoże, jak polska młodzież będzie deprawowana przez szkołę. Oto seks zagraża młodej koalicji. To wszystko właściwie humorystyczne. Rzecz dotyczy młodzieży, która o seksie wie o wiele więcej od wielu zdziecinniałych posłów prawicy. Starsze pokolenie jest tu podzielone, ale nadal pewna większość jest za liberalną ustawą aborcyjną. Młodzież niemal w 100% jest za nią. Wzorem poprzedniej ankiety dla *Kultury* zbadałem szkoły, już pod kątem czysto obyczajowym. Oni piszą jakby jedną ręką, to jest aż monotonne. W przygniatającej większości są za liberalną ustawą aborcyjną, nie chcą jednak aby aborcja była środkiem antykoncepcyjnym. Łatwiej w polskim lesie spotkać niedźwiedzia niż uczennicę w liceum, która jest przeciwko pigułce antykoncepcyjnej, z którą tak wojuje nasz papież i kościół. O seksie i antykoncepcji wiedzą dużo, ale nie ze szkoły. Piszą o tym po prostu. Jeśli słuchali debaty w naszym parlamencie, w co wątpię, bo ten typ kabaretu ich nie bawi, to mieli wrażenie, że spierano się o coś co ich nie dotyczy, bo to jest na innej planecie. Nasi konserwatywni posłowie, nasz kościół, nie wiedzą, że żyją w krainie własnych wyobrażeń. Jeśli prawica będzie się upierać przy obyczajowym dogmatyzmie, babrać w sprawach drugorzędnych i je haniebnie przegrywać z SLD i z prezydentem, to ma już przechlapane najbliższe wybory samorządowe.

Trzeba jednak odnotować, że przynajmniej gdy chodzi o ekonomię, to spora część naszej prawicy, która głosiła kuriozalne teorie, została zgwałcona przez potęgę rzeczywistości i zmieniła poglądy. A co jest z wielkim programem naprawy państwa zepsutego przez SLD? Premier grzmiał zapowiadając wielką sanację. A tu na razie tylko widać jak tłum się krząta wśród konfitur, sporo słoików już potłuczono, ale ciągle jest wiele do wyjedzenia. Premier Buzek nadal ma wyraz oczu człowieka uczciwego, ale śmiertelnie przestraszonego. Myślałem, że mu to przejdzie, ale już widać, że mu tak zostanie. Przestraszony, bo niepewny siebie, a więc zależny. Chwaliłem go za uczciwość, ale ona bez siły nie jest w polityce zaletą.

Problemem Polski nie są lekcje wychowania seksualnego, a jak odrobaczywić Polskę, czyli jak ją odbiurokratyzować. Jak zbudować sprawną administrację, uprościć gmatwaninę prawną, stworzyć koncepcję przekształcenia polskiej wsi,

usprawnić sądownictwo i policję, uzdrowić bardzo chorą służbę zdrowia, no i ta nieszczęsna oświata. A czas szybko płynie. Było dużo gadania, ale i ono już zamiera, a zrobiono niewiele.

Kolega, który z ramienia nowej władzy wrócił na stanowisko, które opuścił po dojściu do władzy postkomunistów, opowiada, że zanim cokolwiek nowego ruszyło, to już wszystko zastygło. Z tego co miało być wielkim reformowaniem, naprawianiem, dynamizowaniem, zostało co było. Znam to z autopsji, zapadanie się w magmę zastanego stanu rzeczy. By radykalnie reformować trzeba koncepcji, ludzi, wielkiej determinacji. Nie ma ani jednej z tych rzeczy. Jak trafnie pisze w *Polityce* Janina Paradowska: „Znakiem firmowym koalicji miały być reformy, a stała się partyjność". Mam dosyć dokładne informacje z podwórka trzech ministerstw i doprawdy rysuje się smętny obraz. Nie jestem jednak nim zaskoczony. Oto po kilku miesiącach jest taki sam marazm jak za rządów SLD. Czyli po staremu, obracają się tryby ministerstw i urzędów, awansują często szumowiny ze starych ekip, nikt im nie przeszkadza z lenistwa i z bezwładu. Ma miejsce rzecz jasna duża rotacja kadr, ale głównie dlatego, że trzeba wymienić, wynagrodzić, obsadzić swoimi, a kompetencje są rzecz jasna na ostatnim miejscu. Kraj jednak idzie do przodu jak szedł. Na tym polega cud kapitalizmu, jego ogromna tolerancja na niekompetencję.

Nic dziwnego, że w części tej naprawdę ideologicznej AWS-u narasta frustracja, miała być rewolucja, a jest sieczka. Zapalają się na razie małe ogniska buntu – „obiecaliście rewolucję, a jest nic". To akurat prawda, ale co oni sami mają do zaproponowania? Jak się pyta o konkrety, to bredzą. Ci co dostali słoiki z konfiturami, siedzą cicho. Z kolei w ramach Unii rośnie ból zgniłego kompromisu, że Unia jest skazana by firmować decyzje kadrowe, których się wstydzi. Wygląda to coraz bardziej przygnębiająco, ale smutek jest łagodzony przez niezłe wyniki ekonomiczne kraju, a rozwój wypadków był przecież do przewidzenia, zaś afera rozporkowa w USA ukazuje, że świat polityki i mediów jest wszędzie na granicy obłędu.

W Nowy Rok wkraczam poprzez dwa miejsca. Jedno bardzo rodzinne, bo gospodynię znam od dziecka, niemal

razem się wychowywaliśmy. Pamiętam jak kąpali ją rodzice, a teraz mówi, że jest zmęczona, bo musiała dzisiaj wykąpać matkę i ojca. Nasi rodzice dziecinnieją, a nasze dzieci są dorosłe. A my, gdzie my w tym wszystkim jesteśmy? Na bardzo cienkiej nitce zawieszeni w międzyczasie. Tak nam się zdaje, bo w rzeczywistości jak żółwie suniemy ku swemu przeznaczeniu.

Są znajomi, którzy przyjechali z różnych stron świata, wschodnie i zachodnie wybrzeża USA, jest bardzo piękny Paryż. Wszyscy przyjezdni narzekają na pewien typ duchowej pustki w miejscach gdzie żyją, a w Polsce szukają skrawków materii duchowej, która ocalała. Nikt nie tęskni za koszmarem bytowania w Polsce Ludowej, ale szukamy tego zagubionego smaku dawnych gęstych spotkań, barw emocji, które jak ruchome wysepki pływały po mazi ówczesnej rzeczywistości. Ale coraz trudniej je dzisiaj odnaleźć.

Potem jedziemy do starych znajomych, tyle wspomnień ze stanu wojennego. Jak sobie przypominam ówczesne myśli i emocje to czasami sam sobie zazdroszczę tych atrakcji, a czasami się okropnie wstydzę, że tak myślałem emocjami, bywało więc, że bardzo głupio. Jadę i nie mogę tam trafić, a byłem w tym domu setki razy. Okropne uczucie, jakbym po wylewie we własnym mieszkaniu nie mógł trafić do swego pokoju. A to tylko wylał czas, wyrosły nowe domy, ulice i drzewa. W końcu korzystając z pomocy mapy i nastrojonych sylwestrowo ludzi odnajduję ogród zakrzepły w zimowej nocy. Te drzewa, które wspólnie sadziliśmy mają dzisiaj pień gruby jak noga słonia, na dodatek noga pomarszczona.

Fajerwerki dotarły do Polski nie tak dawno i stały się znakiem nowego czasu. Ich świetliste fontanny krzyczą o wolności. Z każdym rokiem o północy jest ich więcej, możemy już w tej dziedzinie konkurować z każdym wysoko rozwiniętym krajem. Oglądałem Warszawę o północy od praskiej strony, wydawało się, że w mieście trwa powstanie i za chwilę musi paść Starówka.

Późną nocą przejechałem samochodem w pobliżu Placu Zamkowego, gdzie z każdym rokiem zbiera się coraz większy tłum, i jak w wielkich stolicach świata wspólnie się wita Nowy Rok. Wszystko iskrzyło się od szkła stłuczonych butelek, jakby przez pomyłkę potłuczono już nowy rok.

Narastanie brutalizacji życia polskiej ulicy, ale jeszcze bardziej narastanie poczucia brutalizacji, w czym spora zasługa mass-mediów, które zaczęły się tym żywić jak rekiny ludojady ludzkim mięsem. System sądowniczy ledwie dycha. Mój syn, który studiuje prawo i praktykuje w sądach jest przerażony stanem polskiego sądownictwa. Naród oniemiały patrzy na procesy różnych gangów, gdzie oskarżeni są butni i bezczelni, a sąd bezradny. Kiedyś oglądaliśmy amerykańskie filmy gangsterskie, jako coś bardzo orientalnego, dzisiaj patrzy się na to doprawdy z wielkim zrozumieniem. Gorzej, że nasi przestępcy też patrzą i się uczą. Porachunki gangów odbywają się w centrum Warszawy, a trup ściele się gęsto.

Wiele włamań w mojej okolicy. Włamano się do pobliskiego baru alkoholowego, nie wiem co tam było do ukradzenia, na pewno nie toaleta, bo jej tam nie ma, dlatego piwosze wydalają się pod moimi oknami. A zaraz potem ofiarą włamania padła sąsiednia, skromna drogeria, gdzie niemal codziennie coś kupuję. Sklep był dobrze zabezpieczony. Więc złodzieje dostali się najpierw do piwnic domu, rozbili sufit piwnicy i tą drogą dostali się do sklepu. Akcja miała miejsce pod mieszkaniem mojego kolegi i sąsiada pisarza Ł. który jak kret ryje w XIX wieku pracując nad nową biografią Mickiewicza. (Oto zbliża się Rok Mickiewiczowski, i trochę strach, że nas wieszczem zanudzą). Właściciel drogerii jest w szoku, ale nie z powodu strat, które poniósł. By ukraść kilka szamponów i garść kremów włamano się do drogerii jak do banku. A do willi mojego kolegi, zamożnego lekarza przyszli w środku nocy. To byli kulturalni złodzieje. Wchodzą przez okno, gdy właściciele śpią, idą na paluszkach, najpierw do płaszczy po kluczyki do samochodu... tu mieli pecha, bo zaciął się pilot i obudził się pies. Więc opuścili pokład. Niestety coraz jest mniej takich kulturalnych złodziei.

Nie znamy prawdziwej skali przemocy, bo coraz częściej ludzie nie zgłaszają się na policję, nie wierzą, że coś to da. Wykrywalność przestępstw jest niebywale niska. Wśród wielu bilbordów pojawił się malowniczy portret kija baseballowego zanurzonego w kałuży krwi, z napisem: „Służy do grania, Nie do zabijania". Rzeczywiście cenna informacja, bo Polacy nie mają pojęcia o baseballu. Ale ten kij jako broń to przecież nie jest nasz oryginalny pomysł, to również import z USA.

Kopiujemy już nieomal wszystko, małpujemy, papugujemy nawet o tym nie wiedząc. W telewizji większość rozrywkowych programów, gier, konkursów jest żywcem zerżnięta z amerykańskich.

Ale jak tu wołać o naszą polską, swojską regionalną oryginalność, skoro tak gromko o to wołają idioci, nacjonaliści, jak krzyczeć by nie stać się częścią tego chóru. Komercjalizacja naszego życia staje się nowym totalitaryzmem, o wiele bardziej podstępnym, bo kłamstwo jest ładnie opakowane i starannie umyte.

W Słupsku policjant zatłukł pałką 13-letniego kibica koszykówki. Manifestacje młodzieży trwały kilka dni. Wielka debata, co się właściwie stało? Ścierają się sądy, że mamy zdemoralizowaną, nieszczęśliwą młodzież. Że mamy zdemoralizowaną, bezkarną policję. Jak na dłoni widać, że gdyby młodzież w Słupsku nie wyszła na ulicę, to policja sprawę by zatuszowała, była gotowa bajka, że chłopiec zabił się sam, zderzając się ze słupem. Znamy to z przeszłości. Ale nie budzą też sympatii pijane watahy na ulicach miasta, które wyją „śmierć za śmierć". Nie budzą sympatii głosy słupskich policjantów, którzy są oburzeni, że aresztowano ich kolegę, tego co zbił chłopca. Nie budzi sympatii nowy minister MSW, Tomaszewski. Jego surowe oblicze, a w nim nieporadny język polski, i elementy autorytarnego myślenia. Nie mam sympatii do Zomo, które nas tak skutecznie tłukło w stanie wojennym, ale trzeba przyznać, że dzisiaj oddziały specjalne to amatorzy.

W sumie niezłe wrażenie i dobrą robotę wykonały tylko mass-media. Telewizja, prasa stały się wielkim świadkiem i śledczym, obrońcą i oskarżycielem.

Jak pogodzić wolność z walką o praworządność? Będziemy się z tym szarpać jeszcze długo, zanim wypracujemy jakiś sensowny model. Znając przekorne polskie dusze jestem spokojny, że społeczeństwo nie pozwoli władzy pójść za daleko w ograniczaniu swobód. Ale też wszyscy chcą czuć się bezpiecznie na ulicach. Tu jest szansa na kompromis. Na razie problemem jest nieporadność i złe nawyki policji. Płaci ona wysoką cenę za swoją zbyt dużą „poradność" kiedyś.

Młode pokolenie rośnie w duchowej pustce. Uczniowie

liceów, przyszła polska elita nieźle sobie z tym radzą. I właśnie tę młodzież badała *Kultura*. Wyniki ankiety są prawdziwe i bardzo sympatyczne, są liberalni, otwarci, myślący. Ale nie badano młodzieży, która kończy jedynie szkoły podstawowe, a to oni tworzą prymitywne szczepy sportowych kibiców, których nazywa się teraz „szalikowcami". (To też przyszło z cywilizowanego świata). Wzrasta przestępczość wśród nieletnich, powszechne są morderstwa, zdumiewające, bo bez motywu. Jednak trochę lepiej się czujemy, jak ktoś kogoś zabije z jakiegoś powodu, choćby błahego. Ale jeśli życie jest bez sensu, to zabranie komuś życia, jest tylko uzupełnieniem bezsensu. Zaczyna się histeria i nagonka na młodzież, która jak każda nagonka jest ślepa. A to tylko drugi biegun Polski, tej biednej, bez pracy i bez korzenia. I jest demokracja. Podział stanowy, klasowy zakuwał ludzi w dyby pozycji społecznej i tworzył pewien porządek, ale „pewien porządek" narzucał też system totalitarny. Dzisiaj wszyscy wyszli na ulicę i są na tych samych prawach czy bezprawiach. Tym problemem dzielimy się z cywilizowanym światem, nie jak opłatkiem, jak kawałkiem surowego mięsa.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Doświadczenia historyczne sprawiły, że bogacz, zwłaszcza świeżej daty (a gdzież u nas szukać innych?!) cieszy się w Polsce opinią kogoś wysoce podejrzanego. Nie bez racji. Wywodzi się przeważnie z „handlarza-wiecznego wędrowca", który wędrować po świecie za handlem zaczął w latach osiemdziesiątych; tu sprzedał, tam kupił, ówdzie wymienił. Musiał mieć komputer w głowie, żeby się w tym wszystkim połapać. W ten sposób przyszły przedsiębiorca uczył się

handlu obwoźnego, ale majątek na szeroką skalę zdobył ostatecznie na machinacjach walutowych w związku z przemianą ustrojową. Zdobył szybko. Bynajmniej nie w guście karier legendarnych czyścibutów, którzy od rzemyczka do koziczka dochodzili do stanu posiadania.

Istnieje jeszcze druga grupa wzbogaconych przemianą ustrojową. Należą do niej „wielcy przegrani". Pezetpeerowcy, połapawszy się, że stracili władzę, nie potracili bynajmniej głów. Upokorzeni i wyśmiani (owo słynne: „sztandar PZPR wyprowadzić", do dziś powtarzane z satysfakcją przez lud) – otóż ci pognębieni ludzie złapali się w mig za kasę. Chybotliwość prawa dopomogła im w zawiązywaniu wszelkiego rodzaju kumoterskich spółek i niezupełnie czystych firm. Konia z rzędem temu, kto mi dziś w Polsce pokaże socjaldemokratę wywodzącego się z komunizmu – nie zasobnego. Takich nie ma. Wszyscy bogaci.

To na podstawie ich działań powstało celne słowo „przekręt", powtarzane dziś w Polsce częściej niż „chleb". „Afera" jest pojęciem szerszym, wielowymiarowym, natomiast „przekręt" idealnie oddaje istotę machlojki, polegającej na stosowaniu wobec siebie luźnej etyki i nepotyzmu partyjnego.

Nawet ludzie o niewątpliwych zasługach pozwalają sobie na luźną etykę, która staje się w Polsce niemal normą.

Wytworzył się u nas typ człowieka, który jeżeli działa w handlu, nie zna kupieckiej rzetelności i uczciwości, a jeżeli działa w polityce, nie zna godności. Być może, wynika to z braku rozdziału między żądzą pieniędzy a żądzą władzy. Człowiek przedsiębiorczy i ambitny chce jednego i drugiego w równej mierze.

W tej sytuacji ktoś o niepokalanej uczciwości, jakim wydaje się być Jerzy Buzek, budzi nieufność – nie pasuje do „towarzystwa".

Buzek poleciał służbowo do Rzymu rejsowym samolotem, płacąc za bilet towarzyszącej mu żony i córki, podczas gdy w tym samym czasie minister Siwiec z Kancelarii prezydenta wziął prezydencki helikopter, żeby polecieć na zebranie swojej partii. Zapłacił dopiero wówczas (i to na raty), kiedy wieść o tej przejażdżce wyciągnęli mu dziennikarze.

●

Pierwsze koty za płoty! Tak lekko, tak bez refleksji, przyjęła koalicja swoją pierwszą przegraną z prezydentem. Zły prognostyk.

Dwie ustawy wniesione przez rząd – o zrównaniu waloryzacji emerytur mundurowych i zwyczajnych oraz o niewprowadzaniu osobnego przedmiotu nauczania seksualnego w szkołach – przepadły. Najpierw zawetował je prezydent, a potem *veto* prezydenckie potwierdził w głosowaniu Sejm.

Koalicja przegrała na własne życzenie, popełniając grzech zaniechania. Bowiem przy odpowiednim przygotowaniu można było obie inicjatywy ocalić. Mówiąc o przygotowaniu, mam przede wszystkim na myśli dogadanie się z prezydentem tak, żeby ustaw nie wetował. Nie wydaje mi się to zadaniem niemożliwym do przeprowadzenia, wręcz przeciwnie, nie tylko możliwym, ale koniecznym na przyszłość. Takie właśnie wnioski koalicja powinna wyciągnąć z porażki. Tym bardziej, że grunt pod rozmowy ma nader podatny. Prezydent niejednokrotnie dowiódł swojej zdolności do kompromisu; nieraz dawał dowody swojej elastyczności.

Tymczasem ograniczono się do wypominania mu w nieskończoność, że zawetował obie ustawy z myślą o przyszłym elektoracie, zapominając, że w równym stopniu, co dbałość o swój żelazny elektorat, dla Aleksandra Kwaśniewskiego ważna jest pozycja bycia prezydentem wszystkich Polaków. Nie należy więc tej jego wizji samego siebie mu utrudniać, ale wręcz przeciwnie, na ten właśnie *image* stawiać. Wieczne dawanie mu do zrozumienia, że jest obcy, że jest więźniem wrażej partii, nie dość, że dowodzi braku rozeznania psychologicznego, ale wydaje się być wręcz szczeniackie.

Tym niemniej, przy odpowiednim nastawieniu i zachowaniu można by z nim dojść do *consensusu*. Ale nad tym trzeba by popracować. Jak dotąd, żadnej pracy, ani współpracy nie było. Odwrotnie, były szykany, jak choćby sprzeciw wobec obecności na posiedzeniach rządu przedstawicieli Kancelarii prezydenta, dotychczas zwyczajowo tam obecnych. W tych warunkach poddaje się każdą kolejną ustawę pod topór. Jak te dwie.

A szkoda, bo były to ustawy ważne.

Wojsku i policji trzeba płacić dobrze, nawet bardzo dobrze (w zależności od funkcji, oczywiście), ale waloryzować

emerytury, wszelkie emerytury, trzeba wedle jednej stopy dla wszystkich grup społecznych. Inaczej – dojdziemy nie tylko do grubej niesprawiedliwości, ale i do absurdu.

Druga ustawa, o wprowadzeniu w szkołach osobnego przedmiotu nauczania seksualnego. Nie mam nic przeciwko właściwemu uświadamianiu młodzieży, ale kto ma to robić? Spec od seksu? Nazwa budzi jedynie dwuznaczne skojarzenia. Kompetentnych nauczycieli z tego zakresu, i to w skali masowej, nie ma i prędko nie będzie. Za to będą wydatki. Stracone dla budżetu i szkolnictwa pieniądze. A ustawa zostanie na papierze. Zamiast więc wprowadzać fikcyjny, ale kosztowny przedmiot, nie lepiej powierzyć rzecz po staremu wychowawcy i biologowi? A i tak, jak wiek wiekiem, dziecko będzie nadal uświadamiać ulica, dawniej – pokątne obrazki, dziś – telewizja, lektura, kolega.

Gdy czytelnik weźmie ten numer *Kultury* do ręki, będzie wiedział więcej niż ja teraz. Będzie wiedział, czy rośnie, czy maleje mur między prezydentem a koalicją. Będzie wiedział, czy koalicja się cementuje, czy też odwrotnie, rozsadza od wewnątrz.

●

„Sałatka aniołów w cieście ptysiowym, jaja przepiórcze w sosie *vinaigrette*, udziec z jelenia, szynka z dzika, bażant po kardynalsku" – to tylko drobne wyimki ze stołu urodzinowego (85-lecie) Jerzego Turowicza, szefa *Tygodnika Powszechnego*, jakie w Pałacu pod Baranami zgotował jubilatowi właściciel miejsca, Antoni Potocki i restaurator, Jacek Łodziński. Kraków umie robić takie rzeczy...

Już na Dworcu Centralnym w Warszawie zwoływaliśmy się jak kibice piłkarscy: „na Turowicza, na Turowicza...". Pociąg pełen był gości jadących na tę imprezę.

Tu warto wspomnieć, że trasa Warszawa-Kraków może być wizytówką PKP. Istotnie, przypomina zachodnie pociągi typu *inter-city*. Pociąg jedzie omijając miasta, tak zwaną magistralą węglową, osiągając Kraków w dwie i pół godziny.

Dworzec warszawski, pełen zimna i przestępczości, żywo kontrastuje z krakowskim, który choć remontowany kilkadziesiąt lat, jest wreszcie pełen ciepła, światła, secesji i wygo-

dy. Po prostu, Galicja. Inny świat – dla ludzi.

Prosto z dworca idziemy na mszę do dominikanów, koncelebrowaną w intencji jubilata przez księdza biskupa Tadeusza Pieronka. Kościół pełen, około siedmiuset osób. Niemal w tej samej liczbie udajemy się następnie pod „Barany". Na szczęście, wszędzie blisko, tu miasto pozostało zwartym miastem, co uderza po Warszawie, która miastem nie jest, ale zbiorem kilkunastu maksymalnie niezbornych gmin.

Po laudacjach, których długość skutecznie dyscyplinował Krzysztof Kozłowski, opanowując nawet wielomówność Władysława Bartoszewskiego – naród rzucił się na stoły. „Oto arystokracja wygłodzona przez pięćdziesiąt lat" – zażartował szyderczo pewien poseł, zawstydzony tą przepychanką. Renata Marsch, wieloletnia korespondentka DPA w Polsce, która nie zdołała sobie niczego nałożyć na talerz, uspokaja, że nie ma się czego wstydzić, w Niemczech i wszędzie w Europie ludzie zachowują się podobnie...

Przy niezrównanych galicyjskich deserach było luźniej. Ktoś podsunął talerzyk kelnerce: „to dla pana premiera" (nazbierało się ich kilku przez ostatnie lata), „a to dla zwykłej obywatelki" – powiedziałam podsuwając swój. I zostałam obsłużona pierwsza. Wiwat demokracja!

Ale poważnie: jubilat, choć szwankujący ze zdrowiem, był naprawdę wzruszony i szczęśliwy. Wyznał wprost, że uznanie, jakie mu zgotowano tą uroczystością, uważa za coś najlepszego, co może człowieka spotkać w życiu doczesnym, chociaż zaznaczył krytycznie, że zakrawa ono na kult jednostki.

Do „kultu jednostki" przyznał się młody zespół pisma. Tak, zrobili to celowo i świadomie. Bez wiedzy jubilata wydali specjalny dodatek na jego cześć.

Młody zespół, który zastąpił stary garnitur, choć wywodzi się z tego samego pnia myślowego, różni się od poprzedników dość znacznie. Jest bardziej zamknięty w środowisku pokoleniowym; odwrócony od innych, trochę tworzy klan, no i mniej w nim dawnych indywidualności. Ale tacy nie rodzą się na kamieniu. Niektórzy czytelnicy podgrymaszają, że dawniej *Tygodnik* był ciekawszy. Łatwo powiedzieć! Był jedyny. Ogromny atut, mimo dolegliwości, ówczesnej cenzury. Możliwość konkurencji, jaką daje demokracja, całą prasę w jakiś sposób glajchszajtuje.

Tym większa zasługa *Tygodnika,* że zachował – z myślą i konsekwencją – własne oblicze jako forum katolicyzmu otwartego. Czyli czegoś, co stało się nagle niesłychanie dzisiejszej Polsce potrzebne. Wprost bezcenne. Bo nie wiadomo, jakie niespodzianki szykuje nam ten i ów „wojujący ojciec" w habicie czy sutannie. Przewiduję zatem dla *Tygodnika Powszechnego* drugą młodość. Pod wodzą Turowicza naturalnie.

●

Na koniec, mój ulubiony kącik rządowo-poselski. Jak biegną myśli zwykłego obywatela. Fragment z listu czytelnika do dziennika *Rzeczpospolita:*

„Byłem przekonany, że nowa koalicja zmniejszy liczbę ministrów. Tymczasem ją zwiększono o czterech bez teki, a np. pan Walendziak powołał sobie pięciu sekretarzy stanu, zamiast podsekretarzy, aby – jak powiedział – nie stracić wynagrodzeń posłów... Czyż płaca podsekretarza stanu jest tak niska, że muszą dorabiać posłowaniem za 7 tys. zł.? Najbardziej ubawił mnie jednak p. Borusewicz, który mianowany na sekretarza stanu w MSWiA powiedział przynajmniej uczciwie: 'pan premier powierzył mi nadzór nad innymi sekretarzami stanu. Będę wiceministrem od wszystkiego'. A co w takim razie będzie robił minister?

A rozbudowana pazerność parlamentarzystów na apanaże też nie ma granic. Po co czterech zastępców przewodniczącego w każdej komisji sejmowej, a nie jeden, jak to jest normalnie? Nowi parlamentarzyści nawet nie pomyśleli o zmniejszeniu diet i wynagrodzeń, chociaż duża ich część bierze je tylko za podnoszenie rąk do góry lub naciskanie przycisków. Sprawdza się przysłowie, że punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia...

Henryk Gliński, Sieradz".

4 stycznia 1998 r.

Ewa BERBERYUSZ

Sprawy i troski

Patriotyzm a pragmatyzm

O PLANACH REPATRIACJI POLAKÓW Z KAZACHSTANU

Bilansując nie tylko miniony rok 1997 można stwierdzić z pewnym wyprzedzeniem, iż koniec XX wieku zapisze się w historii Republiki Federalnej Niemiec zapewne także jako jeden z ostatnich etapów działania na rzecz naprawy błędów i krzywd popełnionych przez Niemcy na przestrzeni pierwszej połowy mijającego stulecia. Do najważniejszych posunięć na tym obszarze, obok intensywnego wspierania integracji europejskiej również za pomocą największych opłat pośród krajów członkowskich oraz politycznego zjednoczenia obu państw niemieckich, za które według nieoficjalnych danych Republika Federalna zapłaciła ponad 120 miliardów marek, należą m.in. finansowe odszkodowania na rzecz ofiar Holocaustu, których suma pod koniec lat 80-tych przekroczyła 100 miliardów marek, jak też działania na rzecz gospodarczego zjednoczenia obu byłych państw niemieckich, których wymiar już w roku 1997 przekroczył bilion marek czystego transferu finansowego do nowych krajów związkowych.

Jedną z bardziej kosztownych form kształtowania nowego oblicza polityki niemieckiej drugiej połowy XX wieku jest także wielomiliardowa pomoc dla osób od wielu lat przybywających do Republiki Federalnej w nadziei uzyskania statusu uchodźców politycznych oraz dla kilkuset tysięcy uchodźców z terenu byłej Jugosławii, przyjętych czasowo przez Republikę Federalną. Ponadto w ramach zaakceptowanych przez rząd niemiecki kontyngentów od roku 1990 przybyło do Niemiec

38 tysięcy Żydów rosyjskich i 30 000 nieżydowskich członków ich rodzin. W sumie obecnie na terenie Niemiec żyje 1 milion 260 tysięcy różnego rodzaju uciekinierów.

Próbą naprawy błędów i krzywd już nie tylko polityki niemieckiej były działania w zakresie wspierania imigracji do Niemiec milionów osób powołujących się na swe niemieckie pochodzenie. Według oficjalnych danych od roku 1987 do 1995 do Republiki Federalnej przybyło 2,2 milionów przesiedleńców z krajów byłego bloku wschodniego, w tym ponad połowa z obszaru byłego ZSSR. Spowodowało to cały szereg nieprzewidzianych problemów finansowych i społecznych. Po wprowadzeniu nowych zaostrzonych przepisów w zakresie prawa azylowego i umowach bilateralnych z krajami ościennymi, liczba azylantów szybko i stale się zmniejsza, dużym problemem dla władz komunalnych pozostały wydatki na rzecz integracji przesiedleńców z terenu Kazachstanu i Rosji. Według w miarę zgodnych danych pochodzących z różnych źródeł, tuż przed rozpadem imperium sowieckiego żyło na jego obszarze od około półtora miliona do dwóch milionów „Niemców rosyjskich", obecnie pozostało ich tam jeszcze od 300 do 500 tysięcy.

W obliczu coraz dramatyczniejszej sytuacji finansowej władz federalnych i landowych, niebezpiecznie rosnącego bezrobocia i związanego z tym napięcia społecznego władze niemieckie w połowie lat 90-ych przystąpiły do cichego odwrotu ze swych „hurra-patriotycznych" pozycji bezgranicznej otwartości dla „rodaków ze Wschodu". Miejsce patetycznych oświadczeń kanclerza Kohla i jego przedstawicieli zajęły rzeczowe wypowiedzi osób odpowiedzialnych za program „repatriacji", zaś dochodzące z tytułów niektórych gazet pod koniec roku 1997 ciche zadowolenie odnosiło się w dużym stopniu do coraz to nowych ograniczeń i przeszkód na drodze przesiedlenia dla pozostałych kandydatów.

Jednym z aktów szczerości władz niemieckich w tej kwestii była wypowiedź federalnego pełnomocnika d/s przesiedleńców Horsta Waffenschmidta z początku grudnia 1997 r., w której skonstatował on m.in. mniejszą o 40 000 liczbę tzw. „późnych przesiedleńców" z krajów Europy Wschodniej w porównaniu do roku 1996. Przy kilkutysięcznym zaledwie udziale osób z Polski, Węgier i Rumunii

odnosić się to mogło przede wszystkim do przesiedleńców z krajów byłego ZSSR. Za najważniejszą z przyczyn raptownego spadku liczby przybyszów z Rosji i Kazachstanu Federalne Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uznało nieznajomość języka niemieckiego.

Wprowadzone w połowie lat 90-ych obowiązkowe egzaminy ze znajomości „języka ojczystego" jako jeden z warunków uzyskania zezwolenia władz niemieckich na osiedlenie się w Republice Federalnej były przede wszystkim późną reakcją na całokształt problemów związanych z tą grupą imigrantów. W minionych dziesięcioleciach w okresie bardzo dobrej koniunktury gospodarczej Republika Federalna zdołała przyjąć setki tysięcy przesiedleńców z Polski, Rumunii i Węgier, z których przeważnie tylko starsze pokolenie znało bardzo dobrze lub wystarczająco język niemiecki, pokolenie średnie przeważnie słabo lub w ogóle nie, zaś pokolenie najmłodsze tylko w wyjątkowych przypadkach. Głównym warunkiem tej – trzeba stwierdzić – w dużej mierze udanej integracji były jednak również ogromne nakłady na kursy języka niemieckiego dla przesiedleńców, na drukowanie dla nich specjalnych podręczników i pomocy naukowych, na które obecnie nie ma pieniędzy.

Aktualne tendencje polityki niemieckiej w stosunku do potencjalnych „repatriantów", zmierzają w kierunku zatrzymania ich w miejscu dotychczasowego pobytu i pomocy przy odtworzeniu okręgów autonomicznych. Jak wynika z wypowiedzi pełnomocnika d/s przesiedleńców Waffenschmidta z początku stycznia br. działania powołanych do tego celu specjalnych rosyjsko-niemieckich spółek rozwojowych przynoszą coraz wyraźniejsze efekty. Za pomocą kredytów spółki te ułatwiają Niemcom rosyjskim budowę domów i mieszkań i tworzenie miejsc pracy nad Wołgą i w Petersburgu. Do programu należą też kursy języka niemieckiego dla stu tysięcy osób w roku ubiegłym. Zdaniem Waffenschmidta, także strona rosyjska podejmuje kroki w celu zatrzymania potencjalnych przesiedleńców i rozpoczęła w minionym roku działania na rzecz stworzenia „narodowej niemieckiej autonomii kulturalnej w Rosji". Wszystko to powoduje, że obecnie 100 000 Niemców rosyjskich nie wykorzystuje swych oficjalnie uzyskanych uprawnień przybycia do Republiki Federalnej.

W oficjalnych wypowiedziach na ten temat zwraca uwagę fakt, iż skutki tego rodzaju polityki określa się mianem „pozytywnych".

Do innych głównych przyczyn zahamowania repatriacji przybyszów ze Wschodu, o której rzadko kiedy mówi się na poziomie tzw. wielkiej polityki, a z czym od lat mocno borykają się władze komunalne, należą przede wszystkim wysokie koszty zakwaterowania, wydatki na pomoc socjalną i pomoc na urządzenie się w nowej ojczyźnie. Istotnym problemem jest ich integracja zawodowa i społeczna w nowym środowisku. Wynika to zarówno z wypowiedzi samych przesiedleńców jak też z ocen pracowników komunalnych.

Najtrudniej jest w małych miastach i miejscowościach, gdzie nawet niewielkie grupy przesiedleńców odczuwane są jako obcy element, przyjmowane są z wrogością i nieufnością, co dodatkowo utrudnia nawiązanie kontaktu z otoczeniem. I podobnie jak skupiska cudzoziemców, także zbiorowe kwatery dla przesiedleńców stanowią cel agresji przeważnie miejscowej młodzieży, podpaleń i dewastacji. Inaczej też niż w przypadku młodych przesiedleńców z Polski, którzy bardzo szybko integrowali się w środowisku miejscowych rówieśników, młodsze pokolenie przesiedleńców z byłego ZSSR trzyma się w swoich klikach, a swe trudności próbuje odreagować na innych mniejszościach. Przykładem tego są powtarzające się brutalne bójki z grupami młodych Turków.

Jednak również w dużych miastach jak np. w Berlinie, młodzi przesiedleńcy z Rosji i Kazachstanu dużo wolniej integrują się z niemieckojęzycznym otoczeniem, starają się przebywać głównie wśród „swoich". „Bezrobocie, złe warunki mieszkaniowe i niedostateczna znajomość języka niemieckiego" wzmacniają wśród niektórych młodocianych skłonność do nadużywania przemocy i alkoholizmu", stwierdzono przykładowo w berlińskim dzienniku *Der Tagesspiegel*.

Na brak więzów socjalnych i poczucia wspólnoty, szczególnie narzekają przesiedleńcy ze starszego i średniego pokolenia. Zapewne jest to jednym z powodów, dla których część osób z tego grona decyduje się na powrót. Jak stwierdził cytowany już Horst Waffenschmidt, „tylko na obszar Nowosybirska od stycznia do października (1997 r. – A.S.) wróciło 350 osób". Podobna tendencja panuje też jego zdaniem w innych

rejonach co, jak przypuszcza Waffenschmidt, przyczynia się do osłabienia woli wyjazdu wśród innych.

Również od strony integracji zawodowej przesiedleńcy z Rosji i Kazachstanu stanowią poważny problem. Mianowicie, w odróżnieniu od przesiedleńców z Polski czy Węgier, większość z nich reprezentuje zawody rolnicze i rzemieślnicze, których w Niemczech wykonywać nie mogą choćby ze względu na diametralnie inne kwalifikacje i specjalizacje oraz brak odpowiednich miejsc pracy. Zredukowana już do minimum ilość rodzinnych gospodarstw chłopskich w Niemczech uniemożliwia osiedlanie przesiedleńców na wsi, gdzie wraz ze swym doświadczeniem nadzorowanej od góry pracy w kołchozach i tak nie podołaliby konkurencji i wymogom nowoczesnego rolnictwa w gospodarce wolnorynkowej. Nie ma też zapotrzebowania na nowych pracowników w innych działach gospodarki niemieckiej, na które liczył Helmut Kohl, uznając sprowadzanie przesiedleńców do Niemiec za „patriotyczne zadanie", a postępująca racjonalizacja pracy w przemyśle już wystarczająco daje się we znaki milionom miejscowych bezrobotnych.

Mniejszym problemem na tym tle są różnice w zakresie obyczajowości przesiedleńców z Rosji i Kazachstanu, jakkolwiek wygląda na to, że reżym bolszewicki wycisnął na nich o wiele głębsze piętno, niż jego złagodzona odmiana w krajach Europy Środkowej, gdzie ludzie przez cały czas żyli w tradycji i kulturze zachodnioeuropejskiej. Pewien znajomy nauczyciel opowiadał mi, że np. w miasteczku Celle koło Hanoweru przedsiębiorstwo komunikacyjne odmówiło przewozu uczniów do szkoły dla przesiedleńców z Rosji, gdyż mimo apeli i gróźb nagminnie pluli w autobusach, podobnie zresztą jak w samym budynku szkolnym, twierdząc, że to normalne.

Innym problemem wynikającym częściowo z trudnych warunków integracji przesiedleńców z Rosji i Kazachstanu w Niemczech jest obok wspomnianego już nadużywania alkoholu także stosunkowo duży wskaźnik przestępczości oraz powiązania z rosyjskimi strukturami mafijnymi. Dotyczy to zresztą także części przybyłych w ramach zaakceptowanych przez rząd niemiecki tzw. kontyngentów imigracyjnych Żydów rosyjskich lub osób podających się za nich.

Sprawą innego rodzaju jest niekiedy pochodzenie i wygląd przesiedleńców oraz związane z tym konsekwencje. „Czysto niemiecką" linią genealogiczną wykazać się może bowiem tylko część spośród nich. Natomiast inni żyją w małżeństwach bądź wywodzą się z małżeństw mieszanych, przez co oni sami lub ich potomkowie posiadają, procentowo rzecz biorąc, bardzo mały procent „krwi niemieckiej" w swych żyłach. Wiążą się z tym trudności w ustaleniu, czy dani kandydaci na przesiedleńców to jeszcze etniczni Niemcy czy też w praktyce bardziej już Rosjanie lub Kazachowie. Wydanie im niemieckich dokumentów sprawy nie załatwia, gdyż akceptacja „rodaków" w nowym otoczeniu bardziej zależy od ich zachowania i wyglądu niż od posiadanych paszportów, zaś część z nich bardziej może kojarzyć się z Karagandą niż Stuttgartem. Te niejasności ułatwiają też podawanie się za Niemców z pochodzenia, co udowadniać usiłuje się przy pomocy sfałszowanych dokumentów.

Mimo wszelkich różnic dotyczących powodów rozpoczęcia akcji sprowadzania przesiedleńców do Republiki Federalnej i motywów planowanej podobnej akcji w Polsce, w zakresie trudności logistycznych, finansowych i psychologicznych w nowych miejscach osiedlenia istnieją, jak sądzę, bardzo duże podobieństwa. Zwracając się do mnie, redaktor Jerzy Giedroyc poprosił mnie o kilka refleksji w tej kwestii. Bez obawy posądzenia mnie o sympatię bądź też negatywne nastawienia mogę tylko stwierdzić, że podobieństwa na całym niemal obszarze tej problematyki są tu aż nazbyt wyraźne.

Ostatnia grudniowa wizyta 150-osobowej grupy Polaków z Kazachstanu, którą zorganizowała Polska Akcja Humanitarna, spotkała się z dużą uwagą mass-mediów, kół politycznych i szerokiej opinii publicznej. Premier Buzek jako pierwszy szef rządu, który spotkał się z pielgrzymami, żegnając ich, zapewnił, że „rząd nie zapomni o Polakach w Kazachstanie" i dodał: „Mam nadzieję, że czuliście się jak u siebie w domu, bo też jesteście Państwo u siebie w domu".

Komentując wypowiedzi pielgrzymów, jak ich określano, redaktor Bożena Targosz z *Panoramy* stwierdziła m.in.: „Dziękuję i przepraszam – to słowa, które najczęściej padały z ust pielgrzymów, gdy rozmawiali z premierem. (...) Te niezwykle wzruszające i pełne emocji podziękowania pielgrzymów były zarazem dramatycznym wołaniem o pomoc".

Jeszcze jednoznaczniej ujęła to uczestniczka pielgrzymki, Felicja Korczyńska, która powiedziała, że wszyscy Polacy marzą o przyjeździe do Polski i dodała: „Prosimy was, odpowiedzcie na pragnienie naszych serc. Przyjmijcie nas w Polsce. My umiemy ciężko pracować, nie będziemy jeść chleba za darmo. W Kazachstanie nie widzimy dla siebie przyszłości. My Polacy możemy oczekiwać pomocy tylko od Polski, nie od Rosji, nie od innych państw".

Ustosunkowując się do tych oczekiwań profesor Stelmachowski ze Wspólnoty Polskiej stwierdził w dniu wyjazdu pielgrzymów w wywiadzie dla programu telewizyjnego *Wiadomości*, że „od strony ekonomicznej nie byłby to żaden poważny problem. Natomiast od strony moralnej jesteśmy zobowiązani. Nikt z nich nie wyjechał tam dobrowolnie". Uznając wiele racji zawartych w drugiej części wypowiedzi premiera pragnę stwierdzić, że jej pierwsza część jest co najmniej nieodpowiedzialna.

W odniesieniu do polskich rodzin w Kazachstanie wystarczające doświadczenia w Niemczech nasuwają przede wszystkim pytania, co zrobić np. z przesiedleńcami, którzy przez dziesiątki lat pracowali w kołchozach i wynieśli z nich swe całe doświadczenie zawodowe w tym przede wszystkim brak samodzielności gospodarowania. Czy osiedlać ich na wsi, mając świadomość, że w ciągu najbliższego okresu cała polska wieś będzie musiała przejść najbardziej radykalny i dla bardzo wielu bolesny proces restrukturyzacji, a dokładniej mówiąc likwidacji większości małych gospodarstw rodzinnych oznaczającej gwałtowny wzrost bezrobocia rolników, których nawet o wiele większa samodzielność zawodowa w porównaniu do pracowników rolnych z kołchozów nie zdoła uchronić ich przed nieuchronnym rozstaniem z rodzinną miedzą?

Za czasów komunizmu przesiedleńców zdolnych do pracy skierowano by zapewne do państwowych zakładów przemysłowych lub kopalń. Planowane dalsze likwidacje postkomunistycznych molochów i związana z tym konieczność stworzenia nowych miejsc pracy dla zwolnionych załóg oraz prosty rachunek ekonomiczny nie zezwolą na ten zabieg. Pozostają zatem kosztowne przeszkolenia i kursy zawodowe. Tych zaś już teraz nie wystarcza, a raz jeszcze odwołując się do praktycznego przykładu Niemiec, warto wskazać na

bardzo ograniczoną efektywność tego rodzaju środków zaradczych w nowych landach.

Nie inaczej sprawa ma się również z osiedlaniem przesiedleńców w miastach i małych miejscowościach. Skąd najgorętsi orędownicy jak najszybszej akcji repatriacji chcą zdobyć dla nich mieszkania, skoro nie ma ich już nie tylko dla przeciętnych obywateli polskich, ale nawet dla ofiar ostatniej powodzi? Skąd wziąć pieniądze na budowę dla nich nowych mieszkań czy kwater zbiorczych i na ich urządzenie, skoro nie ma tych środków dla dziesiątek tysięcy młodych rodzin z dziećmi mieszkających kątem u rodziców, i kiedy ogromna część substancji budowlanej w Polsce już teraz nie odpowiada podstawowym standardom europejskim. Co innego jest organizować akcję pomocy dla Polaków w Kazachstanie, urządzać zbiórki pieniężne, wysyłać tam polskich nauczycieli i księży, książki i lekarstwa czy też zapraszać grupy wybrańców na różne święta do Polski, co innego zaś zapewnić im minimalne choćby warunki godnej egzystencji w samej Polsce. Wystarczy wspomnieć, że tylko w roku 1977 na integrację przesiedleńców Republika Federalna wydała 3 miliardy marek, nie licząc pomocy socjalnej, rent i emerytur, a mimo tego duża część z nich mieszka nadal w kwaterach zbiorczych i hotelach, przez co koszty te znacznie wzrosną.

Świadomy tych trudności premier Jerzy Buzek powiedział podczas pożegnania pielgrzymów m.in. iż „Powrót do ojczyzny to nie tylko bilet kolejowy, to przede wszystkim konieczność stworzenia godnych warunków materialnych i możliwości adaptacji w polskim otoczeniu. Jeśli więc procedury imigracyjne trwają długo, to proszę o wyrozumiałość i świadomość, iż dzieje się tak w interesie samych powracających".

Słowa premiera Buzka zawierają wyraźne przesłanie do potencjalnych repatriantów a zarazem wyrażają pośrednio obawy co do możliwych skutków masowego przyjazdu Polaków z Kazachstanu. Wydaje się to zrozumiałe na tle faktu, iż wedle ustawy o cudzoziemcach obowiązującej od 27-ego grudnia ubiegłego roku, wszystkie osoby polskiego pochodzenia z całego świata mogą powrócić do ojczyzny i uzyskać polskie obywatelstwo, zaś obecne prawo nie zobowiązuje nikogo do zapewnienia im w kraju mieszkania i pracy.

Sejm usunął też wszystkie przepisy uzależniające napływ rodaków z zagranicy od możliwości finansowych państwa.

Zdaniem komentatorów wspomnianego wydania *Panoramy,* urzędnicy MSW i administracji sądzą, iż tak skonstruowana ustawa może uczynić więcej szkody niż pożytku. „Wszyscy podkreślają, że teraz do ustawy są potrzebne rozsądne zarządzenia i dokumenty wykonawcze. (...) Dotychczas Polak z zagranicy mógł być repatriowany do ojczyzny, jeśli konkretna gmina zobowiązała się do zapewnienia mu mieszkania i źródła utrzymania. W taki sposób powróciło 1500 osób z Kazachstanu. Jednak zdaniem urzędników, na razie nie ma powodów do alarmu". Zapytany przez dziennikarzy, „co się stanie, jeśli do polskich konsulatów zaczną masowo napływać podania o repatriację" Jerzy Buzek odpowiedział: „Będziemy je stopniowo rozpatrywać".

Z danych podawanych w polskich mediach wynika, iż dotychczas w Polsce osiedliło się 1500 repatriantów, nad którymi opiekę w miejscach ich osiedlenia zobowiązały się roztoczyć gminy. Odnośne podania może złożyć dalszych sto tysięcy osób. Jak na razie jednak tylko nieliczni są zdania, iż ich przybycie do kraju nie stanowi od strony ekonomicznej żadnego większego problemu. Duża wstrzemięźliwość i ostrożność w formułowaniu deklaracji i zapewnień ze strony przedstawicieli rządu wydaje się świadczyć o zrozumieniu wagi sytuacji i poczuciu odpowiedzialności.

Ze swej strony sądzę, iż ze względów etycznych plany repatriacji rodzin polskich ze Wschodu zasługują na uznanie. A jeśli piszę o związanych z tym wątpliwościach, to głównie po to, by na przykładzie bogatych Niemiec ukazać ewentualne następstwa nie przemyślanej i nie przygotowanej do końca akcji repatriacji. Bo nic nie kosztują tylko dobre chęci i gołosłowne deklaracje działaczy i polityków. Za resztę płaci zawsze przeciętny obywatel. Stąd też najuczciwszym rozwiązaniem wydaje mi się ogólnonarodowa dyskusja w tej kwestii, przedstawienie polskiemu społeczeństwu rzeczywistych wymiarów finansowych i praktycznych skutków planowanej repatriacji także dla ich własnej sytuacji, a następnie przeprowadzenie referendum.

Andrzej STACH

Cmentarz Powązkowski

Wczesną jesienią ubiegłego roku na Powązkach Wojskowych pojawiło się ogłoszenie odwołujące się do powojennego dekretu, wedle którego brak działki wieczystej powoduje co dwadzieścia lat konieczność odnowienia koncesji. Kancelaria wzywała więc do uiszczenia zaległych opłat, w przeciwnym razie grób ulegnie likwidacji. Poczta pantoflowa wyolbrzymiła znaczenie rozporządzenia i posiała panikę. Panikę tym bardziej uzasadnioną, że jeszcze jakieś dziesięć lat temu, na pytanie zadawane w kancelarii cmentarza: czy należy opłacić miejsce, odpowiedzią było wzruszenie ramion, bądź lakoniczna uwaga: po co? Tu leżą państwowcy, działki są wieczyste, a państwo za wszystko płaci.

I rzeczywiście. Państwo płaciło i cmentarz biedniał. Państwo zarządzało i cmentarz zmieniał charakter: z wojskowego przemieniał się w cmentarz partyjno-państwowy. Chowano tutaj prominentów i urzedników z nomenklatury. Chowano kombatantów z okresu walk o Polskę Ludową (popularnie nazywanych „utrwalaczami"), „zasłużonych towarzyszy" i wzorowych komunistów z aparatu partyjnego. Chowano również tych wszystkich, którzy wpisali się w historię Polski i jej kulturę, a których państwo uznało, słusznie czy nie, za swoich popleczników. W 1965 roku głośny był spór o miejsce pochówku Marii Dąbrowskiej. Władza długo i bezskutecznie walczyła o pogrzeb na Powązkach Wojskowych. O pochówek na tym właśnie cmentarzu ubiegały się rodziny, które nie mogły bądź nie chciały chować swoich bliskich na cmentarzu katolickim, bądź też uważały, że Powązki Wojskowe są potwierdzeniem ich pozycji społecznej.

Cmentarz stał się żywą ilustracją najnowszej historii polskiej. Leżą na nim bohaterowie różnych wojen i walk politycznych. Są tu kwatery słynnych batalionów powstańczych m.in „Zośki" i „Parasola" oraz kwatera „Czwartaków" z Gwardii Ludowej. Patrząc na daty urodzin byli rówieśnikami, może nawet uczęszczali do tych samych szkół. Tyle, że jedni

walczyli o Polskę niepodległą i demokratyczną, natomiast drudzy..... chcieli ziścić marzenie o Polsce powszechnej sprawiedliwości społecznej. Są na cmentarzu pomniki symboliczne, np. katyński i są okazałe grobowce przywódców komunistycznych. Grób Bieruta, najbardziej monumentalny stracił na okazałości, gdy trzy lata temu znacznie ograniczono otaczający go teren.

Na Powązkach Wojskowych leżą, często obok siebie, kaci i ich ofiary, komuniści i ich bezwzględni przeciwnicy, ideowcy i oportuniści, którzy trzymali się rządowej klamki, bo trzymaliby się każdej, która dawałaby im władzę i uznanie. Cmentarz jest taki, jaka była Polska tych ostatnich pięćdziesięciu lat. Przeszłość można rozmaicie interpretować, ale zmienić jej niepodobna.

Żywi nie dają jednak spokoju zmarłym. Od czasu do czasu powraca pomysł przeprowadzenia wielkiej czystki politycznej na cmentarzu. Żąda się usunięcia katów i pozostawienia samych ofiar. Ale kto miałby ustalać taką listę: partie rządzące, obie izby Parlamentu, Sąd czy Radio Maryja? Przyjmując, że lista katów uzyskałaby powszechną aprobatę, w co należy zasadnie wątpić, zważywszy polityczny podział społeczeństwa, jest jednak zasadnicza różnica między politycznym i moralnym potępieniem reżymu komunistycznego, a walką z trupami jego elity.

Żywi mogą wszystko: np. interpretować najnowszą historię wedle własnego uznania: wykreślać PRL z ciągłości historycznej państwa polskiego lub wręcz przeciwnie – przedstawiać okres rządów komunistycznych jako okres powszechnej szczęśliwości; mogą wszystko, bo spierają się i walczą z żywym przeciwnikiem, z równorzędnych pozycji. Rozwalanie grobów byłoby zemstą: politycznie szkodliwą, moralnie obrzydliwą.

O bezsensowności pomysłu cmentarnej czystki ostatecznie mnie przekonała wizyta w kancelarii cmentarza. Byłam przekonana, że przedłużenie koncesji na grób jest sprawą formalną i natychmiastową: ja płacę i w zamian otrzymuję kwit: kasa pobrała. Myliłam się, ale moja przedłużona wizyta na cmentarzu okazała się cenną lekcją współczesnej Polski.

Budynek administracyjny w remoncie. Kancelarię przeniesiono do okazałego domu pogrzebowego, zbudowanego w latach osiemdziesiątych. Przy okazji zbudowano porządną

toaletę. Poprzednia przypominała wiejską sławojkę i trudna była do odszukania. Jedyną wskazówką było ustne pouczenie: na lewo od Świerczewskiego.

Kancelaria tętni życiem. Interesanci dzielą się na „teczkowców" i cywilów, wśród których osobną grupę stanowią cisi i przygnębieni. „Teczkowcy" żartują z personelem i przeważnie pędzą prosto do kancelarii, co wywołuje cierpkie uwagi kolejki. My, zwykli interesanci, siedzimy w pokoju szumnie nazwanym poczekalnią. Od czasu do czasu ucisza nas sprzątaczka: niech państwo tak głośno nie gadają, bo ściany papierowe i tam – pokazuje ścianę – wszystko słychać. My też słyszymy wprawki marsza pogrzebowego. Urzędniczki biegają z papierami, przechadza się kierownik, kręcą się murarze, sprzątaczki noszą kawę w szklankach. Ot, wydawałoby się, normalne życie biurowe.

Nagle do poczekalni wpada wysoki, barczysty podpułkownik z sumiastym wąsem. Tubalnym głosem woła o aksamitne poduszeczki, tak dobrze znane z uroczystych pogrzebów. Z kieszeni wyciąga garść odznaczeń i rzuca na zakurzone biurko. Pojaśniało od srebrnych i złotych blaszek ozdobionych różnobarwnymi wstążkami. – Panie pułkowniku, odzywa się sprzątaczka, jak układamy? – i jednocześnie sprawnie przeciera miękką ściereczką każde odznaczenie. – Jak zwykle: bojowe razem, państwowe razem, a te najważniejsze, każde z osobna. Potrzeba nam cztery, no pięć poduszeczek, bo ten państwowy też damy osobno. Sprzątaczka ze zrozumieniem kiwa głową. I na pięciu poduszeczkach rozkładane jest życie człowieka, zapewne dawnego dygnitarza. Pułkownik znika, upominany surowo o konieczności zwrotu poduszek, by po chwili wrócić z adiutantem. – Po co w tę zimnicę obchodzić cały budynek, niech pani nam otworzy zakrystię – zwraca się do sprzątaczki. Ani to zakrystia ani kaplica, ale słowa są silniejsze od świeckich obrzędów. Po chwili usłyszymy odgłos przyciszonych głosów i Szopena. Uroczystość się rozpoczęła.

Po półtorej godzinie czekania wchodzę do kancelarii. Biurka zarzucone papierami, szafy wypełnione skoroszytami i stolik z imponującym komputerem. Moja referentka jeszcze zajęta, przysłuchuję się rozmowie toczonej przy sąsiednim biurku.

Postawny czterdziestolatek w skórzanej kurtce denerwuje

się. – Jak to może być, by jej tutaj nie było. Ojciec wielokrotnie mi wspominał, że tu została pochowana moja babka. To była jesień 1956 czy początek 1957 roku. Urzędniczka uspakajająco – Przecież oboje sprawdzaliśmy i takiej zmarłej w spisie nie mamy. Może pan pomylił cmentarz? A nawet gdyby była tutaj pochowana, to jej grobu już z pewnością nie ma. Grób ziemny, niepielęgnowany łatwo się rozpada. – Mężczyzna przerywa bezceremonialnie: – Nie omyliłem się, tu została pochowana, bo to się jej należało. Pani da ten skoroszyt, ja sam poszukam. – I po chwili woła, prawie z radością: – Jest, jest, tylko nazwisko jej zmieniliście, zamiast „i" jest „j". Ach – odpowiada niespeszona urzędniczka – wówczas to się zdarzało, bałagan był. Ale niech mi pan powie, po co panu ta ekshumacja, tam nic nie zostało, bo grób był ziemny, a tu ziemia niedobra. Ekshumacja jest kosztowna. Nie lepiej wziąć z tego miejsca trochę ziemi do urny, aby było symbolicznie i tę urnę pochować na Bródnie? – Nie, nie! – powtarza uparcie mężczyzna – to niemożliwe żeby nic a nic nie pozostało. To jest po prostu niemożliwe. – Panie – uspakajająco odpowiada urzędniczka – no zapewne pozostało trochę piszczeli, no i z pewnością czaszka pozostała. Ale po co te koszty, lepsza byłaby urna. – Nie – odpowiada twardo mężczyzna, a jego cicha do tej pory towarzyszka jak echo powtarza: – Nie, nie. Mężczyzna wstaje i kategorycznie stwierdza: – Wy jej tu nie chcecie, to niech leży między swoimi, w rodzinnym grobie. A o koszty niech się pani nie martwi. Proszę mi wydać zezwolenie na ekshumację.

Wreszcie moja kolej. Wyciągam dwa tysiące złotych, które są równowartością pensji profesora uniwersytetu, ale urzędniczka kiwa przecząco głową i rozpoczyna wywiad: data śmierci, rodzaj grobu: ziemny czy murowany, jednoosobowy czy wieloosobowy, który kończy stwierdzeniem: kierownik pójdzie sprawdzić stan grobu. Przed kierownikiem długa droga. Cmentarz ma swoją hierarchię. W głównej, reprezentacyjnej części są kwatery wojskowe i powstańcze. Szerokie aleje były przeznaczone dla „zasłużonych", groby mniej ważnych cywilów są położone na poboczach i one też są najczęściej zaniedbane.

Po pół godzinie czekania wraca w przemoczonym waciaku kierownik i krzyczy – Pani Danko, wszystko w porządku, może pani załatwiać. Wchodzę do kancelarii, ponownie wyciągam pieniądze, ale pani Danka kończy poprzednią sprawę, ja przysłuchuję się kolejnej rozmowie.

Przy sąsiednim biurku siedzi starsza, zniszczona i skromniutko ubrana kobieta. W sękatych dłoniach trzyma plik podniszczonych papierów. Zdania się rwą, głos się załamuje, bardziej to monolog niż dialog. – Przyszłam wedle tej opłaty. Dlaczego taka wysoka? Mój – poprawia się – mój mąż przyszedł tutaj aż z lubelskiego, by walczyć o tę Polskę, co to miała być lepsza, sprawiedliwsza, a teraz – długa cisza – krzyż wypadałoby postawić na grobie. Przyszedł więc z lubelskiego i pozostawili go w Warszawie... Urzędniczka rozpoczyna znaną już mi litanię pytań, gdy dochodzi do pytania: grób jednoosobowy czy wielorodzinny – kobieta przerywa zgorszona – Przecież ja z nim, z mężem, na całe życie, jaki tam znowu grób jednoosobowy. Urzędniczka: – No to nie ma sprawy. Żadnych opłat nie potrzeba, wszystko w porządku. Kobieta się podnosi, wylewnie dziękuje, ale wychodząc mruczy: – No jakby to tak z osobna, kiedy całe życie byliśmy razem.

Wreszcie pani Danka wyciąga kwestionariusz i rozpoczyna ze mną kolejny wywiad. – A pani kim była wobec zmarłej? – Synową, mąż żyje? – Tak, inne dzieci były? – Nie. – No to państwo powinniście być zainteresowani pogłębieniem grobu, przecież wy też musicie gdzieś leżeć, a teraz o miejsce na porządnym cmentarzu trudno. Jak państwo grób pogłębicie, opłata będzie mniejsza, a działka nabędzie praw wieczystych. W przeciwnym razie, będziecie musieli co dwadzieścia lat wnosić opłaty. Tłumaczę, że mieszkam za granicą, że muszę porozmawiać z mężem. A poza tym jak mam jej wytłumaczyć, że trudno mi podjąć decyzję, która zależy nie tylko od nas, ale również od córki. Odpowiedzieć na tak trudne dla emigranta pytanie, odpowiedzieć nagle, w tej ciasnej kancelarii, gdzie przy drugim biurku siedzi kolejny interesant, tym razem właściciel zakładu kamieniarskiego, a pani Danka załatwiając moją sprawę instruuje jednocześnie koleżankę: – Powtarzam ci, że wszyscy, którzy cokolwiek robią na tym cmentarzu, muszą być w komputerze. Wszyscy bez wyjątku. Wypisuj nazwę zakładu, a następnie nazwisko. – Ale nas jest dwóch – przypomina „teczkowiec". – Zdecydowała się pani? – Tak, wpłacam dwa tysiące. – Ale jak

państwo zmienicie zdanie to pieniędzy nie zwrócimy. A poza tym – macha ręką – niech się pani nie martwi, jak co do czego przyjdzie, to urnę też pochowamy. Macie państwo czas do 2017 roku.

Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. Wreszcie wychodzę z trzema papierkami wypisanymi na komputerze z pouczeniem o konieczności pielęgnacji grobu. Tuż pod drzwiami czeka na mnie Ewa St., z którą przyjechałam na cmentarz. – Zaczęłam się już niepokoić twoją nieobecnością, zastanawiałam się czy nie przyjść ci z odsieczą.

W zimnej, listopadowej mżawce idziemy przez cmentarz do grobu matki. Wiele alei i kwater jest uporządkowanych i wiele grobów odnowionych. Aleje dla „zasłużonych" z ich marmurami, granitami, kwiatami, mimo jesieni wyglądają bardzo porządnie. Leżą tu zmarli, których nazwiska niegdyś zdobiły pierwsze strony gazet, które budziły strach, oburzenie ale wywoływały również pogardę śmiech i dowcipy. W głównej alei, najbardziej prestiżowej, obok prominentów mają m.in. groby: Lange, Stawar, Dembowski, Tuwim, Hochfeld (mój nauczyciel uniwersytecki), Broniewski, Gałczyński. Grób Aleksandra Zawadzkiego ongiś dekorowany tarczami szkolnymi (jeszcze były w 1992 roku) teraz pusty poza resztką kwiatów po Zaduszkach. Widocznie uczniowie przestali już kochać byłego przewodniczącego Rady Państwa. Niedaleko jego grobu, pomnik katyński i kwatery powstańcze.

Przypominam sobie opowieść Haliny G., uczestniczki powstania warszawskiego. Do połowy lat pięćdziesiątych ci, którzy przeżyli i byli na wolności organizowali przy grobach powstańczych podczas Zaduszek swoistą wartę honorową. By uchronić się przed zarzutem organizowania manifestacji, każdy indywidualnie przychodził złożyć kwiaty i zapalić świeczkę. Zmieniano się co piętnaście minut, nigdy nie było więcej niż dwie, trzy osoby, ale żaden grób nie pozostał pusty.

I przypominam sobie Zaduszki początku lat sześćdziesiątych. Tłum rozgadany, z naręczami kwiatów, z donicami chryzantem, gałęziami jedliny, ze świeczkami i zniczami, napływał do późnego wieczora. Było gwarnie, prawie wesoło. Władza ciągle zarządzała cmentarzem, kontrolowała napisy i ustalała hierarchie, kto może i gdzie może być na nim pochowany, ale *de facto* cmentarz już do niej nie należał, zwłaszcza podczas Zaduszek.

Dobiegają nas werble, a następnie salwa honorowa. Ostatnie pożegnanie tego od orderów na pięciu poduszeczkach. Tłumek, przeważnie starszych osób. Swoi żegnają swojego. Wchodzimy w boczne kwatery. Wiele zaniedbanych grobów. Jakoś nikt nie pamięta, czy też nie chce pamiętać o przodku, który zasłużył się w walce z bandami, który był „ofiarnym pracownikiem" bezpieczeństwa czy też po prostu „żarliwym komunistą". Napisy coraz mniej czytelne, groby się zapadają, nawet te murowane. Pomniki popękane coraz bardziej pochylone. Groby zasypane kolejnymi warstwami liści i igliwia. Znikają tak, jak ze sceny politycznej znikali jej niegdysiejsi bohaterowie. Nowe prawo finansowe będzie ich podzwonnym.

Jednak wiele grobów jest zadbanych, często odwiedzanych, sądząc po świeżych kwiatach. Na niektórych pojawiły się krzyże, na innych, napisy pozostały bez zmian. Na jednym z grobów świeży dopisek na płycie nagrobnej: był prawdziwym człowiekiem. – Co to ma znaczyć – pytam Ewy. Prawdopodobnie chcą powiedzieć, że inni co tu leżą nie są godni miana człowieka.

Wreszcie dochodzimy do grobu rodziców męża. Zadbany, dzięki staraniom naszej przyjaciółki Marii Of. Symboliczne miejsce spoczynku ojca. Świadczy o tym napis: Stefan Purman-Pomian, zmarł w 1942 roku gdzieś w ZSRR. O ten zwrot „gdzieś w ZSRR", na którym tak zależało matce, „walczyliśmy" długo z administracją cmentarza w 1962 roku, roku jej śmierci. Dopięliśmy swojego. Napis został tak sformułowany, by sygnalizował nienormalność zgonu, a jednocześnie uzyskał aprobatę cenzorów. Było dla nas oczywiste, że na zwrot: zginął w łagrze workuckim, zgody nie uzyskamy nigdy.

Wiatr siecze, tlą się znicze. Patrzę na ten grób i myślę, że jednak język biurokratyczny ma swój sens: każdy musi być gdzieś pochowany, dlaczego by więc nie tutaj, wśród tych brzóz, kasztanów i topoli.

Grażyna POMIAN

Na marginesie „skażonych kartek"

Pani Ewa Berberyusz odwiedziła we wrześniu ziemię kłodzką i przyległy do niej kawałek ziem czeskich, po czym swe refleksje przelała na „kartki ze skażonej strefy" *(Kultura* 10/601).

Pani Ewa Berberyusz była tam na trzydniowej wycieczce. Ja się tam urodziłem, tam żyłem do matury, a potem jeszcze przez dziesięć lat bywałem co tydzień, czasami co dwa tygodnie. Po kilku latach przerwy znów bywam, choć już nie tak często. W każdym razie w tym podwieszonym nad mapą Polski czworoboku nie ma chyba ani kawałka szlaku turystycznego, przez który bym choć raz nie przeszedł, ani wioski, której bym kiedyś nie odwiedził. Kiedyś znałem nawet dość dobrze skomplikowaną i trudną historię tej ziemi, do dziś jeszcze jestem w stanie opisać jej nie mniej zawikłaną budowę geologiczną i opowiedzieć coś o przyrodzie.

Dlatego też od tego zacznę.

1.

„Ziemia Kłodzka stanowi dysonans w linii granicznej. Wdziera się prostokątnym półwyspem w Czechy, nie tłumaczącym się ani działem wodnym, ani górskim" – pisze pani Berberyusz. Odpowiem innym cytatem: „Prawie cały ten teren należy, poprzez dorzecze Nysy Kłodzkiej (...) do zlewiska Morza Bałtyckiego" – napisali Zbigniew Martynowski i Krzysztof R. Mazurski w przewodniku „Sudety. Ziemia Kłodzka i Góry Opawskie". Pod tym względem nie ma więc wątpliwości – granice wyznaczają tu w sporej części właśnie działy wodne zlewisk Bałtyku (dorzecze Nysy Kłodzkiej, dopływu Odry) po polskiej, Morza Czarnego (dorzecze Morawy, dopływu Dunaju) po morawskiej i Morza Północnego (dorzecze Łaby) po czeskiej. Jedynie tak zwany Czeski Kącik z Kudową i Lewinem oraz kawałek doliny Dzikiej Orlicy między Górami Bystrzyckimi a Orlickimi stanowią tu nie-

wielkie odchylenie – stąd wody płyną do Łaby. Za to przez ten kawałek wschodnich Czech z ich częścią Gór Stołowych i Broumovem płynie Ścinawka (Stienava), która wpada potem do Nysy.

Druga uwaga jest natury historycznej. Nie, nie będę udowadniać „odwiecznej" przynależności ziemi kłodzkiej „do macierzy", bo choć Chrobry ją zdobył, to Krzywousty w 1137 roku definitywnie się jej zrzekł na rzecz czeskiego władcy Sobiesława. Po dwóch wiekach cały Śląsk był już czeski, a po następnych dwóch – jak całe Czechy – austriacki. Problem granicy pojawił się jednak jeszcze dwa stulecia później, z tym tylko, że nie „tak ją sobie podzieliły dawne mocarstwa, Prusy i Austria", lecz Maria Teresa musiała się po prostu ugiąć pod dyktatem Wielkiego Fryca i oddać mu znakomitą część Śląska po przegraniu kolejnych trzech wojen zwanych właśnie śląskimi. Został jej jedynie Śląsk Cieszyński i Opawski, czyli dzisiejszy „czeski", przez historyków zaś zwany „austriackim" – mniej więcej ósma część dawnej całości.

Granica z 1763 roku nie została jednak bynajmniej wymyślona przez Fryderyka II, lecz pokrywała się – w tym wypadku – z granicą Hrabstwa Kłodzkiego (Grafschaft Glatz), które istniało już od średniowiecza.

Trzecia uwaga dotyczy już historii najnowszej – i właściwie od niej powinienem był zacząć. Pani Ewa pisze tak o latach powojennych: „Czesi i Niemcy wybyli, dopiero po jakimś czasie przybyli repatrianci ze Wschodu. Obarczeni kompleksem wypędzonych, czuli się tu obco...".

Otóż pisać „Niemcy wybyli", to nawet nie jest eufemizm, zwłaszcza gdy w następnym zdaniu mówi się o wypędzonych rodakach.

Niemcy nie „wybyli". Niektórzy uciekli, ale wielu zostało wypędzonych i też nie od razu. Z mojej rodzinnej Polanicy (Bad Altheide) pierwszy z czterech transportów ruszył 9 marca 1946 roku – pieszo, w dwunastokilometrowy marsz do Kłodzka. Stosowne obwieszczenie mieszkańcy miasta ujrzeli dzień wcześniej, 8 marca wieczorem.

Mieszkałem w jednym z domów, które oni zbudowali. Nigdy się nie nauczyłem grać na pianinie, którego nie mogli zabrać ze sobą. Nawet sztućców nie wzięli. I wielu innych rzeczy.

Wiem, co znaczy na zawsze opuszczać swój dom, choć mi nikt nie dawał na to tylko kilku godzin i nie mówił, że wolno mi ze sobą wziąć tylko tyle, ile jestem w stanie unieść.

Tym bardziej więc muszę się sprzeciwić stwierdzeniu: „Niemcy wybyli".

W ten oto sposób udało mi się poradzić z dziesięcioma linijkami ze środka tekstu pani Berberyusz. Ale to jeszcze wcale nie koniec.

2.

Chwilę wcześniej pisze pani Ewa o wieczorze w kamieniołomie. Zgaduję, że to było w Żelaźnie, ale może się mylę. Chodzi mi jednak o cytat z młodej czeskiej dziennikarki: „Po prostu, nie interesujemy się sobą". Smutne, że czescy dziennikarze tak mało się Polską interesują, ale to rzeczywiście fakt. Trudno jednak ich za to winić.

Polska przestała po prostu być dla Czechów oknem na świat. Już nie trzeba słuchać Polskiego Radia (czy raczej polskiej Wolnej Europy, której zresztą już nie ma), czytać polskich gazet czy książek, aby się dowiedzieć, co się dzieje we własnej – czeskiej – ojczyźnie, czy poza nią. Dziś można o tym poczytać po czesku.

A poza tym przecież – wcale nie piszę tego ironicznie – jest tyle ciekawszych krajów niż Polska. To siłą rzeczy ogranicza krąg ludzi, którzy mogliby się zainteresować sąsiadami zza północnej granicy. I temu nie należy się dziwić, to zjawisko całkiem normalne.

Nie całkiem jednak normalne jest już to, że nawet ci, którzy są czy mogliby być Polską zainteresowani, nie znajdą w czeskich kioskach polskich gazet. Nawet w stolicy. Że żadna praska księgarnia nie sprzeda im polskich książek, płyt i filmów (ale czy tak bardzo inaczej jest w Warszawie?).

Nie jest też normalne, że Instytut Polski w Pradze nie ma swojej siedziby i musi korzystać z wynajmowanych sal i gościny zaprzyjaźnionych instytucji.

I także to, że nie ma w Pradze polskiej restauracji, gdzie nie tylko można by zjeść polskie pierogi ruskie ale też spotkać się z Polakami. Była jedna, zrobiła prawdziwą furorę i... się zamknęła. Jak zresztą był też przy dawnym Instytucie Polskim sklep z polskimi książkami i gazetami, ale też został zamknięty.

Nie wiem, kto ma o to dbać, by w Pradze (Brnie, Pilźnie, Karlowych Warach...) była polska kultura, polskie gazety, książki, polskie pierogi... Przynajmniej po części winne temu, czego nie ma, jest jednak z pewnością polskie państwo, polski rząd, MSZ, Ministerstwo Kultury.

Trochę, jak mogą, ratują sytuację zapaleńcy z euroregionów: Glaciensis, Nysa – i tych ostatnich kilku Mohikanów z Polsko-Czesko-Słowackiej Solidarności. Ale oni wszystkiego nie załatwią.

I w końcu ostatni fragment opowieści. Pani Berberyusz zapomniała chyba, że pisze „ze skażonej strefy". Przecież ziemia kłodzka, to część województwa wałbrzyskiego, jednego z obszarów kryzysowych Rzeczypospolitej, gdzie co piąty, jeśli nie co czwarty człowiek dotknięty jest bezrobociem. I ten kawałek Polski pani Ewa porównuje z Czechami, gdzie dotychczas bezrobocia praktycznie nie było (3, teraz już 4 procenty). Nic dziwnego, że wychodzi, jak wychodzi.

Tym bardziej, że Czechy – o czym się w Polsce łatwo zapomina – są krajem niemal dwukrotnie bogatszym. I zawsze były. Warto jednakże pamiętać, że to Polska, a nie Czechy, najszybciej odbiła się od komunistycznego dna i że od tej pory rozwija się całkiem dynamicznie. Niezależnie od wszelkich politycznych turbulencji. To Czechy, a nie Polska, borykają się dziś z gospodarczymi problemami. Mimo wieloletniej stabilności rządów.

Akurat te miasta, o których pisze Ewa Berberyusz – Nachod, Kudowę, Duszniki, Polanicę, Kłodzko i Lądek, odwiedzam od ośmiu lat dość regularnie. I widzę, jak się zmieniają – choć przecież są w „strefie". Przede wszystkim – z nutką nie zasłużonej dumy – muszę podkreślić przemiany, które zaszły w „mojej" Polanicy. Tego „wyrychtowanego deptaku" jeszcze kilka lat temu nie było. Wszystko jest nowe i chyba naprawdę ładne, całe centrum miasta, a teraz zmienia się też park. Nie wiem, ile to kosztuje, ale z pewnością niemało. Hotel „Polanica" z betonowego kloca zmienił się w bardzo przyzwoity dom ze skośnymi dachami i całkiem eleganckim wnętrzem, a jego restaurację mogę – nawet narażając się na zarzut kryptoreklamy – potrójnie polecić: bo smacznie, uprzejmie i czysto.

Nic z tego – niestety – nie było widać w Lądku. „Wszyst-

ko po prostu zależy od ojców miasta" – powiedział mi przed rokiem z ubolewaniem jeden z Lądczan. Gdy latem robiłem „popowodziowy" objazd ziemi kłodzkiej, zobaczyłem, że i w Lądku coś się zaczęło zmieniać.

A Nachod? No cóż, zawsze wyglądał lepiej niż Kłodzko. Ale, żeby był „w rozkwicie"? Ja takiego wrażenia nie odnoszę. Zmienia się, na lepsze, ale wcale nie w jakimś imponującym tempie.

I już ostatni cytat z kartek pani Berberyusz. „Różnimy się od Czechów. To prawda niezbita". W tym miejscu jeszcze się z panią Ewą zgadzam. Dalej już nie. Obawiam się, że komunizm wyrządził w czeskich duszach więcej szkód niż w polskich. Tyle tylko, że to zaczyna dopiero być widoczne. Obawiam się, że Czechów czeka jeszcze wielki szok.

Szkoda, że o tym wszystkim nie mogliśmy porozmawiać. Ale cóż, moi przyjaciele z Polsko-Czesko-Słowackiej Solidarności zapraszają dziennikarzy z dalekiej Francji i najwyraźniej nie sądzą, że warto by może było zaprosić także tych z Pragi (a jest nas tu kilkoro i wiemy o sprawach, o których nie wiedzą nasi koledzy ani z Warszawy, ani nawet z Wrocławia).

Aureliusz M. PĘDZIWOL

PS.: Nawet nie przysłali mi tego numeru *Ziemi Kłodzkiej*, w którym z *Kultury* przedrukowali przetłumaczony przeze mnie fragment pamiętnika Václava Czernego. Co niniejszym, korzystając z okazji, pozwalam sobie im wypomnieć.

W Pradze, 29 grudnia 1997 roku

Sąsiedzi

Wyborcza mapa Ukrainy

Nowy rok na Ukrainie rozpoczął się walką wyborczą o przyszłe oblicze parlamentu. Do boju stanęły 3 partie i koalicje międzypartyjne. Odpowiada to mniej więcej ilości stronnictw w Niemczech, gdzie w ostatnich wyborach do Bundestagu było dopuszczonych 36 ugrupowań. Do parlamentu w Bonn weszło dzięki pięcioprocentowej barierze tylko sześć partii. W ukraińskiej ordynacji wyborczej przewidziano czteroprocentową poprzeczkę. Tak jak sprawy wyglądają w przededniu wyborów, szansę na pokonanie tego progu ma tylko część partii. Nie wszystkie stronnictwa mają szerokie rozgałęzienia w terenie. Tradycje i korzenie dawnych partii zostały przez bolszewików podobnie wytrzebione jak to zrobiono na przykład w Polsce, z przeszłością PPS. Dowodem tego może być, że nawet w Galicji – gdzie totalitaryzm sowiecki trwał o połowę krócej niż na wschodzie Ukrainy – nie udało się wskrzesić tak zasłużonej i niegdyś popularnej partii demokratycznej jak UNDO.

Faktycznie tylko dwie partie mogą się odwoływać do tradycji: Partia Socjal-Demokratyczna i Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów. Różnica polega jednak na tym, że socjaldemokraci powstali na nowo bez ciągłości organizacyjnej, natomiast OUN przywędrowała na Ukrainę z emigracji. I jedno, i drugie odbiło swoją pieczątkę na nowych czasach. Nowi ukraińscy socjaldemokraci chodzą po omacku i nic nie wiedzą o swoich politycznych przodkach jak Porsz, Izaak Mazepa, Panas Fedenko czy Wołodomyr Starosolski. A ukraińscy nacjonaliści przywieźli ze sobą z zagranicy cały bagaż dawnych profaszystowskich poglądów z przedwojennej epoki i or-

ganizacyjno-światopoglądowej nienawiści, dzielący trzy ugrupowania OUN, tak jak to było w partii Hitlera z opozycją Roehma i Strassera lub Stalina i Trockiego.

Odrodzenie ukraińskich niezależnych ruchów politycznych rozpoczęło się od dysydentów z Grupy Helsińskiej, z której wyszła pod koniec lat 80-tych, tak jak „Solidarność" w Polsce, masowa organizacja „Ruch". Z tego też pnia wywodzi się Partia Republikańska. Potem doszły dwie grupy: Partia Zielonych, powstała na gruncie katastrofy w Czarnobylu i Partia Demokratycznego Odrodzenia. Ta ostatnia utworzyła się z opozycyjnych prądów wśród komunistów. Jednak tym grupom nie udało się przeforsować nowej ordynacji wyborczej, która byłaby pozwoliła dokonać normalnej strukturyzacji parlamentu. Skutki były takie, że w ciągu czterech lat nie wiadomo było, kto odpowiada za rząd, a kto za nierząd. Prezydenci pozbywali się premierów jak rękawiczek, a parlament nie umiał temu zaradzić. Faktycznie była to kontynuacja systemu sowieckiego bez odpowiedzialności partii bolszewickiej. A to oznacza, bez bata groźby wydalenia z partii totalitarnej, chaos i swawolę. I tak też jest po dziś dzień.

Partyjne rozdrobnienia

To, że powstało ponad trzydzieści partii, jest może lepsze, niż gdyby miała dalej istnieć dawna jedna, jedyna. Przyczyną tego jest zresztą właśnie dotychczasowy stan braku odpowiedzialności. Na tym tle też dochodziło do ustawicznych rozłamów partyjnych, które się kształtowały nie według programów, lecz według widzimisię domorosłych demagogów. W ten sposób obrał się przewodniczącym zasłużonej Partii Republikańskiej Jaroszyński, megaloman pierwszej wody, który oświadcza, że ma sposoby na sanację Ukrainy. Podobne secesje odbyły się też w innych partiach. Najbardziej zabawną historią było powstanie jednoosobowej partii konserwatywnej pana Soskina, który zdołał opętać swym tupetem niektóre koła w Polsce i na Zachodzie. Jego próby zawarcia sojuszu z nacjonalistami na wybory skończyły się fiaskiem. Nawet skorzy do wszelkich posiłków banderowcy nie skorzystali z oferty Soskina.

Ale są to marginalia. Centralnym zagadnieniem w obecnych wyborach jest sprawa powstania normalnych relacji demokratycznych: władza – opozycja. Ukraińcy nie zważając na skutki bolszewickiego kolektywizmu pozostali indywidualistami. Stąd też ciąg do tworzenia własnych ugrupowań, wciąż jeszcze żywa mitomania historycznych „atamanów" i oczywiście brak doświadczenia w ocenie własnych szans i możliwości. Dla wielu liderów nowych partii rezultaty głosowania w dniu 29 marca będą na pewno gorzkim rozczarowaniem. Już dziś można przypuszczać, że poza parlamentem pozostanie wiele ugrupowań, podobnie jak w Polsce 1993 roku.

Wyborcza mapa

Wędrując z lewa na prawo po wyborczej mapie znajdujemy najpierw Komunistyczną Partię Ukrainy, w której nie ma żadnego działacza o wybitnych zdolnościach przywódczych, następnie Socjalistyczną Partię Ukrainy z Ołeksandrem Morozem, przewodniczącym obecnego parlamentu i politykiem dużej klasy, ale obarczonym marksistowskimi dogmatami w sprawach rolnictwa, secesyjną lewicową Postępową Socjalistyczną Partię Ukrainy pod przewodem ambitnej towarzyszki Witrenko, Chłopską Partię Ukrainy reprezentującą interesy kołchozów. Pomiędzy tymi partiami z wyjątkiem „postępowych socjalistów" – doszło do wyborczej umowy w ocenie wzajemnej pomocy i nie zwalczania kandydatów z ramienia partnerów.

Mianem „centrolewu" można określić zlepek weteranów drugiej wojny światowej, walk w Afganistanie, ofiar Czarnobyla i weteranów pracy pod nazwą „Pracująca Ukraina" pod kierownictwem eks-generała Gerosimowa. Jest to „uderzenie w plecy" mówią komuniści, którzy najbardziej liczyli na elektorat tych 13-tu milionów weteranów. Do tej kategorii należy też Wszechukraińska Partia Pracujących jako blok wyborczy większości istniejących związków zawodowych.

Do układu ideologicznego „środka" należą takie ugrupowania jak koalicja Partii Liberalnej i Partii Pracy o dużych wpływach we wschodniej Ukrainie, Agrarna Partia jednocząca interesy indywidualnych rolników i przedstawicieli programu

reformy rolnej, Ludowo-Demokratyczna Partia pod przewodem premiera Pustowojtenki ze względu na ogromną ilość należących do niej urzędników państwowych nazywana Partią Władzy (coś na podobieństwo przedwojennego BBWR-u sanacji w Polsce), nowo powstała partia zdymisjonowanego latem 1997 premiera Pawła Łazenki „Hromada", która dysponuje ogromnymi funduszami. Pomiędzy tymi dwoma ugrupowaniami odbywa się bezpardonowa walka, nie gardząca wzajemnym obrzucaniem się pomówieniami o korupcję.

Do tej samej kategorii należą niewątpliwie koalicja zasłużonej Demokratycznej Partii z Partią Ekonomicznego Odrodzenia Krymu, występująca pod populistyczną nazwą: „Naród, Ekonomia, Porządek – NEO", Europejski Wybór Ukrainy, złożony z dwóch liberalnych ugrupowań, partia „Reformy i porządek" byłego wicepremiera Wiktora Pynzenyka, zwolennika koncepcji Balcerowicza, dwóch partii socjaldemokratycznych, z których jedna nazwała się „Zjednoczoną" i zdobyła dwóch wybitnych zwolenników i kandydatów: eksprezydenta Krawczuka i eks-premiera Marczuka i ma lepsze widoki na wejście do parlamentu niż jej konkurentka.

Trochę bardziej na prawo usytuowała się grupa pod bojowym hasłem „Naprzód Ukraino". Można by ją też nazwać zjednoczeniem walki z korupcją. Głównymi postaciami są nieustraszenie walczący z łapownictwem pułkownik Omelczenko i były minister sprawiedliwości Hołowatyj. W pewnej mierze sympatyzuje z nimi „Ruch" pod kierownictwem byłego dysydenta Wiaczesława Czarnowoła. Jest to wciąż jeszcze grupa dynamiczna choć już nie tak masowa jak kiedyś. Nasuwają się porównania z polską Solidarnością.

Potem idzie całe pasmo bardzo specyficznych stronnictw i zjednoczeń. Są grupy proponujące wzmocnienie regionalizmu, istnieją dwa stronnictwa chrześcijańskie i jedno muzułmańskie, jest partia kobiet i jest stronnictwo ekologiczne Zielonych, ongiś po Czarnobylu potężne, a dziś dosyć marne. Jest też Partia Obrońców Ojczyzny, którą kierują dość umiarkowani emerytowani oficerowie.

I wreszcie istnieje obóz reakcyjno-nacjonalistyczny. Wśród nich najważniejszą pozycję zajmuje zjednoczenie Front Narodowy złożony ze zwolenników ugrupowania banderowskiego mianującego się Kongresem Ukraińskich Nacjonalistów, Partii Konserwatywno-Narodowej Chmary i secesji z Partii Republikańskiej, potem idzie grupa jeszcze bardziej agresywna, pod hasłem „Mniej gadaniny" złożona z Partii Narodowo-Socjalnej i Państwowego Zjednoczenia Ukrainy – czegoś w rodzaju przedwojennego ONR w Polsce i wreszcie grupa Ukraińska Narodowa Samoobrona, na pół militarna organizacja, której członkowie walczyli w wojnach domowych na gruzach ZSSR w Mołdawii, Gruzji oraz Abchazji i Czeczenii.

I jak okrasa w jajecznicy pływają wśród tych partii artyści teatralni, wybitni sportowcy, piłkarze. Czyżby te gwiazdy sportu i rozrywki miały wyrwać wyborców z atmosfery apatii?

13 lutego 1998

Bohdan OSADCZUK

●

W związku z naszym apelem o poparcie Białoruskiej Deklaracji Wolności (*Kultura* nr 1/604-2/605, str. 143) zgłosili swoje podpisy: Ziemowit Fedecki, Jan Winczakiewicz i Bolesław Taborski.

ANDRZEJ MENCWEL

PRZEDWIOŚNIE CZY POTOP

Studium postaw polskich w XX wieku

Str. 538

CZYTELNIK **WARSZAWA 1997**

Notatki Redaktora

Nowa Konstytucja weszła od niedawna w życie i dopiero praktyka dnia codziennego ukształtuje współpracę prezydenta z koalicją i rządem. Kłopot polega na tym, że koalicja doszła do władzy w ostrej walce z ugrupowaniami „postkomunistycznymi", z których wyszedł prezydent Kwaśniewski. Z miejsca więc rozpoczęto wojnę z prezydentem mnożąc konflikty bez próby ich przedyskutowania i dojścia do rozwiązań kompromisowych, zapominając przy tym o dobrych obyczajach jakie powinny były obowiązywać w kraju demokratycznym. Stąd są wetowania ustaw przez prezydenta, których koalicja nie jest w stanie odrzucić nie mając kwalifikowanej większości w Sejmie. Kwaśniewski stale podkreśla, że będąc wybranym w głosowaniu powszechnym, uważa się za prezydenta wszystkich Polaków. Dlatego też wystąpił z apelem o regularne kontakty z premierem i przedstawianie mu projektów ustaw. Powołał instytucję Rady Gabinetowej, tj. posiedzeń Rady Ministrów z udziałem prezydenta i zaproponował jej regulamin. Premier te wszystkie postulaty odrzucił i zarzucił prezydentowi złamanie Konstytucji przez wydanie postanowienia o Radzie Gabinetowej bez kontrasygnaty premiera. Tego rodzaju konflikty grożą paraliżem działalności państwowej. A przecież Polska nie jest jedynym krajem znajdującym się w takiej sytuacji. Coś podobnego dzieje się np. we Francji, gdzie jednak znaleziono metodę współpracy – *cohabitation* – co pozwala na prowadzenie normalnej polityki zarówno wewnętrznej jak i zewnętrznej. Pan Krzaklewski mógł się z tym zapoznać będąc z wizytą we Francji. Ciernista jest droga do demokracji, państwa obywatelskiego i zrozumienia polskiej racji stanu.

●

Zjawiskiem niepokojącym jest to, że nasi polityczni

przywódcy nie zdają sobie często sprawy, że są rzeczy, których po prostu nie wypada robić. Nie chodzi tu o nadużycia ale o pewien styl. Prezydent Kwaśniewski zgodził się by go wykorzystano w reklamie fabryki mebli (której właścicielami są nb. członkowie jego rodziny) pod pretekstem, że to jest popieranie polskiego eksportu. Pan Krzaklewski przyjął tytuł Człowieka Roku wraz z luksusowym samochodem. Impreza ta była zorganizowana przez periodyk oskarżany o nieporządki finansowe różnych biznesmenów. To wszystko było szyte grubymi nićmi. Krzaklewski dopiero z dużym opóźnieniem oświadczył, że samochód sprzeda na jakiejś skomplikowanej aukcji w Chicago (wiadomo, że Polonia amerykańska składa się z samych milionerów) i uzyskaną sumę przeznaczy na cele społeczne. Znacznie lepiej byłoby to zrobić po wręczeniu nagrody, a jeszcze lepiej jej w ogóle nie przyjąć. A przekazanie banku danych przez PZU świeżo założonej spółce, która nie miała nic poza adresem, a której szefem jest b. premier Józef Oleksy, w której figurują inne osoby z nomenklatury? Czy to jest porządku?

Każdy człowiek zajmujący się sprawami publicznymi jest jak w latarni. Jego postępowanie, życie prywatne, jest obserwowane nie tylko przez wrogów ale przez żądne sensacji środki masowego przekazu i publiczność. Klasycznym przykładem jest sprawa Clintona. A więc trzeba umieć dobierać sobie najbliższe otoczenie i doradców. Jest to pięta achillesowa wszystkich naszych prominentów.

●

Niepokojący jest zanik poczucia państwowego w społeczeństwie. Przykładem była ankieta przeprowadzona przed 11 listopada ub.r. Znakomita większość zapytywanych nie wiedziała nawet co to jest za rocznica. Duża część społeczeństwa uważa, że świętem narodowym jest 3 Maja, a nawet ostatnio były głosy, i to posłów, że należy obchodzić rocznicę 22-go lipca. Nie należy bagatelizować znaczenia święta narodowego. Jest to dzień, który łączy całe społeczeństwo. Znowu przykładem jest chociażby 14 lipca we Francji. 11 listopada przed wojną odgrywał podobną rolę. Były defilady wojsk, akademie, przedstawienia teatralne. To teraz zupełnie zanikło. Sam pamiętam 11 listopada 1939 r. Ludzie

pod obuchem klęski, w ogniu powszechnych porachunków i oskarżeń rządu sanacyjnego, wypełniali kościoły, i tak było wszędzie, mimo że to było źle widziane i zwalczane przez generała Sikorskiego. To samo działo się w wojsku. Należy więc przywrócić i odbudować tę tradycję. Poza uroczystościami można w tym dniu przyznawać odznaczenia państwowe, ogłaszać doroczną amnestię itp.

●

Coś drgnęło na odcinku szkolnictwa. Minister prof. Handke zapowiedział reformy, a przede wszystkim położenie nacisku na matematykę i nauki ścisłe i na znajomość obcych języków oraz pogłębianie znajomości języka polskiego. Sugerowałbym również wprowadzenie zapoznawania się z komputerami. To otwierałoby nowe perspektywy zatrudnienia dla młodzieży. Niewątpliwie nie stać nas w tej chwili na wyposażenie wszystkich szkół w komputery, zresztą zabrakłoby wykładowców, ale można by pomyśleć już o zorganizowaniu kursów dla wykształcenia wykładowców i można by wprowadzić nagrodę ministra w postaci ofiarowania komputera wybijającym się szkołom podstawowym na prowincji.

●

Chciałbym zwrócić uwagę na artykuł Andrzeja Stacha w tym numerze dotyczący repatriacji Polaków z Kazachstanu i rezultatach eksperymentu niemieckiego. A co o tym sądzi prezes Wspólnoty Polskiej, p. Stelmachowski? W wywiadzie udzielonym p. Asipierowej-Wasilewicz (KAI) p. Stelmachowski na pytanie, czy urzędnicy „boją się hord ze wschodu" odpowiedział: „Boją się okropnie, a przecież w 57 roku, za czasów Gomułki, przyjechało 270 tysięcy ludzi, kiedy mieliśmy znacznie gorsze warunki. Czy dziś nie możemy przyjąć tych 100 tysięcy z Kazachstanu? Nie bądźmy małoduszni. Owszem, są problemy psychiczne i socjologiczne, ale to jest zadanie dla Kościoła i dla każdego z nas". Zwracam uwagę, że idzie tu nie tylko o ludzi z Kazachstanu. Dziś, przy przesadnie liberalnym uznawaniu obywatelstwa polskiego i rosnącym bezrobociu na świecie, można spodziewać się masowego przyjazdu „hord" do Polski i co wtedy?

Zarząd Polskiego Radia wpisał do programu reformy restrukturyzacji Polskiego Radia rezygnację z fal krótkich. Oznacza to *de facto* likwidację programu dla zagranicy. Argumentuje się, że wystarczy emisja satelitarna programu, obecna w sieciach kablowych i retransmisje naziemne. Problem zaś polega na tym, że satelita, sieci kablowe czy retransmisja mogą tylko uzupełniać podstawową emisję na falach krótkich, a w żaden sposób nie są w stanie jej zastąpić. Żadna radiofonia na świecie, poczynając od BBC do radia słowackiego dla zagranicy, nie rezygnuje z emisji na falach krótkich. Obecnie program dla zagranicy jest emitowany z nadajników krótkofalowych i przez satelitę przez prawie 70 godzin na dobę. Jeśli odpadną fale krótkie zostanie tylko 24-godzinny satelita. Kwestią zasadniczą jest, że przy satelicie praktycznie rezygnuje się z możliwości docierania na wschód. Skąd słuchacze na Białorusi, Ukrainie czy w Rosji mogą znaleźć pieniądze na zestawy do odbioru satelitarnego? Propozycja zarządu Polskiego Radia jest przejawem całkowitej ignorancji i głupoty, żeby nie powiedzieć szkodnictwa. W ten sposób cały dorobek programu dla zagranicy, a w tym retransmisje, które udało się zorganizować we Lwowie, Wilnie i Tallinie, zostanie zmarnowany. Kim jest nowy dyrektor programu dla zagranicy pani Wanda Samborska piszemy w „Wydarzeniach miesiąca" w tymże numerze *Kultury*.

●

Poprzedni premier, Włodzimierz Cimoszewicz, przyznał 600 tysięcy zł na remont budynku monasteru w Supraślu. Obecny premier, Jerzy Buzek, zmniejszył tę dotację do połowy, co utrudnia, jeśli nie uniemożliwia, remont tego cennego zabytku, który został zdewastowany , gdyż rząd przez ostatnie 10 lat nic nie zrobił, by zapobiec zniszczeniu monasteru, mimo że Supraśl do 1996 r. stanowił własność Skarbu Państwa. Widocznie porachunki partyjne są ważniejsze od naszej racji stanu, która przecież wymaga normalizacji naszych stosunków z prawosławiem.

●

Sejm ratyfikował konkordat. Nie zaopatrzono go w wynegocjowaną przez rząd Cimoszewicza deklarację, która miała

wyjaśnić niektóre zapisy konkordatu i zapobiec ich niewłaściwej interpretacji. Zapewnienie ministra Geremka, że deklaracja będzie ogłoszona w Monitorze Polskim niczego nie załatwia, gdyż to nie nadaje jej mocy prawnej. Na temat konkordatu i przypisywania mu nadmiernej roli pisałem już parokrotnie. Warto tutaj przytoczyć opinię kardynała Sapiehy, który już przy uchwalaniu konkordatu w czasie II Rzeczpospolitej oświadczył, że jest on kompletnie niepotrzebny i jest przeżytkiem XIX wieku.

●

Nie ma nadal żadnych rozliczeń ze wszystkich zbiórek organizowanych w Polsce i na świecie na pomoc dla powodzian. Społeczeństwo oczekuje informacji, jakie były rezultaty tych wszystkich zbiórek i jak zostały one wykorzystane. Brak również wiadomości o działaniach rządu zabezpieczających przed nawrotem powodzi, czego nie można wykluczyć. Czy została utworzona komisja polsko-niemiecka dla uregulowania Odry? Jak wygląda sprawa budownictwa mieszkalnego na terenach powodziowych?

●

Czekamy wszyscy również na wyjaśnienie, jak wygląda sprawa prywatyzacji „Ursusa", skutecznie uniemożliwiana przez p. Wrzodaka. I jak wygląda sprawa Stoczni Gdańskiej? Kto ostatecznie będzie jej właścicielem i przejmie za nią odpowiedzialność? Co zrobiono z pieniędzmi zbieranymi przez Radio Maryja za zakup Stoczni? Brak informacji powoduje tylko szerzenie niepotrzebnych plotek.

●

Sytuacja finansowa Polski nie przedstawia się najlepiej, natomiast kwitnie w najlepsze pomnikomania, uroczyste sprowadzanie zwłok, np. ostatnio Edmunda Strzeleckiego wbrew, zresztą, jego ostatniej woli. Teraz Rada Warszawy zajęła się sprawą świątyni Opatrzności Bożej, która miała być zbudowana w 1792 r. jako wotum dziękczynne za uchwalenie Konstytucji 3-go Maja. Mówi się o budowaniu mauzoleów wszędzie gdzie odkryto zwłoki zamordowanych w Katyniu. Projektuje się budowanie pomnika dla ofiar powodzi, nie

mówiąc już o prawdziwej manii stawiania pomników Marszałkowi Piłsudskiemu, które są zresztą szkaradne. Czy nie można zapobiec temu marnotrawstwu?

●

Czy nie można pohamować działalności ordynariatu polowego Wojska Polskiego? Teraz dla odmiany bp Głódź stworzył nowy order Benemerenti i przyznaje dyplomy, puchary, ryngrafy według swego uznania. A jednocześnie minister Onyszkiewicz nadał dwóm biskupom pomocniczym stopnie kapitana. Czy naprawdę nie sposób zrobić porządku w tych sprawach?

●

Obecnie uwolniono w Czeczenii zatrzymanych tam pięciu Polaków, którzy transportowali pomoc dla ludności czeczeńskiej. W sprawach stosunków polsko-czeczeńskich, a specjalnie działalnością rozmaitych przedstawicielstw Czeczeńców w Krakowie, trzeba będzie zająć się w przyszłości, bo to jest obraz niezmiernie zamazany i nie wiadomo, kto tą działalnością kieruje i ponosi za nią odpowiedzialność. Tutaj idzie mi o to, czy jest celowe przychodzenie z pomocą społeczną dla Czeczenii dzisiaj. Miało to swój sens propagandowy w czasie wojny rosyjsko-czeczeńskiej. Obecnie wydaje się, że mamy ważniejsze cele, jak np. pomoc dla Ukrainy, nie mówiąc już o ciężkich problemach w Polsce: niedożywionych dzieciach etc. Przypuszczam, że te rzeczy powinny być przedmiotem działalności Caritasu i organizacji społecznych.

●

Brak w tej chwili pieniędzy dla spraw najważniejszych jak służba zdrowia, szkolnictwo, dożywianie dzieci etc. A jednocześnie rozbudowuje się w sposób nieprawdopodobny biurokrację. Jak podaje np. prof. Witold Kiezun z Montrealu, Kancelaria Prezydenta RP w 39 r. zatrudniała 40 urzędników. Obecnie kancelaria ma na etacie 466 osób. W kancelarii Sejmu II Rzeczypospolitej było zatrudnionych 30 urzędników, obecnie jest ich 1.619.

●

Mnoży się obecnie także ilość podsekretarzy stanu, co pozwala im kumulować pensje z pensjami parlamentarzystów. Obecnie pracuje się nad reformą administracyjną, która jest zupełnie nieprzygotowana i nie ma żadnej koncepcji, a która pochłania ogromne pieniądze. Przypuszczam, że można by te rzeczy odłożyć i uporządkować i zająć się właśnie łataniem najpilniejszych potrzeb.

●

Ostatnio wybuchł skandal z zakazem importu żelatyny. Jest to ogromna afera p. Kazimierza Grabka, głównego producenta żelatyny w Polsce. Wygląda na to, że p. Grabek cieszył się specjalnymi przywilejami rządu zarówno premiera Cimoszewicza jak i premiera Buzka. Sprawa ta wymaga jak najszybszego wyjaśnienia. Trzeba wreszcie sanować tak zabagnione życie polityczne w Polsce. Najwyższa Izba Kontroli powinna dostać zlecenie zajęcia się tą sprawą i jej wyjaśnienie w określonym czasokresie przy jednoczesnym informowaniu opinii publicznej. Tej sprawy nie będzie można ani utajnić, ani doprowadzić do nie kończących się badań w postępowaniach sądowych czy tworzeniu jakichś komisji parlamentarnych, których głównym zadaniem będzie trzymanie tej sprawy pod suknem czy zamazanie, jak to miało miejsce chociażby ze sprawą p. Oleksego.

●

Rząd wprowadził nowe przepisy wjazdowe dla cudzoziemców i uściślił granice. Motywowano to tym, że Unia Europejska tego się domaga w ramach zwalczania nielegalnej imigracji, handlu narkotykami etc. W Polsce ta sprawa ma zupełnie inny charakter, mianowicie przepisy te uderzyły przede wszystkim w handel „walizkowy" prowadzony przez Białorusinów, Ukraińców czy Rosjan. Handel ten pozwalał obywatelom tych krajów na poprawienie swojej, tak niskiej, stopy życiowej. Było to również bardzo wygodne dla Polski. Bazary dostarczały setki milionów dolarów i uruchamiały przemysł, który dostarczał towarów handlarzom ze Wschodu, jak chociażby przemysł włókienniczy. Przy tym wszystkim przepisy te wprowadzono bez poinformowania zainteresowanych państw i wydania instrukcji naszym władzom celnym.

Jesteśmy więc obecnie świadkami zatorów na granicy, demonstracji, groźby strajków. Rząd polski te przepisy wprowadził nie tylko w sposób nieprzemyślany, ale przede wszystkim zbyt szybko. Sprawa przyjęcia Polski do Unii Europejskiej nie jest jeszcze całkowicie załatwiona. Czekają nas bardzo trudne rokowania, bo punktów spornych jest bardzo dużo, jak chociażby problem stali i przemysłu agro-alimentarnego. Mieliśmy więc dużo czasu, rok czy dwa, by te konflikty rozwiązać bez szkody dla naszej gospodarki i bez zadrażniania stosunków z sąsiadami ze Wschodu.

●

Tak, jak już wspomniałem, brak jest pieniędzy na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb w dziedzinie zdrowia, szkolnictwa czy bezpieczeństwa. A jednocześnie przeprowadza się masowe czystki w administracji obsadzając wszystkie możliwe stanowiska ludźmi związanymi z AWS. Pociąga to za sobą wypłacanie odpraw, odszkodowań, etc. To są sumy ogromne. Czyż nie można tego bardziej rozłożyć w czasie, a przede wszystkim starać się te stanowiska obsadzać ludźmi kompetentnymi? Dochodzi do takich paradoksów jak nominacja na ministra kultury i sztuki p. Wnuk-Nazarowej, która spowodowała że z tęsknotą wspomina się rządy ministra Podkańskiego, a to jest dużo powiedziane.

●

Trwa ciągle brutalna walka podjazdowa z prezydentem, którego kompetencje koalicja stara się jak najbardziej ograniczać i kwestionować. Ostatnio wybuchł konflikt na tle ustalenia w czyich kompetencjach jest decyzja użycia wojska polskiego poza granicami kraju. Zapomina się, że deprecjacja stanowiska prezydenta to nie tylko osoba p. Kwaśniewskiego, ale również jego następców. Ponadto już z miejsca zaczyna się podważać nową Konstytucję, która powoli i z trudem wchodzi w życie. Inna rzecz, że prezydent Kwaśniewski nie ułatwia sytuacji, jest np. zupełnie niezrozumiałe zakonspirowane nadanie odznaczeń kilkudziesięciu osobom związanym z poprzednią koalicją, a cała uroczystość odbywała się w siedzibie SdRP. Nie można robić takich rzeczy zapewniając jednocześnie, że jest się prezydentem wszystkich Polaków.

Rosyjski Inturist zaczyna rozwijać ożywioną działalność w Polsce. Oferuje nie tylko turystykę w Rosji, ale przede wszystkim w krajach nadbałtyckich: do Wilna, Rygi oraz Tallina. W wywiadzie udzielonym przez prezesa Inturistu, p. Dariusza Wojtała, redakcji *Przeglądu Tygodniowego* (nr z 11-go lutego br.) mówi on, że Inturist „na rynku rosyjskim, ukraińskim czy estońskim zapewnia możliwie najlepsze warunki". Obawiam się, że w dużym stopniu ma rację, gdyż polskie biura turystyczne cieszą się coraz gorszą opinią, nie mówiąc o braku inicjatywy i braku organizacji.

●

Jak się okazuje, redemptoryści nie są zakonem lecz zgromadzeniem kościelnym i dlatego podlegają w pełni jurysdykcji episkopalnej w danym kraju. Wobec tego jest zupełnie niezrozumiała niezmiernie arogancka reakcja przełożonych o. Rydzyka na upomnienie prymasa Glempa, która nie spotkała się z żadną sankcją.

●

Na zakończenie tych „Notatek": redakcja *Kultury* otrzymuje ciągle propozycje wydawania książek, czego nie możemy się podjąć, gdyż ze względów materialnych ograniczamy swoją działalność wyłącznie do *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*. Otrzymujemy również wielkie ilości wierszy i tomików poetyckich. Dział poetycki w *Kulturze* był zawsze i jest szczupły i nie jesteśmy w stanie podjąć się ich druku czy oceny. Siłą rzeczy musimy ograniczać się do poetów, z którymi łączy nas dłuższa współpraca.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

Kryzys postępu

Czy wikary miał rację?

Bez mała dwieście lat temu anglikański wikary Robert Thomas Malthus w swoim „Essay on Population" uderzył na alarm ostrzegając przed nadmiernym przyrostem ludności. Chociaż nie sprawdziły się jego przewidywania o wygłodzeniu świata z powodu niewystarczającej produkcji środków spożycia dla zwiększającej się – według niego – w postępie geometrycznym liczby mieszkańców naszego globu, ten ekonomista na pewno był na dobrej drodze w ocenie niebezpieczeństw wynikających z przeludnienia.

Malthuzjanizm w złagodzonej formie znajduje i dziś wyznawców, którzy największe niebezpieczeństwo widzą w przyroście masy ludzkiej do stopnia grożącego jej zagładą.

Zacznijmy od cyfr. Ludność ziemi wynosi dziś 6 miliardów. Demografowie przewidują, że w roku 2020 będzie już 8 miliardów a do końca następnego stulecia wzrośnie do 11 miliardów. Przyrost następuje z szybkością większą niż 100 milionów rocznie. Inaczej: każdego dnia ludność Ziemi powiększa się o 274 tysiące, każdej godziny o 11 i pół tysiąca, a co minutę przybywa 190 nowych mieszkańców naszej planety. I tak się dzieje, mimo że w niektórych krajach europejskich nastąpiła stagnacja a nawet spadek wzrostu.

Najwięcej, bo 90% światowego przyrostu obserwujemy w rejonach o najgęściejszym zaludnieniu, w krajach ubogich Trzeciego Świata. W Afryce ludność rok rocznie zwiększa się o przeszło 16 milionów, o 10 milionów w Ameryce Łacińskiej i aż o 52 miliony w Azji. Ludność Nigerii od roku

1950 powiększyła się z 43 milionów do przeszło 105. Według prognozy statystycznej Narodów Zjednoczonych, w ciągu następnych 35 lat, kraj ten będzie liczył 206 milionów mieszkańców.

Są to cyfry budzące niepokój, bowiem ręka w rękę z przeludnieniem idą: ubóstwo, głód, rabunkowa gospodarka surowcowa, zatruwanie naturalnego środowiska człowieka, erozja gleby, zanieczyszczenie atmosfery, a w konsekwencji – kataklizmy, wojny, choroby i załamanie się struktur socjalnych.

Wbrew przewidywaniom Malthusa światowa produkcja żywności wzrasta zamiast się kurczyć i mogłaby wystarczyć na nakarmienie głodujących, ale ten wzrost odbywa się w krajach dobrze zagospodarowanych i bogatych. Kraje ubogie Trzeciego Świata nie mają pieniędzy na zakup nadwyżek żywnościowych Ameryki, Kanady czy Europy, nie mają pieniędzy na import i dystrybucję.

Głód w krajach zapóźnionych gospodarczo będący konsekwencją niekontrolowanego przyrostu ludności i braku kapitałów, jest zjawiskiem zarówno tragicznym jak i paradoksalnym u schyłku wieku postępu i rozwoju. W Stanach Zjednoczonych, Japonii i Europie wydaje się miliardy dolarów na subsydiowanie rolnictwa i sztuczne utrzymywanie wysokich cen produktów rolnych, za które nie mogą płacić kraje niezamożne. W rezultacie wzbogacanie się rolników w krajach bogatych zwiększa liczbę głodujących Trzeciego Świata. Paradoks polega również na tym, że te same kraje dobrze prosperujące przekazują część swych nadwyżek żywnościowych krajom biednym za darmo, w formie pomocy za pośrednictwem instytucji międzynarodowych.

Indie liczą 970 milionów ludności, produkują dostateczną ilość ziarna i ryżu a jednak nie potrafią wyżywić swoich mieszkańców. Prawie jedna trzecia, bo 350 milionów obywateli tego kraju żyje w skrajnej nędzy mimo postępu gospodarczego, jaki nastąpił od czasu uzyskania niepodległości 50 lat temu. Ci najbiedniejsi prowadzą żywot urągający wszelkim zasadom higieny i podstawowym warunkom egzystencji. Na ulicach wielkich miast, Bombaju czy Delhi zatrzymujący się samochód oblegają tłumy wyrostków i dzieci skamląc o jałmużnę. Nic dziwnego, że ś.p. Matka Teresa

wybrała Kalkutę za centralę swej misyjnej działalności wśród najuboższych spośród ubogich tego świata.

Kraje głodujące bez dostatecznych środków finansowych albo muszą zaciągać pożyczki, albo liczyć na pomoc państw zamożnych czy instytucji międzynarodowych. To wyciąganie ręki do bogatych stało się już nagminne i zaraźliwe. A mimo tej pomocy – według statystyk ONZ – na świecie codziennie umiera z głodu 35 tysięcy ludzi. Większość stanowią dzieci.

Frederico Garcia Lorca kiedyś pisał, że dzień w którym głód przestanie nękać naszą ziemię, będzie dniem największego triumfu ludzkości. Osobiście wątpię czy to kiedyś nastąpi.

Kryzys energetyczny i nowe źródła energii

Najważniejszym, poza żywnością produktem spożycia jest energia czerpana z surowców energetycznych, na którą zapotrzebowanie zwiększa się w miarę przyrostu ludności.

Parę lat przed ostatnią wojną sensację zrobiła książka wydana w Ameryce „Nafta rządzi światem". Ten tytuł utkwił mi w pamięci bo jakże trafnie ujął naszą niewolniczą zależność od tego surowca.

Światowa konsumpcja ropy naftowej wynosi około 20 miliardów baryłek rocznie. Jej zasoby nigdy się nie zwiększają a stale topnieją. Odnajdywanie i eksploatacja nowych pól naftowych wcale nie zmienia sytuacji, stanowi po prostu odkręcenie nowego kurka w jednym wielkim zbiorniku globalnym, w którym im więcej kurków, tym mniej ropy.

Według modeli komputerowych Biura Geologicznego USA, światowe zasoby ropy wystarczą na następnych 50 lat, a tak cennego paliwa jak gaz ziemny, na dekadę lub dwie dłużej. Biorąc te cyfry nawet z pewnymi zastrzeżeniami co do ich dokładności, możemy przyjąć, że prędzej czy później następne pokolenia będą musiały się obejść bez tych dwóch, tak nam dobrze znanych paliw energetycznych. Być może świat naszych dzieci będzie korzystał z energii atomowej w znacznie większym zakresie niż my teraz, albo z energii słonecznej, czy też energii wiatrów, fal morskich lub wyzwalanej ze związków chemicznych. Nafta będzie jeszcze rządzić

światem kilkadziesiąt lat, tak jak kończący się węgiel, którego atrakcyjność jako paliwa stale się zmniejsza ze względu na szkodliwe emisje i zanieczyszczenie atmosfery. Dwudziesty pierwszy wiek może się okazać równie przełomowy w zastosowaniu nowych źródeł energii, co przejście z siły pociągowej konia do maszyny parowej za życia Malthusa.

Kurczenie się zasobów surowców energetycznych zmusza do oszczędnego gospodarowania. Niewiele to pomoże. Zbliża się konieczność znalezienia uniwersalnego i taniego źródła energii „czystej", która zastąpi ropę naftową, węgiel, a nawet będące dziś w użyciu elektrownie atomowe. Istnieje teoretyczna możliwość, że będzie to energia termojądrowa, wyzwalana w drodze syntezy – łączenia jąder lekkich, tzw. „zimna fuzja". Jej surowcem będą praktycznie niewyczerpalne zasoby ciężkiego wodoru otrzymywanego z morskiej wody.

Dotychczasowe próby laboratoryjne okazały się fiaskiem. W 1989 r. dwaj uczeni, Stanley Pons z uniwersytetu w Utah i Martin Fleischman z Southampton w Anglii, oznajmili, że udało im się dokonać „zimnej fuzji" laboratoryjnie w temperaturze „pokojowej". Ich eksperyment nigdy nie został powtórzony ani potwierdzony. Japończycy, którzy w ciągu ośmiu lat wydali na ten cel 20 milionów dolarów, zrezygnowali z dalszych eksperymentów. Amerykanie śmieją się: dziecinnie mała suma, kropla w morzu – i próbują dalej. Mówią, że są na dobrej drodze i że jeżeli „zimna fuzja " się uda, wszystkie problemy energetyczne zostaną rozwiązane. Ale pewien biolog z uniwersytetu Stanford w Kalifornii nie podziela tego optymizmu. Paul Ehrilh powiada, że znalezienie uniwersalnego i taniego źródła energii byłoby równie niebezpieczne co danie dziecku do ręki broni maszynowej. Nieograniczona i wszem dostępna energia równa się nieograniczonej produkcji, co prowadzi do nieograniczonej ilości odpadów przemysłowych, co znacznie pogorszy stan ekologiczny naszej planety. W konsekwencji człowiek ugrzęźnie we własnych śmieciach, zatruje się szkodliwymi emisjami, wytrzebi lasy, stworzy wokół siebie pustynię, no i oczywiście wyczerpie szybciej zasoby surowców kopalnianych.

Kłopoty z pozbywaniem się „śmieci" i odpadów o wysokiej radioaktywności z istniejących i nowo budowanych reaktorów atomowych są coraz większe. Przy kolosalnym

nakładzie pieniędzy w Ameryce buduje się podziemne składy lecz nikt nie ma pewności czy stalowe pojemniki będą w stu procentach chronić przed przeciekami materiałów radioaktywnych i przed skażeniem gleby oraz wód podskórnych. W paśmie górskim Yucca w stanie Newada niedaleko Las Vegas rozpoczęto budowę podziemnej mega-składnicy i już wydano na ten cel 2 miliardy dolarów, a w trakcie kończenia budowy okazało się, że zabezpieczenie przed przeciekami jest nie wystarczające.

Rosną także obawy coraz większego skażenia wód morskich materiałem radioaktywnym. Według danych z Archiwum Marynarki Wojennej USA, na dnie mórz od czasu zakończenia ostatniej wojny do roku 1988 znalazło się 50 głowic pocisków atomowych i 9 reaktorów zatopionych okrętów podwodnych. A ile katastrof nastąpiło od tego czasu?

Śmiercionośny pierwiastek promieniotwórczy – pluton jest używany w reaktorach pojazdów kosmicznych. Dwa takie pojazdy uległy wypadkom: Nimbus-B w 1968 roku i Apollo 13 w 1970 roku. Nie uszkodzony reaktor Nimbus udało się wydobyć z oceanu u wybrzeży Kalifornii, reaktor Apolla nadal spoczywa na dnie Pacyfiku w rowie oceanicznym Tonga.

Moja znajoma zajmująca wysokie stanowisko w Europejskiej Agencji Energii Atomowej podczas niedawnej rozmowy w Warszawie wyśmiała mnie kiedy zakwestionowałem słuszność elektryfikacji kraju przy pomocy siłowni atomowych. Gdy wspomniałem o ryzyku powtórzenia się Czarnobyla nazwała mnie kompletnym ignorantem. A jednak upieram się, że takie niebezpieczeństwo istnieje i to dość blisko, na Litwie w Ignalinie, gdzie przestarzały reaktor atomowy dochodzi do kresu wytrzymałości.

Specjaliści z Instytutu Technologicznego w Colorado obliczyli, że przy trzykrotnym wzroście zapotrzebowania na energię elektryczną i przy zastąpieniu paliwa konwencjonalnego energią atomową do roku 2025, trzeba będzie zbudować na świecie 8000 elektrowni atomowych. Obecnie jest ich około 400. Koszt takiego przedsięwzięcia przekroczyłby możliwości finansowe nawet krajów średnio bogatych, a ryzyko katastrof w rodzaju Czarnobyla wzrosłoby dwudziestokrotnie.

Rewanż postępu i ekologia

Edward Tenner, amerykański historyk technologii w niedawno wydanej książce pt. „Why things bite back?" pisze o rewanżu postępu. Postęp mści się. Rozwiązując niektóre problemy – stwarza nowe. Dla przykładu weźmy Chiny.

Wskutek gwałtownego wzrostu gospodarczego w ciągu ostatnich kilku lat nastąpiło tam tak wielkie skażenie środowiska, że grozi to zahamowaniem dalszego rozwoju ekonomicznego kraju. Pięć największych miast z Pekinem na czele należy do najbardziej skażonych na świecie. Rokrocznie z powodu zatrucia wody i powietrza umiera w Chinach 280 tysięcy ludzi, a państwo traci od 3 do 8 procent dochodu narodowego.

Zdobycze technologii na jednym polu powodują regresję na innym. Wbrew przewidywaniom, rewolucja komputerowa zamiast zredukować – zwiększyła zużycie papieru powodując bardziej intensywną eksploatację lasów i ruinę drzewostanu w niektórych rejonach. Co roku znikają obszary leśne wielkości królestwa Nepalu o powierzchni 140 tysięcy kilometrów kwadratowych, a wraz z lasami giną całe gatunki roślin, zwierząt i ptaków. Jeśli na jednym tylko drzewie w puszczy peruwiańskiej entomolodzy znaleźli ponad czterdzieści gatunków mrówek, ileż wobec tego gatunków fauny i flory tracimy przy masowym kurczeniu się lasów w dorzeczu Amazonki?

Im uboższe społeczeństwo w którymś z krajów Trzeciego Świata, tym większa katastrofa grozi lasom sprzedawanym wielkim koncernom papierniczym. Wykarczowane obszary zamienia się na pastwiska dla bydła hodowanego na eksport dla zdobycia twardej waluty.

Bez drzew giną ekosystemy także w klimatach umiarkowanych, w Ameryce Północnej, w Europie i Azji. Ślady ogromnego zniszczenia drzewostanu widać wyraźnie gdy leci się samolotem z Kalifornii do Oregonu wzdłuż wybrzeża oceanu. Tam gdzie kilka lat temu wzgórza pokrywał las tysiącletnich gigantów, dziś świeci pustka jałowych krat ziemi.

Gospodarka leśna nawet w krajach bogatych pozostawia wiele do życzenia: w Stanach Zjednoczonych państwo subsydiuje budowę dróg w wielkich kompleksach parków narodowych dla umożliwienia wywózki drzew sprzedawanych fabrykom papieru. Subsydiowanie deforestacji kosztuje amerykańskiego podatnika 97 milionów dolarów rocznie.

Klęska lasów zuboża ludzi. Połowa gatunków zwierząt i roślin jest związana z lasami w klimatach umiarkowanych a 80% w klimatach tropikalnych.

Próby naprawy

Pięć lat temu Międzynarodowa Konferencja Ekologiczna na najwyższym szczeblu jaka odbyła się w Rio de Janeiro, podjęła szereg rzekomo wiążących decyzji, celem ochrony środowiska. W czerwcu tego roku podobna konferencja w Nowym Jorku zorganizowana przez ONZ dokonała przeglądu osiągnięć za okres pięciu lat, stwierdzając, z rozczarowaniem, że tych osiągnięć nie było, że stan ekologiczny świata nie uległ poprawie. Przeciwnie, znacznie się pogorszył z wyjątkiem tylko jednego małego odcinka, mianowicie ustabilizowania w niektórych krajach przyrostu ludności. Mimo tej stabilizacji ludność ziemi powiększa się, a świat musi sobie jakoś radzić z ubytkiem wód, z zanieczyszczeniem powietrza, z coraz większym skażeniem i erozją gleby, ze zmniejszającym się obszarem ziemi uprawnej, z zatruwaniem wód morskich wskutek rozlewów ropy naftowej i zatapianiem w oceanach odpadów przemysłowych.

Pogorszenie nastąpiło głównie w krajach Azji, Ameryki Łacińskiej i w Afryce, a także w niektórych krajach europejskich i na obszarach byłego ZSSR.

Degradacja ekologiczna ziemi powoduje zmiany klimatyczne. Podkreślił to szczególnie wyraźnie na konferencji nowojorskiej prezydent Clinton, który powiedział, że jeżeli nie uda się powstrzymać ocieplania atmosfery wskutek różnego rodzaju szkodliwych emisji, wówczas w następnym stuleciu poziom oceanów i mórz wzrośnie o dwie trzecie metra lub więcej. Będzie to równoznaczne ze stratą 9 tysięcy mil kwadratowych lądu w USA i 17% ziemi w takim kraju jak Bangladesz, który to obszar zamieszkuje 6 milionów ludzi.

Poprawa stanu ekologicznego świata, likwidowanie niebezpiecznych gazów spalinowych, odpadów promienio-

twórczych, szkodliwych związków chemicznych będzie wtedy możliwe kiedy nastąpi ograniczenie spożycia, kiedy zmniejszy się zapotrzebowanie na energię, na surowce, na artykuły przemysłowe i konsumpcyjne, jednym słowem – kiedy zahamujemy eksplozję populacyjną.

Robert Thomas Malthus nie przewidywał rewolucji technologicznej, nie śniły mu się podróże kosmiczne, telewizory, telefony czy komputery, ale miał rację wskazując na przeludnienie jako największy problem ludzkości.

U schyłku 20 stulecia zagląda nam w oczy wizja spustoszonego świata i człowieka bezradnie błądzącego na stworzonej przez siebie pustyni. By pozbyć się tej wizji musimy zrezygnować z ilości na rzecz jakości. Logika i zdrowy rozsądek nakazują ograniczenie przyrostu naturalnego do rozmiarów optymalnych, by zapewnić mieszkańcom Ziemi godziwe warunki egzystencji i rozwoju w harmonii z naturą. Nie masa głodujących pariasów ludzkiej rasy lecz wartość gatunku powinna być dążeniem człowieka stworzonego po to by stawał się lepszym.

J. Zdzisław SZYŁEYKO

KOMUNIKAT
FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ

W roku 1997 ze stypendiów Funduszu skorzystało 26 osób, w tym 12 Białorusinów, 5 Litwinów, 6 Polaków (w tym jeden z Rosji) i 3 Ukraińców. Większość została wykorzystana na terenie Polski (15), kilka we Francji i po jednym – w Niemczech, Czechach i na Litwie. Ufundowanie stypendiów było możliwe dzięki dotacjom z następujących instytucji:

Open Institute Society (USA),
National Endowment for Democracy (USA),
Stowarzyszenie Les Amis de la Pologne (Francja),
PZU S.A. (Polska).

Wśród stypendystów znaleźli się historycy, filolodzy, pisarze i poeci, publicyści, tłumacze.

Łącznie na stypendia w 1997 r. Fundusz wyasygnował 144.000 franków francuskich. Wysokość jednorazowej (zwykle miesięcznej) pomocy wynosiła od 5000 do 7000 franków francuskich.

●

W połowie 1997 roku Fundusz zwrócił się z apelem o wsparcie finansowe do kilkudziesięciu instytucji i osób z Polski (dotychczas Fundusz korzystał prawie wyłącznie z pomocy fundacji zachodnich). W efekcie otrzymaliśmy pomoc z:

– PZU S.A. – 20.000 zł;
– Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych – 10.000 zł.

W październiku 1997 Fundusz podpisał porozumienie dotyczące wspólnego programu stypendialnego z **Fundacją Bankową im. Leopolda Kronenberga,** która przeznaczyła na stypendia 100.000 zł na rok 1998 i 100.000 zł na 1999 rok.

Uzyskaliśmy także deklaracje pomocy finansowej na 1998 rok z Fundacji Kultury (na pięć stypendiów) i z Polskiej Fundacji Upowszechniania Nauki (na jedno stypendium).

●

Fundusz Pomocy Niezależnej Nauce i Literaturze Polskiej został utworzony w lutym 1982 roku przez grupę polskich pisarzy, naukowców i wydawców działających poza granicami kraju. Zarejestrowany jest we Francji jako stowarzyszenie o celach niedochodowych. Prezydentem Funduszu jest Czesław Miłosz. Komitet Wykonawczy tworzą: Mirosław Chojecki, Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Wojciech Karpiński, Krzysztof Pomian, Wojciech Sikora, Olga Scherer. Członkami Funduszu są ponadto: Stanisław Barańczak, Feliks Gross, Leszek Kołakowski. Fundusz współtworzyli śp. Józef Czapski, Konstanty Jeleński, Zygmunt Kallenbach i Wiktor Weintraub.

Środki na prowadzenie działalności Fundusz otrzymywał od rozmaitych fundacji prywatnych i indywidualnych ofiarodawców. Głównymi sponsorami w różnych latach jego istnienia były: Fundacja Forda (USA), Central and East European Publishing Project (Anglia), Fundacja Fritt Ord (Norwegia), National Endowment for Democracy (USA), The Open Society Institute (USA). Znaczną jednorazową pomoc otrzymał Fundusz dzięki inicjatywie niemieckich plastyków, którzy ofiarowali dochody z aukcji swych dzieł przeprowadzonej w 1983 roku w Düsseldorfie na rzecz twórców w Polsce.

Od początku istnienia Fundusz:

– współfinansował (w latach osiemdziesiątych) wydanie 54 książek, które nie mogły ukazać się w Polsce;

– przekazał niezależnym kulturalnym, oświatowym i naukowym instytucjom w kraju w formie subwencji blisko 100.000 USD (lata osiemdziesiąte);

– udzielił ponad 450 miesięcznych stypendiów umożliwiających twórcom polskim (i z krajów z Polską sąsiadujących) pobyty na Zachodzie.

Obecnie Fundusz Pomocy Niezależnej Nauce i Literaturze Polskiej zajmuje się wyłącznie przyznawaniem stypendiów. W ostatnich latach udzielał rocznie 20-40 miesięcznych stypendiów.

Stypendia przeznaczone są dla twórców i naukowców w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych w celu umożliwienia im krótkich (miesięcznych) pobytów na Zachodzie. Stypendyści Funduszu pracowali w archiwach, bibliotekach i muzeach większości krajów Europy Zachodniej.

Szczególną cechą Funduszu jest to, że pracuje w sposób maksymalnie uproszczony, z minimalnymi kosztami administracyjnymi. Komitet Wykonawczy zbiera się dwa-trzy razy do roku w Paryżu. Fundusz nie prowadzi osobnego biura – wszelkie prace związane z działalnością bieżącą i sprawy administracyjne prowadzi sekretarz, którego adres jest również adresem oficjalnym Funduszu.

W odróżnieniu od wszelkich oficjalnych programów wymiany, Fundusz przyznaje stypendia głównie ludziom młodym, jeszcze nie znanym, dla których otwierają one często jedyną możliwość wyjazdu na Zachód na prowadzenie badań naukowych czy też, po prostu, na zapoznanie się z tym co dzieje się w zachodniej kulturze i nauce. Wśród stypendystów

jest wysoki odsetek osób z mniejszych, prowincjonalnych ośrodków, odciętych z reguły od możliwości kontaktów z Zachodem.

W ostatnich latach ze stypendiów Funduszu korzystali również obywatele państw sąsiadujących z Polską: z Białorusi, Litwy, Ukrainy, także z Bułgarii, Estonii, z Rosji i z Węgier. Otrzymujemy z tych krajów – gdzie sytuacja środowisk twórczych jest znacznie gorsza niż w Polsce – coraz więcej podań. Fundusz stara się traktować je jak najbardziej przychylnie, zważywszy jednak szczupłość środków, którymi dysponuje, jest to pomoc absolutnie nie wystarczająca. Potrzeby – określone w sposób maksymalnie oszczędny – znacznie przewyższają dzisiejsze możliwości finansowe Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej.

●

Apelujemy – dzisiaj przede wszystkim do osób i instytucji krajowych – o wsparcie finansowe Funduszu!

Adres bankowy:

Fonds d'Aide aux Lettres Polonaises Indépendantes,
Crédit Industriel et Commercial (CIC),
CTE FE 01644-42,
58, rue du Temple,
75004 Paris,

Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej
Bank: BISE SA,
III Oddział,
ul. Dubois 5A, 00-184 Warszawa
Nr. 3500125-27805-2100-793

Wszelkie dodatkowe informacje dotyczące Funduszu i zasad przyznawania stypendiów można otrzymać zwracając się do sekretarza Funduszu na adres:

Wojciech Sikora,
Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze
i Nauce Polskiej
31, rue de Garlande,
77-220 Tournan-en-Brie; Francja
(fax/tel.: 64 06 44 27)

Nagrody

Nagrodę publicystyczną im. Adolfa Bocheńskiego za rok 1997 otrzymała Janina Paradowska za całokształt pracy publicystycznej.

●

Premier Jerzy Buzek i prof. Zbigniew Brzeziński zostali tegorocznymi laureatami Medalu św. Brata Alberta.

●

Z okazji 40-lecia pracy pisarskiej Danuta Mostwin została odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP.

●

Laureatami nagród Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku za rok 1997 zostali: William J. Bresnan, który otrzymał Medal Józefa Piłsudskiego, prof. Roman Zawodny – Medal prof. Wacława Jędrzejewicza, dr Bohdan Paczyński – Medal Marii Curie-Skłodowskiej oraz Ryszard Kapuściński – Medal Józefa Conrada. Odznaczenia zostały wręczone w czasie dorocznego bankietu w Nowym Jorku.

●

Z okazji 65-lecia urodzin prof. Henryka Ratajczaka, dyrektora Stacji Polskiej Akademii Nauk w Paryżu, ukazał się specjalny numer pisma *Structure, Properties and Synamics of Molecular Systems*, opracowany przez prof. Zdzisława Latajka z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Austina J. Barnesa z uniwersytetu w Salford w Wielkiej Brytanii, zawierający prace poświęcone profesorowi Ratajczakowi.

●

Polska Fundacja Kulturalna im. Edwarda Raczyńskiego

przyznała nagrody za rok 1997: za najlepszą książkę historyczno-polityczną Apoloniuszowi Zawilskiemu za „Polskie fronty 1918-1945", 2 tomy (Oficyna Wydawnicza „Volumen" w Warszawie) oraz Magdalenie Hułas za książkę „Goście czy intruzi? Rząd polski na uchodźstwie wrzesień 1939 – lipiec 1943", wydaną przez Instytut Historii PAN w Warszawie.

●

Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich ogłosiło swoje doroczne nagrody za przekłady książek i dramatów w roku 1996. Nagrodę za całokształt twórczości przekładowej otrzymał Mieczysław Brożek, autor m.in. przekładu „Żywotów" Plutarcha. W dziedzinie literatury pięknej dwie równorzędne nagrody przyznano Ryszardowi Wojnakowskiemu za przekład z niemieckiego powieści Karla Immermanna „Münchhausen. Historia arabeskowa" i Julianowi Kornhauserowi za przekład antologii poezji bośniackiej „Lament nad Sarajewem".

●

Paszporty *Polityki* 1997:

Literatura: Andrzej Sapkowski – autor cyklu powieści *fantasy* („Wiedźmin")

Muzyka: Dariusz Paradowski – solista Warszawskiej Opery Kameralnej (sopran)

Plastyka: Katarzyna Kozyra – autorka kontrowersyjnych instalacji plastycznych („Piramida zwierząt", „Łaźnia")

Film: Jerzy Stuhr – aktor, reżyser „Historii miłosnych"

Teatr: Anna Augustynowicz – reżyser, dyrektor Teatru Współczesnego w Szczecinie, promotorka współczesnej dramaturgii

Rock, pop, estrada: Kayah – wokalistka (najnowsza płyta „Zebra").

●

Nagrody Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego za rok 1997 otrzymali: Jerzy Armata (medycyna), Tadeusz Iwaniec (matematyka), Andrzej Z. Budzyński (biochemia), Ewa Morawska (socjologia), Henryk Samsonowicz (historia), Piotr Chełkowski (historia kultury), Leszek A. Moczulski (litera-

tura), Krzysztof Wodiczko (plastyka) Anders Bodegard i Karol Lesman (przekłady).

W numerze 12/603 *Kultury* przez pomyłkę podaliśmy nagrody Fundacji im. Jurzykowskiego za rok 1996 jako nagrody za rok 1997. Przepraszamy.

●

Wychodzący we Wrocławiu miesięcznik *Odra* przyznał swoją doroczną nagrodę Andrzejowi Sosnowskiemu za całokształt twórczości poetyckiej.

Nagrody „Przeglądu Wschodniego" 1997

W kategorii dzieł autorów zagranicznych nagrody otrzymują: NATALIA JAKOWENKO (historyk, profesor NANU i Akademii Kijowsko-Mohylskiej, Kijów), oraz JAROSŁAW HRYCAK (historyk, dyrektor Instytutu Badań Historycznych Uniwersytetu Lwowskiego) za książkę „Narys istorii Ukrainy" (T. I-II, Heneza, Kijów 1996-97).

W kategorii dzieł autorów krajowych nagrodę otrzymują: LESZEK ZASZTOWT (historyk, adiunkt w Instytucie Historii Nauki PAN, Warszawa) za książkę „Kresy 1832-1864. Szkolnictwo na ziemiach litewskich i ruskich dawnej Rzeczypospolitej" (TNW i IHN PAN, Warszawa 1997) oraz KAZIMIERZ KRAJEWSKI (historyk, pracownik Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Warszawa) za książkę „Na ziemi nowogródzkiej. 'NÓW'–Nowogrodzki Okręg Armii Krajowej" (IW PAX, Warszawa 1997).

Nagrodę specjalną *Przeglądu Wschodniego* 1997 otrzymują: ROMAN DZWONKOWSKI SAC (historyk Kościoła, profesor KUL, Lublin) za ostatnio wydane książki „Kościół katolicki w ZSRR 1917-1939. Zarys historii" i „Losy duchowieństwa katolickiego w ZSRR 1917-1939" (Wydawnictwo KUL, Lublin 1997) i całokształt wieloletnich prac poświęconych losom katolików na Wschodzie oraz NORMAN DAVIES (historyk, profesor Uniwersytetu w Oxfordzie) za dzieło „Europe. A History" (Oxford University Press 1997) i całokształt działalności przywracającej nauce i świadomości Zachodu istnienie Polski i jej sąsiadów jako części Europy.

STYPENDIA
FUNDACJI IM. MARII I ZYGMUNTA ZALESKICH

Fundacja wystąpiła ostatnio z inicjatywą mającą na celu pogłębienie polsko-europejskich a zwłaszcza polsko-francuskich stosunków naukowo-artystycznych. Zadaniem tych stypendiów jest ułatwienie niepolskim osobistościom ze świata kultury dłuższego pobytu w Warszawie. Ten pobyt ma im pozwolić na pogłębienie stosunków z Polską w ramach ich konkretnych zainteresowań. Laureaci stypendiów będą mogli zamieszkać bezpłatnie w willi w Warszawie należącej do Fundacji. Otrzymają również 7 tys. florenów miesięcznie (z kosztami przejazdu włącznie).

Zainteresowani kandydaci mogą przesłać podanie pod następującym adresem:

Comité d'Attribution du Prix Maria et Zygmunt Zaleski
c/o Directeur de la Bibliothèque Polonaise
6, quai d'Orléans
75004 Paris.

W podaniu należy podać następujące dane: imię, nazwisko, zawód, krótki opis zakończonych lub będących w toku prac (z referencjami), powody planowanego pobytu w Warszawie, czas zamierzonego pobytu oraz przewidziane daty, trzy lub cztery nazwiska osób mogących dać opinię o kandydacie. Kandydatury na rok 1998 należy zgłaszać do 31 marca 1998, na rok 1999 zaś do 30 września 1998.

Książki

Oświecenie i zło

Oto więc mamy nową książkę Bronisława Baczki, wybitnego znawcy epoki Oświecenia, „Hiob, mój przyjaciel. Obietnice szczęścia i nieuchronność zła"*. Składają się na nią cztery studia, które imponują erudycją, sprawnością analitycznego warsztatu, umiejętnością rozumiejących interpretacji i szerokością horyzontów. Autor udatnie rekonstruuje historyczny koloryt doktryn, które nie tworzą przecież zamkniętych systemów, opisuje ich wewnętrzne napięcia oraz dynamikę stanowienia się, wspólnotę pytań i odmienność odpowiedzi. Ta jednakże wrażliwość na historyczny konkret łączy się zarazem ze zdolnością do „istotowego oglądu", która pozwala czytelnikowi dotrzeć do problemów przekraczających już ów czas miniony, bo należących do „długiego trwania", do kwestii zatem właściwych również naszemu sposobowi ujmowania i przeżywania świata. Książka Bronisława Baczki jest więc nie tylko dziełem historycznym czy historyczno-filozoficznym, lecz także w istotnej mierze filozoficznym.

W centrum myśli Oświecenia – dowodzi Baczko – stanowiąc o jej ruchu, przemianach i dezintegracji, znajduje się problematyka zła. Wprowadzeniem do tej konstatacji jest studium o Wolterze: „Racjonalny porządek i zło moralne". Otóż autor „Kandyda" początkowo mniemał, iż obecność zła w świecie może zostać racjonalnie wyjaśniona, a więc w rezultacie i usprawiedliwiona. Tym zaś tłumaczącym kontekstem stała się dlań idea „Ładu", „Porządku fizyczno-moralnego", koncepcja zatem natury jako „wielkiej całości", w której wszystko, każde poszczególne istnienie, znajduje się na

* Bronisław Baczko, „Job, mon ami. Promesses du bonheur et fatalité du mal", Gallimard 1997.

swoim miejscu i spełnia określoną funkcję (wizja urobiona zresztą nie bez wpływu Leibniza, Pope'a i Newtona).

Wprawdzie Wolter nie akceptował poglądu, iż „wszystko jest dobre" w jego wersji radykalnej, zbyt – jak sądził – naiwnej, skłonny był raczej poprzestać na postaci umiarkowanej, zastępując słówko „dobre" określeniem „znośne", ale i z nią rozstał się w wyniku kataklizmu – trzęsienia ziemi w Lizbonie. Wtedy bowiem ostatecznie uświadomił sobie fakt, iż racjonalny porządek świata jest tylko intelektualną konstrukcją, ba, iluzją, którą burzy faktyczność zła i że zło samo jest skandalem zarówno intelektualnym, jak i moralnym, że pytania o jego rację i sens muszą pozostać bez satysfakcjonującej odpowiedzi. Ale odrzucając przeświadczenie, iż „wszystko jest dobre" Wolter nie przyjął przeciwtezy głoszącej, że „wszystko jest złe". Obydwa te stanowiska – jego zdaniem – usprawiedliwiając ludzką bierność, nakazując godzić się z zastanymi okolicznościami, prowadzą do fatalizmu i etycznego indyferentyzmu. W świecie ludzkiego doświadczenia nie istnieje bowiem dobro czy zło absolutne, lecz tylko relatywne, o mniejszym lub większym stopniu intensywności. Wprawdzie ludzie nie są w stanie usunąć zła ze świata, ale przecież mogą je ograniczać, a tym samym powiększać dobro. Kultywując więc elementarne wartości: pracę, przyjaźń, sprawiedliwość, rozum, tolerancję, robiąc porządek wokół siebie, „uprawiając własne ogródki", mogą myśleć o naprawie społecznego świata, o usuwaniu zeń tego zła, którego sami są sprawcami. „Pewnego dnia – pisał Wolter – wszystko będzie dobrze – oto nasza nadzieja; wszystko jest dobrze dzisiaj – oto nasze złudzenie".

W poglądach Woltera – zdaniem Bronisława Baczki – zarysował się zatem nowy, dominujący w „Wieku Świateł", sposób rozumienia i przeżywania problematyki zła. Kwestia ta nie odnosi się już do czasu świętego, czasu więc początku, którego symboliczną figurę stanowi wizja raju, grzechu pierworodnego i upadku, otwierającego czas dziejów. Filozofowie odrzucając teologiczno-metafizyczne ufundowanie zła, kwestionując ideę opatrzności i wizję wiecznego zbawienia, tym samym unieważniali teodyceę. Ale też nie znaleźli dla niej alternatywy. Pytanie o źrodło zła fizycznego, o jego dojmującą obecność w ludzkim doświadczeniu, pozostało bez odpowiedzi, kończąc się co najwyżej agnostycznym n i e w i e m.

Inaczej jednak ze złem moralnym. Tu miejsce dotych-

czasowych rozważań na temat metafizycznych racji oraz teologicznego sensu zła zastąpiły pytania o źródła różnorodnych cierpień jakie ludzie wzajem sobie zadają, a więc o konkretne przyczyny konkretnych wydarzeń. Zło nie posiada przecież jakiegoś jednego źródła, uniwersalnej postaci ani też jedynego, absolutnego sensu. Taka zaś desakralizacja świata społecznego, prowadząca w rezultacie do odkrywania jego własnych, autonomicznych przyczyn oraz właściwych mu celów, stała się zarazem niejako humanizacją zła. To przecież sami ludzie powołują zło do istnienia i to oni właśnie ponoszą zań wyłączną odpowiedzialność. Ale też w ich życiu manifestuje się również pragnienie szczęścia oraz zdolność do jego osiągania. Zdolność ta ujawnia się w procesie dziejów i znajduje swój wyraz w stopniowym doskonaleniu indywidualnych oraz zbiorowych form społecznego bytowania. jak widać w tym nowym teoretycznym porządku interpretacji zła – szerzej: ludzkiego losu – miejsce metafizyki i teologii zajęła historia. Ta zaś obietnica przyszłości, usytuowana w czasie, otworzyła drogę nowemu rozumieniu utopii.

Narastająca świadomość historyczna wpłynęła zatem – a jest to tematem następnego studium: „Utopie: budowanie szczęścia" – na przemianę utopijnego myślenia. Klasyczny paradygmat utopijnego dyskursu – imaginacyjna podróż, w trakcie której odkrywany bywa porządek społeczny w jego doskonałej, raz na zawsze spełnionej postaci, której żaden czas się nie ima, a która stanowi antytezę istniejącego świata, zastąpiony został teraz wizją przyszłości ludzkiego rodu. Utopię miejsca zastąpiła więc utopia czasu, w której dokonało się istotne załagodzenie opozycji istnienia i powinności. Albowiem idealny porządek życie zbiorowego nie po prostu jest lecz dopiero staje się w trakcie dziejów, bywa zatem budowany w czasie, wysiłkiem następujących po sobie pokoleń. W epoce Oświecenia tedy – jak podkreśla Bronisław Baczko – dokonała się historycyzacja utopijnego myślenia. Ale też – że użyję innego neologizmu – zarazem nastąpiła utopizacja dziejów. Wszak uzyskały one sens i teleologiczne zwieńczenie: okazały się procesem realizacji ideału, drogą zatem do regeneracji rodu ludzkiego, do zaprowadzenia stanu powszechnej szczęśliwości i ostatecznego wykorzenienia zła.

Przeświadczenie, że dzieje są procesem realizacji ideału znalazło swój wyraz w nakazie uczestnictwa w nich. Tak to historycyzacja myślenia utopijnego doprowadziła do afirmacji sfery politycznego, szerzej, praktycznego działania. Dążenie

do zaprowadzenia nowej, zgodnej z historycznym postępem i światem wartości, organizacji życia zbiorowego poczęło się wyrażać już nie tylko w języku filozofii, lecz także w języku polityki, pedagogiki czy ekonomii politycznej.

„Światła i Rewolucja" – oto ostatnia już, czwarta część książki Bronisława Baczki, w której zarysowana została ciągłość między myślą Oświecenia a „użytkiem", który z niej uczyniono, czyli Rewolucją. Epoka rewolucji miała przecież w świadomości jej działaczy stać się czasem gwałtownego przyspieszenia realizacji ideałów „Wieku Świateł" i w rezultacie spełnieniem ostatniej już, „wyzwolonej z wszelkich pęt", epoki ludzkich dziejów. Inna sprawa, że czas rewolucji tworzył nowe problemy: stawiał na porządku dziennym pytanie o rolę przemocy, o jej prawomocność i zakres, o charakter środków oraz ich odniesienie do ostatecznych celów, o to – zatem – czy rozbudowany system przemocy, będący dziełem rewolucji, jest konieczną drogą do realizacji programowanych przez nią celów czy też stanowi w istocie zaprzeczenie jej naczelnych zasad oraz głoszonych wartości. Condorcet apologię rewolucji, jako czasu przyspieszenia otwierającego przyszłość, łączył z krytyką jej jakobińskich „wynaturzeń". Pisał swój „Szkic obrazu postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje" – jedno z najbardziej optymistycznych dzieł w historii – zagrożony aresztowaniem, w ukryciu. Kontemplacja szczęśliwego obrazu nieuchronnie nadciągającej przyszłości była mu – jak podkreślał – „schronieniem, do którego nie może dotrzeć pamięć o prześladowcach". Ale przecież na owej kontemplacji nie był w stanie poprzestać. Wierzył w wartość „trudów w walce o postęp rozumu w obronie wolności", uważał, że uczestnictwo w historii w imię realizacji ideału jest powołaniem człowieka i miarą jego godności. Wyszedł tedy ze swojej kryjówki, został aresztowany i właśnie w więzieniu dopełnił się jego los.

Condorcet, podobnie jak Wolter, znalazł swoje symboliczne miejsce w Panteonie. Jednakże pogrzebany w jakiejś ze zbiorowych mogił epoki terroru, nie został odnaleziony i ekshumowany. Inaczej z Wolterem: pewnej nocy (za pierwszej restauracji) prochy autora „Traktatu o tolerancji" usunięto z Panteonu, który stał się znowu kościołem św. Genowefy, i wyrzucono do wapiennego dołu na wysypisku śmieci. Nie mogły zatem powrócić – tak jak się to stało z doczesnymi szczątkami Jana Jakuba Rousseau – na swoje dawne miejsce...

Zarysowałem tylko jeden wątek z przebogatej książki Bronisława Baczki i to w dość abstrakcyjnej postaci. Chciałbym zwrócić uwagę czytelnika na wiele innych spraw, choćby na fascynujący opis przemian wizji raju w piśmiennictwie epoki oraz na związek tej wizji z klasycznymi doktrynami utopijnymi, czy na subtelne rozważania o Rousseau jako człowieku marginesu (być na marginesie, to pozostawać w określonej relacji ze światem, nie tylko znajdować się na jego uboczu, ale także w opozycji do niego, a jest to pozycja epistemologicznie uprzywilejowana), czy o tematach tak ogólnych oraz tak filozoficznie nośnych, jak choćby właściwa dla oświeceniowego myślenia opozycja między relatywizmem moralnym a wiarą w istnienie powszechnych wartości i nieprzedawnione zasady, które znalazły przecież swój wyraz w „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela"; albo przeświadczenie o wielości i różnorodności kultur skojarzone z założeniem o uniwersalności natury ludzkiej oraz jej nieodmiennych cechach; czy – wreszcie – o owej żarliwej nadziei szczęścia, owocującej w jakże liczne obietnice jego spełnienia, a dojmującą świadomością nieuchronności zła i rzeczywistością cierpienia.

Jakże ubogie z tej perspektywy wydają się ponawiane do znudzenia obecnie krytyki Oświecenia, w których to radykalizm ocen, płynący nie tyle ze znajomości rzeczy, co z ideologicznych motywów, przywodzi na myśl praktyki egzorcyzmowania. Z każdego tedy punktu widzenia warto – tu zwracam się z apelem do Wydawców – udostępnić dzieło Bronisława Baczki polskiemu czytelnikowi.

Adam SIKORA

Wykorzenienie i powrót

W ubiegłym roku nakładem Włocławskiego Towarzystwa Naukowego ukazały się dwa tomy Marii Danilewicz Zielińskiej – powieść „Dom", której akcja toczy się właśnie we Włocławku oraz wybór opowiadań*. W przedmowie do włocławskiego wydania swej powieści po raz pierwszy wydanej w roku 1956 pisze autorka o tym, iż książka ta powstała na „swoiste zamówienie społeczne" środowisk emigracyjnych, wykorzenionych ze swych pejzaży rodzinnych, zaspakajających za pośrednictwem literatury swe tęsknoty i choćby w akcie lektury powracających do owych „pagórków leśnych, do tych łąk zielonych", które pozostawili za sobą wybierając „tułaczą dolę". Ale pisze autorka również o innym „zapotrzebowaniu społecznym", obudzonym czterdzieści lat później – zachowując charakterystyczny dla siebie dystans wobec własnego pisarstwa stwierdza: „Starania o wydanie krajowe realizują się dopiero obecnie dzięki pomocy Władz Miejskich Włocławka i Włocławskiego Towarzystwa Naukowego oraz grona osób uznających celowość wznowienia powieści opisującej Włocławek z lat dwudziestych jednostronnie ukazany przez Igora Newerlego w 'Pamiątce z Celulozy', Włocławek widziany oczyma wychowanki Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczego im. M. Konopnickiej i mieszkanki Zielonego Rynku; nasunie to może czytelnikom 'Domu' porównanie z dniem dzisiejszym".

Nie ulega wątpliwości, iż mamy tu do czynienia z interesującym zjawiskiem nałożenia się na siebie dwóch, zdawałoby się dość odmiennych, ról literatury. Ale czy rzeczywiście aż tak bardzo odmiennych? 'I'o, co dla czytelnika na wychodźstwie stanowiło „przeniesienie duszy utęsknionej" w przestrzeń utraconej ziemi ojczystej, dla czytelnika współczesnego okazuje się rekonstrukcją duszy tej ojczystej ziemi. W jakiś osobliwy sposób te dwie funkcje literatury z sobą współgrają i fakt, iż

Maria Danilewicz Zielińska: „Opowiadania. Wybór". Nakładem Włocławskiego Towarzystwa Naukowego, Włocławek 1997, s. 152; Maria Danilewicz Zielińska: „Dom". Powieść. Nakładem Włocławskiego Towarzystwa Naukowego, Włocławek 1997, s. 176.

ziomkowie autorki „uznali celowość wznowienia" jej utworów i włączenia jej opowieści z przeszłości w nurt życia kulturalnego lat dziewięćdziesiątych jest gestem znamiennym. Oznacza przede wszystkim wzmocnienie nurtu – może nie dominującego dzisiaj, lecz niezmiernie ważnego – odbudowy tożsamości poszczególnych prowincji kraju, nurtu widocznego przecież w szeregu publikacji, także młodoliterackich. Po drugie oznacza też – jak to widać w polemicznym spięciu z Newerlym – dążenie do odkłamania przeszłości, ukazania wielorakiego kształtu tradycji. Oznacza wreszcie dążenie do „legitymizacji" swego rodowodu przez ukazanie pocztu ludzi godnych, a z tą ziemią związanych nie tylko urodzeniem, lecz także swą pracą – tu znamienne wydaje się opatrzenie zbioru „Opowiadania" w obszerny aneks opracowany przez Krystynę Sarnowską a zatytułowany „Miejsca na ziemi (O Marii Danilewicz Zielińskiej)". Ten rodzaj powrotu emigrantów do swych gniazd – innym przykładem niech będzie 'I'adeusz Nowakowski – staje się zjawiskiem ważnym, znaczącym, zaświadczającym głębokość zachodzących w ostatnich latach w Polsce przemian.

Same „Opowiadania" gatunkowo tak łatwo sklasyfikować się nie dadzą. Trudno tu mówić o artystycznej kreacji, skoro wszystkie te narracje relacjonują w mniej lub bardziej bezpośredniej formie – poza może „Narzeczoną z ulicy Wareckiej" – życiowe doświadczenia autorki. Mamy do czynienia ze wspomnieniami raczej niż z literacką fikcją. Przy tym nie ulega wątpliwości, że ma Danilewicz Zielińska dar opowiadania bardzo specyficzny, sytuujący jej prozę na pograniczu przekazu ustnego: to właśnie stanowi o specyfice polskiej gawędy literackiej, której tradycja zdaje się być dla autorki istotnym, choć może nie do końca sobie w pełni uświadamianym punktem odniesienia (warto może przy okazji wspomnieć o tym, iż jest to cecha także jej korespondencji), choć takie stwierdzenie może być przecież krzywdzące dla krytyka literackiego wybornie analizującego utwory innych pisarzy, a takim krytykiem Maria Danilewiczowa przecież od czasu do czasu także bywa.

Układ utworów pozwala śledzić dzieje życiowe bohaterki od początków stulecia po rok 1989, w którym powstała „Włoska wyspa poety", wspomnienie o Kazimierzu Wierzyńskim.

Czytelnik rozpoczyna zatem swą przygodę w przygranicznej strefie dzielącej zabór rosyjski od pruskiego, podąża

przez obszar Dwudziestolecia, wojennego epizodu we Francji, emigracyjny Londyn aż po wakacje z Wierzyńskim na Lago Maggiore, by w końcu – a to ważne w kompozycji całości książki – wysłuchać we Włocławku jej głosu z taśmy magnetofonowej w trakcie poświęconego jej twórczości wieczoru literackiego i odczytać tekst listu, w którym w 1996 roku autorka dziękuje Polskiemu PEN Clubowi za przyznanie jej Nagrody Edytorskiej. Całość składa się w opowieść zajmującą, miejscami fascynującą – jak choćby w „Wieszczu Miodoboru", relacji o tropieniu śladów po autorze „Dum podolskich", Tymonie Zaborowskim.

I tu uwaga ogólniejsza, odnosząca się chyba do całości pisarstwa autorki „Blisko i daleko": jest to proza od samego początku „podszyta literaturą", ale „podszyta" w sposób bardzo szczególny, pochwycony zresztą przez męża bohaterki opowiadania o studiach nad Zaborowskim: „Nic już nie umiesz zaobserwować samodzielnie. Światło odbite... Kopia... Kopia kopii... Patrz lepiej na ludzi, wozy, na garnki, cebry, koszyki... Życie... Jak koń w zaprzęgu, spojrzeć już nie umiesz na boki... Kradniesz... Żywisz się na cudzym gruncie...". I przyznam, iż podaję ten cytat nie bez pewnej złośliwości. Rzecz bowiem wygląda tak oto:

Ta w gruncie rzeczy bardzo tradycyjna, gawędziarska narracja (trudno zresztą byłoby oczekiwać od tej właśnie autorki jakichś rewolucyjnych ewolucji w sztuce opowiadania, której to sztuki zadaniem jest przede wszystkim zrelacjonowanie jakiegoś wydarzenia czy ciągu wypadków w sposób przystępny dla założonego czytelnika składającego owo wspomniane na początku „zamówienie"), otóż taka właśnie narracja jakby mimochodem w cytowanym fragmencie „załatwia", przynajmniej częściowo, wszystkie tak dziś modne dyskusje na temat intertekstualności, tkwienia w „tekstowym świecie" i inne „nowinkarskie" problemy współczesności. Podobnych zresztą „literackich odbić" narracji znajdziemy w utworach Danilewicz Zielińskiej więcej. To jeden z tych wątków, który najsilniej przykuł moją czytelniczą uwagę.

Leszek SZARUGA

Sól ziemi

„...zgadzam się z jedną ze złotych myśli Keatsa, iż nierozważna ruchliwość jest lepsza od rozważnej nieruchawości" (list Andrzeja Bobkowskiego z dn. 11.07.49)

Omawiana tu książka* jest już trzecim z kolei zbiorem listów wymienianych pomiędzy Redaktorem *Kultury* i jego ważniejszymi współpracownikami (poprzednie: z Konstantym Jeleńskim i z Witoldem Gombrowiczem) i – jako rzecz do czytania a nie tylko „dokument" – jest niewątpliwie najciekawszą z nich. Zawdzięcza to dwum okolicznościom. *Primo:* atrakcyjności tematyki. Bobkowski wyjechał z żoną w 1948 r. z Francji do Gwatemali, gdzie dosłownie z niczego – jedynie dzięki pomysłowości, umiejętnościom manualnym i ogromnej pracy – w ciągu kilku lat stworzył nieźle prosperujące małe przedsiębiorstwo (wytwórnia modeli samolotów). Opisy jego sukcesów i trudności z tym związanych są fascynującą lekturą – czymś pomiędzy „Robinsonem Crusoe" Defoe, „Bankructwem małego Dżeka" Korczaka i „Tajemniczą wyspą" Julesa Verne'a; wymieniam te młodzieżowe książki umyślnie, bo oparte są na podobnym (i budującym, niezależnie od wieku czytelnika) motywie pochwały pracy i zaradności. *Secundo:* „Listy" są świetnym zwierciadłem niecodziennych osobowości obu korespondentów. Ponieważ o obecnych się nie mówi, a zresztą „Redaktor jaki jest każdy widzi", ograniczę się tu tylko do sylwetki Bobkowskiego. Najlepiej opiszą go i scharakteryzują wyjątki z jego własnych listów. *Ut sequntur*:

„...dla porządku życiorys. Urodzony 1913 – 27.10 – gimnazjum klasyczne w Krakowie, potem trzy lata W[yższej] S[zkoły] H[andlowej] warszawskie[j], ukończone[j] w 1936 r. (Matura w 1933). Praca w przemyśle, w 39 r. wyjazd *via* Paryż na placówkę eksportową do Buenos Aires. Nie dojechałem – wojna zaskoczyła mnie w Paryżu. Praca we francuskiej fabryce amunicji, *exod,* powrót do Paryża i dalej praca w tej fabryce jako opiekun społeczny robotników polskich-uchodźców [...]. Po uwolnieniu przez trzy miesiące kierownik księgarni polskiej w Paryżu, potem YMCA, potem z Wami [tzn. zespołem *Kultury]* aż do wyjazdu na to zesłanie".{list nr. 39 z dn. 24.10.50; str. 151n.};

„Widzi Pan, j a n i e c h c ę być płatny z funduszów, nie chcę posady. Muszę być wolny (jestem histerykiem na tym punkcie), muszę jeść za moje pieniądze, muszę kląć w żywy kamień egzystencję, ale może w gruncie rzeczy jestem przywiązany do niej. Myśli Pan, że pracując gdzieś tam [na posadzie], napiszę więcej? Może – [o] kilka więcej słabszych szkiców polityczno-filozoficznych, z kupą cytatów i żuciem gumy wyżutej przez innych". {nr. 46 z dn. 17.1.51; str.175};

„...modelem europejczyka jest ubezpieczony leń, sklepikowy filozof i nacjonalista. Ja powziąłem decyzję – do żadnej wolnej i niepodległej Polski nie wracam i nawet na urlop nie pojadę. Do sfederowanej, i to najchętniej z Niemcami – owszem. [...]. Dla mnie osobiście orzeł polski czy inne ptaszę jest mi już zupełnie obojętne. Wynarodowiłem się? Nie – po prostu doszedłem do wniosku, że myśleć kategoriami narodowymi w dzisiejszym świecie to przeżytek. Trzeba zacząć myśleć serio o zjednoczeniu świata – tymczasem w modzie jest coś wręcz przeciwnego". {nr 76 z dn. 23.10.53.}.

Już z tych paru wyjątków widać kto i jaki „zacz" to pisze. A więc – człowiek pragnący polegać (intelektualnie i materialnie) tylko na sobie; „gęba niewyparzona" do tego stopnia, że co soczystsze epitety i charakterystyki (polecam szczególnie uwagi na temat komunizujących „postępowych intelektualistów" francuskich i w ogóle Francji) nie nadają się do przedruku, ale w oryginale bawią, a nie szokują; styl jasny, myśl zwięzła, skłonność do uproszczeń lecz bez symplifikacji, „dusza szczera i otwarta" ale tylko dla zasługujących na to, bez łzawych kochajmy-się-rodacy. W sumie postać niezwykła, ciekawa i sympatyczna i widać wyraźnie, że Drugi Korespondent jest też pod jej urokiem: pomimo, że to jeden z najtrudniejszych okresów *Kultury,* jej Redaktor nie tylko pisuje za ocean nader często i – jak na siebie – niemal „wylewnie" (*toutes proportions gardées, quand même...*), pomaga finansowo i moralnie, „opukuje" możliwości dodatkowych zarobków dla tego zadziornego indywidualisty, posyła mu lotniczo książki i czasopisma, doradza, dyskutuje, no i oczy-

Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, „Listy 1946-1961". Wybrał, opracował i wstępem opatrzył Jan Zieliński. Archiwum KULTURY 4. „Czytelnik", Warszawa 1997, 731 str., ISBN 83-07-02491-9.

wiście stale zachęca do pisania. Krótką notę o Bobkowskim – rodzaj wstępu do tej korespondencji – Redaktor zakończył zdaniem: „Jego śmierć, obok śmierci Juliusza Mieroszewskiego, była dla mnie najcięższą stratą osobistą". Te słowa mają wagę.

Śmierć Andrzeja Bobkowskiego w wieku 47 lat (piorunujący przerzut raka do mózgu) była też ciężką stratą publiczną, bo przedwcześnie odszedł człowiek nie tylko niezwykle utalentowany pisarsko – o czym świadczy jego szczupła niestety spuścizna literacka („Szkice piórkiem" [1957], „Coco de oro" [1970] i omawiane tu „Listy" – lecz także i „obywatelsko". Wbrew bowiem przekornym deklaracjom o *splendid isolation* od spraw publicznych – w istocie był to protest przeciw gadaniu zamiast sprawnego działania – Bobkowski przez całe swe dorosłe życie był zaangażowany w różne akcje pomocy rodakom i nie-rodakom: w wojennej Francji dzielnie i skutecznie, choć nie „spektakularnie" pomagał setkom ludzi (trzymając się przy tym z dala od *Résistance,* którą uważał za niebezpieczną operetkę), w Gwatemali stał się nieoficjalnym konsulem polskim (znów: s k u t e c z n y m, ponieważ jego pracowitość i rzetelność zyskały mu uznanie wpływowych kręgów tego kraju), a wrodzona ciekawość intelektualna sprawiała, że uważnie śledził i komentował polskie wydarzenia polityczne, literackie i „egzystencjalne". Ten ostatni punkt świetnie ilustruje seria listów dotyczących Marka Hłaski, którego losem żywo się zainteresował, gdyż uznał go (początkowo..., bo potem był on już dlań tylko „Markiem Wódecjuszem") za pokrewną naturę: w charakterystyczny dla siebie sposób nie poprzestał na udzielaniu z daleka dobrych rad – rzeczywiście zresztą dobrych – ale także z miejsca zadeklarował czynny udział w całej imprezie, włącznie z zaproszeniem do Gwatemali. Konkretność i rzeczowość Bobkowskiego były swoistym wyzwaniem wobec tego co uważał za jedną z mniej miłych cech narodowych, czyli zamiłowania do pompatycznych deklaracji maskujących inercję i egoizm. Żartobliwy list gwiazdkowy do Redaktora – pisany pół roku przed śmiercią – zakończył następująco: „...proszę pamiętać, że tu, w dalekiej Gwatemali, myślami będzie z Panem zawsze oddany Panu człowiek wyznający tę prostą, pełną serca zasadę polską: 'Pamiętaj, że gdybyś czego potrzebował... to sobie kup'".

Dzisiaj Bobkowskiego określono by – przynajmniej w „sferach intelektualnych", których nie cierpiał, choć był wykształcony, oczytany i „obmyślany", że daj Boże każdemu – jako prawicowca, bo irytowała go hipokryzja, slogany i chamstwo. Tak jak Orwella, którego bardzo przypominał temperamentem i stylem duchowym i który umarł dokładnie w tym samym wieku. Bardzo radzę każdemu, kto odczuwa potrzebę od czasu do czasu – choćby na papierze – ludzi, których dawniej określano jako „sól ziemi", by sobie kupił tę książkę i zajrzał do niej. Zaręczam, że trudno się od tej lektury oderwać.

M. BROŃSKI

Lux et veritas

Ta łacińska dewiza Uniwersytetu Yale, z którym jestem związany od przeszło trzydziestu lat, nasunęła mi się przy lekturze ostatniego numeru *Przeglądu Wschodniego*. Poszukiwanie prawdy i wnoszenie nowych naświetleń jest bowiem charakterystyczną cechą tej publikacji. Jesteśmy z natury krytyczni i z wyjątkiem takich okazji jak różne jubileusze wykpione przez Boya, z przyjemnością wynajdujemy dziury w całym. Zwłaszcza mało efektowna na oko, a żmudna praca tylko rzadko jest doceniana i chwalona. Z tym większą więc przyjemnością odnotowuję takie osiągnięcie jakie wnosi ten periodyk.

Przegląd Wschodni: Historia i Współczesność Polaków na Wschodzie ukazuje się już od kilku lat i jak dotąd mamy cztery tomy (13 numerów). W skład Rady Programowej wchodzi kilkudziesięciu uczonych polskich, ukraińskich, litewskich, rosyjskich, białoruskich, a także francuskich, brytyjskich czy amerykańskich zajmujących się tą tematyką. Do komitetu redakcyjnego wchodzą: Jolanta Sikorska-Kulesza, Andrzej Chodkiewicz, Maria Kolomajska-Saeed, Inga Kotańska i Stefan Rakowski (współpracownicy).

Redaktorem i *spiritus movens* jest Jan Malicki. Jego oddanie sprawie, energia, jak też i talenty organizacyjne, budzą

podziw, że wspomnę tu tylko zainicjowaną przez niego w 1992 roku Wschodnią Szkołę Letnią przy Uniwersytecie Warszawskim. Szkoła ta gromadzi corocznie kilkudziesięciu słuchaczy pochodzących z Europy Środkowej i Wschodniej zajmujących się badaniami nad tym regionem. Jak dotąd odbyło się pięć sesji i jako jeden z wykładowców miałem okazję przyjrzeć się z bliska i docenić walory tego celowego i ważnego przedsięwzięcia. Ale powróćmy do numeru 13 *Przeglądu Wschodniego* poświęconego tematyce polsko-ukraińskiej – głównie Wołyniowi. Kontrast pomiędzy poziomem naukowym i rzetelnością warsztatu autorów, a rozmaitymi publikacjami z tej dziedziny, goniącymi za sensacją i w istocie jątrzącymi istniejące rany jest jak niebo i ziemia. Czytelnik polski jak i ukraiński ma tu możność zapoznania się z różnymi aspektami tej tematyki opracowywanymi *sine ire et studio*, ale za to z dużą znajomością przedmiotu.

Jerzy Kowalczyk pisze o rezydencjach późnobarokowych na Wołyniu; Halina Dergaczowa relacjonuje zapomnianą podróż Kazimierza Wojniakowskiego na Wołyń; artykuł Jana Kąsika dotyczy województwa wołyńskiego 1921-1939 w świetle liczb i faktów, a Mykola Kuczerepa pisze o polityce II Rzeczypospolitej wobec Ukraińców na Wołyniu w latach 1921-1939. W dziale Dokumenty i Materiały mamy wybór materiałów z Państwowego Archium Województwa Wołyńskiego (w opracowaniu M. Kuczerepy) odnośnie polityki RP na Wołyniu oraz wybór nieznanych źródeł naświetlających politykę wołyńską Henryka Józewskiego (przygotowany przez Piotra Staweckiego). Dział Miscellanea zawiera następujące pozycje: Władysław Filar, „Udział 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK w operacji kowelskiej"; Grzegorz Motyka, „Konflikt polsko-ukraiński na Wołyniu w świetle polskiej historiografii"; Włodzimierz Mędrzecki, „Polskie relacje pamiętnikarskie i wspomnieniowe do badania stosunków polsko-ukraińskich w okresie II wojny światowej" i wreszcie Jerzy Starnawski, „Sylwetki lwowskich historyków literatury: Bronisław Gubrynowicz". Książkę Janusza Kupczaka, „Polacy na Ukrainie w latach 1921-1939" recenzował Ryszard Torzecki. Tom zamyka Kronika, z której dowiadujemy się o lwowskiej konferencji naukowej w 50. rocznicę likwidacji Cerkwi greckokatolickiej na Ukrainie sowieckiej, o międzynarodowym sympozjum poświęconym sojuszowi Piłsudski-Petlura i o dwóch konferencjach dotyczących Polaków w Kazachstanie.

Tom 13 przynosi również komunikat o trzech nagrodach *Przeglądu Wschodniego*, które w 1996 r. otrzymali: Jewgenij Gorelik z Mińska za książkę Karpaty, Andrzej Pepłoński (laureat krajowy) za „Wywiad polski na ZSRR 1921-39" i Natalia Lebiediewa z Moskwy za pracę o Katyniu.

Spis rzeczy *Przeglądu Wschodniego* – co jest charakterystyczne dla tego periodyku – jest w językach polskim, litewskim, ukraińskim, białoruskim i rosyjskim. Krótkie streszczenia w języku angielskim umożliwiają zachodniemu czytelnikowi zapoznanie się z problematyką tomu.

Ponieważ tom 13 zamyka pierwszą fazę wydawnictwa, które będzie się odtąd ukazywało bez wyżej wymienionego podtytułu, jest to jeszcze dodatkowy powód aby teraz właśnie odnotować tę ważną inicjatywę na polu zbliżenia narodów naszego regionu. Zbliżenie, oparte na obopólnym zrozumieniu i chęci współpracy jest konieczne, co nie znaczy, że jest łatwe. Droga do niego musi być torowana powoli, przezwyciężając istniejące antagonizmy i negatywne stereotypy. Trzeba tu dużo dobrej woli i uciążliwej pracy. Rola jaką *Przegląd Wschodni* i jego inicjator odgrywają torując ścieżki do lepszej przyszłości zasługuje na publiczne uznanie.

Piotr WANDYCZ

Nadesłane nowości wydawnicze

DRONICZ (Stanisław). *Od Lenino do Drawska. Wojsko niecenzurowane.* Str. 206. Agencja Wydawnicza „Cinderella Books", Warszawa 1997.

FREDRO (Aleksander). *Zemsta.* Wstęp i oprac. D. Ratajczakowa. Str. 188. Seria: Biblioteka Polska. Wyd. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 1997.

INGLOT (Mieczysław). *Polska kultura literacka Lwowa lat 1939-1941. Ze Lwowa i o Lwowie.* Lata sowieckiej okupacji w poezji polskiej. Antologia utworów poetyckich w wyborze. Str. 414. Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1995.

WASYŁENKO (Wołodymir). *Ukraińskim tropem polskich pisarzy XIX i XX* w. Str. 151. Wydawnictwo Fundacji Literackiej, Poznań 1996.

GRABOWSKI (Krzysztof) /GRABAŻ/. *Welwetowe swetry.* Str. 80. Wyd. Lampa i Iskra Boża &

Pasażer, Warszawa-Dębica 1997.

MUSZKOWSKI (Krzysztof). *Notatki londyńskie (1993-1997)*. Str. 203. Wyd. Biblioteka Uniwersytecka, Toruń 1997.

KLEJNOCKI (Jarosław), SOSNOWSKI (Jerzy). *Chwilowe zawieszenie broni*. O twórczości tzw. pokolenia *bruLionu* (1986-1996). Str. 190. Wyd. SIC!, Warszawa 1996.

Macie swoich poetów. Liryka polska urodzona po 1960 r. – wypisy. Wybór i oprac. P. Dunin-Wąsowicz, J. Klejnocki, K. Varga. Str. 240. Wyd. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1997.

GROCHOWIAK (Stanisław). *Prozy*. Str. 473. Wyd. ATENA, Warszawa 1996.

SZARUGA (Leszek). *Dochodzenie do siebie*. Wybrane wątki literatury po roku 1989. Str. 222. Wyd. Fundacja „Pogranicze", Sejny 1997.

NICZYPOROWICZ (Janusz). *Kraina proroków*. Str. 187. Wyd. Orthdruk, Białystok 1997.

POSPIESZALSKI (Antoni). *O religii bez namaszczenia*. Str. 245. Zakład Wydawniczy NOMOS, Kraków 1997.

Les écrivains de la conscience européenne. Str. 393. Légendes: Cahiers hors série 1997, Herblay 1997.

WALCZAK (Tadeusz). *Życie nie tylko własne*. Str. 285. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1996.

GOMBROWICZ (Witold). *Dziennik 1953-1956* (t. 1), *Dziennik 1957-1961* (t. 2), *Dziennik 1961-1969* (t. 3). Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997.

Lithuanian Historical Studies, nr 1. Str. 175. Wyd. Lithuanian Institute of History, Vilnius 1996.

MOTIEKA (Egidijus). *Didysis Vilniaus seimas*. LIETUVIU ATGIMIMO ISTORIJOS STUDIJOS nr 11. Str. 364. Vilnius 1996.

Mykolas Römeris. LIETUVIU. ATGIMIMO ISTORIJOS STUDIJOS nr 13. Str. 313. Vilnius 1996.

Laiškai Teodorui Narbutui. Epistolinis dialogas. Oprac. Reda Griškaite. Str. 659. Wyd. Mokslo ir Enciklopediju. Leidykla, 1996.

KORZENIEWSKA-BERCZYŃSKA (Joanna). *Innowacje w językowym obrazie świata Rosjan* (na podstawie publicystyki współczesnej). Studia i materiały WSP w Olsztynie nr 94. Str. 206. Wyd. Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Olsztyn 1996.

COMMUNIST ECONOMIES & ECONOMIC TRANSFORMATION. Vol. 9, no 2, June 1997. Str. 255.

VINCENZ (Stanisław). *Eseje i szkice zebrane*. T. I. Wybór i wstęp A. Vincenz. Str. 328. Wyd. Wirydarz, Wrocław 1997.

KARPIŃSKI (Wojciech). *Amerykańskie cienie*. Str. 265. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1997.

SUCHCITZ (Andrzej). *Informator Studium Polski Podziemnej 1947-1997*. Str. 213. Wyd. Studium Polski Podziemnej, Londyn 1997.

KURDWANOWSKI (Jan). *Jak wybrałem wolność na Zachodzie i inne wspomnienia*. Str. 182. Wyd. Polikart, Warszawa 1995.

BROCH (Hermann). *Lunatycy*. Str. 861. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1997.

BUJAK (Adam), ROŻEK (Michał). *Wojtyła*. Str. 235. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1997.

KULAK (Teresa). *Wrocław*. Przewodnik historyczny. Str. 338. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1997.

ROŻEK (Michał). *Kraków*. Przewodnik historyczny. Str. 290. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1997.

POMIANOWSKI (Jerzy). *Ruski miesiąc z hakiem*. Str. 271. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1997.

POŹNIAK (Telesfor). *Antologia poezji białoruskiej od XIX do początku XX wieku*. Str. 198. Wyd. Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1993.

POŹNIAK (Telesfor). *Antologia poezji białoruskiej XX wieku*. Str. 218. Wyd. Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1997.

MISIUDA (Witold). *Regionalizm i mniejszości językowe we Włoszech*. Str. 126. Wyd. UMCS, Lublin 1997.

Herling-Grudziński i krytycy. Antologia tekstów. Oprac. Z. Kudelski. Str. 448. Wyd UMCS, Lublin 1997.

HERTZ (Paweł). *Gra tego świata*. Str. 421. Wyd. Biblioteka *Więzi*, Warszawa 1997.

FRISZKE (Andrzej). *Oaza na Kopernika*. Klub Inteligencji Katolickiej 1956-1989. Str. 318. Wyd. Biblioteka *Więzi*, Warszawa 1997.

OSIATYŃSKI (Wiktor). *Twoja konstytucja*. Str. 174. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1997.

POLISZCZUK (Wiktor). *Ideologia nacjonalizmu ukraińskiego*. Str. 218. Nakładem autora, Toronto-Warszawa 1996.

MINOIS (Georges). *Kościół i nauka*. Dzieje pewnego nieporozumienia. Od Galileusza do Jana Pawła II. Przekł. A. Szymanowski. Str. 450. Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1996.

IŁŁAKOWICZÓWNA (Kazimiera). *Wspomnienia i reportaże*. Str. 248. Wyd. Biblioteka *Więzi*, Warszawa 1997.

PINCZEWSKA-GLIKSMAN (Łucja). *Na aryjskich papierach*. Str. 24. Jerozolima-Lublin 1996.

UŁAN (Witold). *Uncrowned Eagels*. Str. 327. Devolica Publ. 1995.

REY (Lucienne), GAILLAGUET (Gérard). *Témoins*. Quarante-quatre poetes polonais contemporaines 1975-1990. Str. 216. Ed. Les Ateliers du Tayrac 1997.

GŁUCHOWSKI (Krzysztof). *W polskim Londynie 1947-1970*. Str. 318. Oficyna Komputerowa K. Głuchowskiego, Rio de Janeiro 1997.

1996. Fotografie Gazety Wyborczej. Str. 143. Wyd. Agora-Gazeta, Warszawa 1997.

SKUBALANKA (Teresa). *Mickiewicz, Słowacki, Norwid. Studia nad językiem i stylem*. Str. 244. Wyd. Uniwersytetu M. Curie-Skłodowskiej, Lublin 1997.

GOMBROWICZ (Witold). *Bakakaj*. Str. 205. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997.

STOLARCZYK (Stanisław). *Papież, jakiego nie znamy*. Str. 216. Oficyna Wydawniczo-Poligraficzna „Adam", Warszawa 1997.

SOKOPP (Edward Mariusz). *Pisane na kolanie*. Pamiętnik bez patosu. Str. 353. Wyd. ANTYK, Warszawa 1997.

Pierwsze spotkanie. Zeszyt literacki nr 1. Str. 108. Nowy Sącz 1997.

MIŁOSZ (Czesław). *Życie na wyspach*. Str. 309. Wyd. ZNAK, Kraków 1997.

SZARUGA (Leszek). *Zapis*. Zarys monograficzny. Bibliografia zawartości. Str. 67. Wyd. Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 1996.

GOMBROWICZ (Witold). *Publicystyka, wywiady, teksty różne 1963-1969*. Str. 551. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

24.12.97
W Nowogródku odbyła się prezentacja książki „Adam Mickiewicz a Białoruś". Książka ta powstała przy współpracy Centrum Skaryny oraz Instytutu Polskiego w Mińsku. Jest ona bibliografią publikacji w języku polskim i białoruskim artykułów, które ukazały się na Białorusi.

1.1.98
Katedra filologii polskiej oraz katedra literatury litewskiej Uniwersytetu Wileńskiego przygotowują międzynarodową konferencję naukową „Twórczość Adama Mickiewicza: teksty i konteksty", która ma się odbyć w połowie września 1998 r.

14.1.98
Zmarł w Warszawie w wieku 48 lat Grzegorz Nawrocki, dziennikarz, wydawca, fotograf i dramaturg. ■ *Zeszyty Literackie* redagowane przez Barbarę Toruńczyk obchodziły 15-tą rocznicę swego powstania. *Zeszyty Literackie* założone w Paryżu, od 5 lat są wydawane w Warszawie.

22.1.98
Zmarł w Śląskiej Ostrawie Wiesław Adam Berger, znany działacz i publicysta.

26.1.98
Mija setna rocznica urodzin Katarzyny Kobro, wybitnej rzeźbiarki i autorki tekstów o sztuce. Z tej okazji Muzeum Sztuki w Łodzi 21-go października br. otworzy wystawę jej prac.

29.1.98
Ukazał się pierwszy numer ogólnopolskiego dziennika katolickiego *Nasz Dziennik*. Jest to pismo związane ze środowiskiem Radia Maryja. Redaktorem naczelnym jest Artur Górski.

26.2.98
W Katolickim Uniwersytecie Lubelskim odbyła się uroczystość wręczenia Księgi Jubileuszowej prof. Jerzemu Kłoczowskiemu. Laudację wygłosili prof. Henryk Samsonowicz oraz senator Władysław Bartoszewski. ■ Na Uniwersytecie Białostockim zainaugurowała swoją działalność katedra kultury białoruskiej. Otwarto cykl „Czwartki białoruskie". Konwersatorium interdyscyplinarne poświęcono dyskusji na temat „Oblicza kultury białoruskiej". W dyskusji wzięli udział: Sokrat Janowicz, prof. Włodzimierz Pawluczuk, prof. Andrzej Sadowski, prof. Elżbieta Smułkowa oraz prof. Roch Sulima.

ZACHÓD

5.1.98
Zmarł w Paryżu w wieku 74 lat wybitny dziennikarz i historyk Branko Lazitch, ostatni redaktor periodyku *Est et Ouest*, który został zamknięty po rozpadnięciu się Związku Sowieckiego. Lazitch zaproponował wtedy, by na drzwiach redakcji wywiesić napis: „Zamknięte z powodu zwycięstwa".

10.1.98
W Galerie Municipale w Gennevilliers Edouard Manet miał miejsce wernisaż prac Marka Szczęsnego pt. „Espace traversépeinture". Wystawa trwała do 14 lutego br. ■ Witold Sulimirski został wybrany na prezesa Fundacji Kościuszkowskiej. Jego poprzednik, Michał Sendzimir, ze względu na swoje zasługi został wybrany na prezesa honorowego.

16.1.98
Staraniem Stowarzyszenia Polskiego w Genewie w salonach Stałej Misji Polskiej przy Narodach Zjednoczonych odbył się odczyt p. Andrew Reichera, dyrektora Credit Suisse na temat *Les Experiances d'un investisseur en Pologne.*

22.1.98
Krzysztof Pomian został oficerem Ordre des Arts et des Lettres. Odznaczenie wręczyła mu p. Maryvonne de Saint-Pulgent, maître des requête au Conseil d'Etat.

29.1.98
W Centre du Dialogue w Paryżu ambasador RP Stefan Meller wygłosił odczyt pt.: „Zmieniający się stereotyp Polaka we Francji na przełomie XIX i XX wieku".

30.1.98
Towarzystwo Polsko-Ukraińskie w Paryżu zorganizowało odczyt redaktora Tarasa Marusyka, głównego doradcy Komisji d/s Kulturalnych parlamentu ukraińskiego w Kijowie i korespondenta Radio Liberty, pt. „Orientacje polityki zagranicznej Ukrainy".

10.2.98
W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego miał miejsce odczyt (po francusku) prof. Macieja Serwańskiego z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu na temat „Polska na scenie europejskiej (XVI–XVII w.)". ■ Papież Jan Paweł II mianował swojego osobistego sekretarza, ks. prałata Stanisława Dziwisza, biskupem oraz szefem Prefektury Domu Papieskiego.

11.2.98
Na Uniwersytecie Paris IV Sorbonne miał miejsce odczyt prof. Macieja Serwańskiego na temat „Les fêtes nationales et la mémoire collective en Pologne au XXe siècle".

20.2.98
W Stowarzyszeniu Polskim w Genewie odbył się odczyt dr. Janusza Pluty z Krakowa pod tytułem „Zmierzch formacji solidarnościowej". ■ Konkurs literacki: Konsulat RP w Chicago wraz z polską księgarnią Golden Bookstore zaprasza do wzięcia udziału w konkursie literackim pt. „Znaczenie poezji Adama Mickiewicza dla Polaków poza krajem" Prace nigdzie wcześniej nie publikowane. Wiersze (3) lub eseje od 4-6 stron maszynopisu proszę nadsyłać na adres księgarni Golden Bookstore 5351. W. Belmont Ave., Chicago Il. 60647, tel. (773) 286-8621 do 30 czerwca 1998 roku, z dopiskiem na kopercie „Konkurs literacki". Wszystkie nagrodzone prace będą publikowane na łamach *Kuriera Codziennego*. Natomiast jesienią 1998 r. w siedzibie księgarni odbędzie się uroczyste wręczenie dyplomów wszystkim laureatom oraz prezentacja ich prac z udziałem aktorów. Przewodniczącą jury jest p. konsul Krystyna Wołkońska.

Wolna trybuna

„Kultura" coraz potrzebniejsza

Może wydać to się paradoksalne ale doszedłem do wniosku, że *Kultura* stanie się coraz potrzebniejsza. Wynika to z pewnej nadrzędnej pozycji, jaką wyrobił sobie w kraju Redaktor Jerzy Giedroyc, który nie utożsamia się z żadnym obozem podziałów w kraju i po prostu nie uchyla się od rozmów dotyczących państwa i społeczeństwa polskiego. Wiele innych dawnych autorytetów emigracyjnych znalazło sobie w kraju mateczniki i choć mieszkają nadal za granicą, są zaangażowani w podziały polityczne w kraju. Giedroyc znalazł się ponad tymi podziałami i bije się tylko o spoistość państwa polskiego, o jego dobre związki z sąsiadami, zwłaszcza wschodnimi, co jest bardzo ważne w kontekście zbliżania się naszego związku z NATO i chęcią wejścia do Unii Europejskiej. Tymczasem w kraju powstał *consensus* w sprawie naszego wejścia do wspólnot euroatlantyckich, natomiast za mało dba się o politykę wobec Rosji, Ukrainy, Litwy i pozostałych państw bałtyckich. Sprawy te w naszych elitach w zasadzie są bezsporne, lecz w praktyce zaniedbane. Zaniedbane dlatego, że elity polskie są mocno zajęte walką o przeszłość, o historię PRL-u. Jedni broniąc się próbują wydobywać z dziejów PRL-u epizody godne pochwały, jak październik 1956 roku, czy zawarcie układu polsko-niemieckiego 7 grudnia 1970 roku. Oczywiście w minionym PRL-u było jeszcze kilka wydarzeń o znaczeniu nie mniejszym niż dwa wspomniane, jak na przykład likwidacja analfabetyzmu, masowe przesiedlenie ludności polskiej ze wschodu na zachód i ze wsi do miasta w ramach pospiesznej, nie zawsze racjonalnej industrializacji. Ludzie, którzy otarli się o jakiś współudział polityczny z PRL-em mają więc na swoją obronę pewne po-

ważne argumenty. Powiedziałem kiedyś na pewnym spotkaniu, że ludzie zaangażowani w okresie „wczesnego Gomułki" nie muszą wstydzić się swoich życiorysów. Lewicowa *Trybuna* rozszerzyła tę wypowiedź na cały okres rządów Gomułki, nie uzgadniając tekstu ze mną. W ten sposób straciłem paru przyjaciół, gorąco zwalczających PRL.

Nie da się ukryć, że głównym nurtem życia umysłowego w III Rzeczypospolitej jest spór o przeszłość, o zasługi położone w poprzednim okresie i o wynikający z nich tytuł do pełnienia władzy politycznej lub innych zaszczytów. Polemizowałem parę miesięcy temu z Jerzym Turowiczem, który twierdził, że SLD miał wyborczy tytuł do udziału we władzy politycznej ale nie miał tytułu moralnego. Z tego też powodu ja nie mam tytułu moralnego do pisywania w *Tygodniku Powszechnym* i w sprzymierzonej z nim *Gazecie Wyborczej*, choć ta ostatnia jest ostrożniejsza w ocenie przeszłości.

W Polsce powstała specyficzna geografia polityczna tytułów prasowych, w której nie każdy potrafi się zmieścić. No bo z jednej strony są pisma związane z SLD, w których na przykład katolikowi jest dość trudno znaleźć swoje miejsce na stałe. Z drugiej strony są pisma obozu liberalnego, do których należy *Gazeta,* największy dziennik w Polsce i *Tygodnik Powszechny,* najbardziej prestiżowe pismo katolickie, tak jednak zaangażowane w spór o przeszłość, że nie wszyscy katolicy się tam mieszczą. Są wreszcie tygodniki ilustrowane, takie jak *Polityka,* która z lewicowej stała się liberalną i lewicowców nie lubi, lub *Wprost* – pismo niegdyś ciekawe ale teraz uwikłane w różne gry, które nie dla wszystkich są zrozumiałe. No i jest jeszcze tzw. prasa solidarnościowa, która nie ma większego prestiżu. Z tych wszystkich powodów zainicjowany przez K.T. Toeplitza, przy wsparciu b. ministra Kazimierza Dejmka tygodnik *Wiadomości Kulturalne* stał się przybytkiem dla wielu ludzi piszących, nie mających swego matecznika. I ja tam zacząłem dość systematycznie pisać, bo Toeplitz okazał się liberałem, który puszczał mi także teksty katolickie, a więc był bardziej pluralistyczny niż moi katoliccy przyjaciele. Toeplitz nakierował swoje pismo na ludzi i sprawy kultury, więc właściwie nikomu nie powinien wadzić, ale z powodów dla mnie niezrozumiałych wywołał furię oburzenia nie tylko prawicy, lecz także liberałów, dbających o swój monopol. No i trzeba się liczyć z upadkiem *Wia-*

domości Kulturalnych, bo pismo nastawione głównie na kulturę i sztukę ma zawsze ograniczony odbiór. O polityce w *Wiadomościach* pisywał głównie Aleksander Małachowski, czasem Toeplitz i niżej podpisany. Jeśli my trzej reprezentujemy komunę, to raczej takiej komuny nikt się nie musiał obawiać. Po prostu *establishment* prasowy nie lubi mieć nowej konkurencji, bo lubi sytuację, która powstała u progu III Rzeczypospolitej. Tymczasem Toeplitz i jego przyjaciele chcieli mówić własnym głosem i nie mieli zaplecza politycznego, które postarałoby się o pieniądze, które zdobyły sobie wcześniej wydawane organy prasowe. Wiadomo zresztą skąd.

Jeśli wszystko to tak dalej się potoczy, to rzeczywiście *Kultura* paryska Jerzego Giedroycia może stać się równie potrzebna, jak była za czasów PRL-u. W Polsce dwukrotnie już – w wyniku wyborów demokratycznych w 1993 i w 1997 roku – wyłoniono parlament i w ogóle nie powstała najmniejsza pokusa, by ktoś chciał podważyć prawa demokracji. Władza przechodziła z rąk do rąk bez żadnych wstrząsów, choć ostatnim razem z niebywałymi wymyślaniami wobec odchodzącej koalicji. Po prostu zmieszano ją z błotem, a następnie wszczęto trwającą nieustannie walkę o przeszłość i zasługi, jako moralny tytuł do pełnienia władzy. Społeczeństwo jest tą walką podekscytowane i odreagowuje ją na szczeblu lokalnym w awanturach między policją i młodzieżą. Zły przykład idzie z góry na dół. Jeśli duża część środków masowego przekazu mówi i pisze, że jedni są podli, a inni wspaniali, to także młodzież szuka swojej roli w tej walce, której sensu do końca nie jest w stanie pojąć, bo nie żyła i nie myślała samodzielnie w okresie PRL-u. Napięcia na dole są więc z tego powodu najczęściej irracjonalne, bo w kraju panuje duch walki.

Kościół katolicki jest instytucją, która ze swej istoty mogłaby i powinna wystąpić przeciw duchowi walki w kraju i Episkopat do tego dąży, ale niższe duchowieństwo i niektóre świeckie osoby związane z Kościołem zdają się uważać walkę z przeszłością, której już nie ma, za swe główne powołanie chrześcijańskie. Tak to w kraju ciemne emocje górują nad racjonalnym i spokojnym myśleniem, choć obiektywnie patrząc Polska ma szanse rozwojowe i międzynarodowe, jakich nie miała od co najmniej czterech stuleci. I tu właśnie widzę wielką rolę dla *Kultury* i Redaktora Giedroycia, który

jako czynnik niezależny i nie związany z żadnym obozem w kraju mógłby zacząć poważniej wpływać na nazbyt emocjonalne nastroje w kraju. *Kultury* nikt nie posądzi o sprzyjanie postkomunistom i obronę PRL-u, bo całe jej istnienie związane było walką z tamtym systemem i jego zniewolonym państwem. Wydaje mi się natomiast, że potrzebna jest jakaś perswazja w stosunku do polskich elit politycznych, by zaczęły więcej myśleć o przyszłości niż o przeszłości. Z przeszłością należy rozliczyć się nie stałymi wymyśleniami, lecz przede wszystkim w oparciu o prawo. Kto w tamtym okresie łamał prawo karne z motywów politycznych, powinien być pociągany do odpowiedzialności sądowej. Kto zachowywał się nagannie z punktu widzenia moralnego, należy mu to także przypomnieć i skłonić do publicznego rozliczenia. Natomiast monotonna krytyka państwa, które musiało powstać po konferencji, najpierw w Teheranie w końcu 1943 roku, a potem w Jałcie z początkiem 1945 roku i wreszcie w Poczdamie w połowie 1945 roku, nie ma wielkiego sensu. Alianci zachodni przez ostatnie dwa lata wojny poważnie liczyli się ze Związkiem Sowieckim, bo bez niego trudniej byłoby im wygrać wojnę i ponieśliby dużo większe straty. Poza tym obawiali się także, by opuszczony przez nich ZSSR nie poszukał porozumienia z Hitlerem, co już raz stało się w 1939 roku w postaci porozumienia Ribbentrop-Mołotow. Amerykański generał Patton zajął w 1945 roku Pragę czeską i zaraz po tym dostał rozkaz z Waszyngtonu, by jego kolumny czołgów zawróciły i cofnęły się do wcześniej uzgodnionej przez mocarstwa linii podziału Europy. Armie zachodnie i armia sowiecka miały spotkać się w Niemczech na rzece Łabie i jej nie przekraczać, co też się stało. W Poczdamie wywalczono, przy pomocy Stalina, zachodnią granicę Polski na linii Odra-Nysa Łużycka. Było to dla Polski korzystne, ale za to musieliśmy zgodzić się na wschodzie na linię lorda Curzona. W końcu i to okazało się dla nas korzystne, bo pozwoliło kosztem Wilna i Lwowa na uregulowanie stosunków z Litwą i Ukrainą. PRL był państwem zależnym, niesuwerennym i totalitarnym, ewoluując z czasem w kierunku zwykłej dyktatury, choć tendencje totalitarne miały w historii tego państwa swoje powroty. Ale PRL był wynikiem rezultatów II wojny światowej w Europie i walka z marami przeszłości nie ma zbyt wielkiego sensu. Sens

ma walka z konkretnymi przestępcami i potrzebna jest gruntowna analiza historyczna naszych dziejów po II wojnie światowej. Ale powinna ona być pisana chłodno, nie tyle w postaci jednego wielkiego aktu oskarżenia, do czego mają skłonność historycy współcześnie w kraju, lecz w postaci ściśle naukowej analizy faktów i ich przyczyn międzynarodowych.

Prace historyczne są nam bardzo potrzebne, lecz nie mogą być pisane ani z pozycji obrońców PRL-u, lecz także nie z pozycji obserwacyjnych dawnej opozycji. Jeśli PRL należy, Bogu dzięki, do przeszłości, to jej analiza musi podlegać wszystkim rygorom obiektywizmu historycznego, a więc nie może polegać na poniżaniu jednych, by wysoko wynieść innych. Takie intencje są już bardziej polityką niż historiografią.

Nie lekceważąc prac historycznych i zainteresowania złą przeszłością należy baczyć, by wyobraźnia polityczna społeczeństwa nie była oderwana od wizji przyszłości. Weźmy kilka przykładów. Wchodzimy w okres reformy administracji, zmniejszenia liczby województw i przywrócenia samorządowych powiatów. Jak dotąd ani nie uzgodniono, jakie racjonalne względy przyświecają tworzeniu województw lub likwidowaniu ich w pewnych rejonach kraju, co ludność odczuwa jako krzywdę. Nie ma wśród polityków polskich zgody ile ma być tych województw i ile powstanie samorządowych powiatów. A jeśli będą one samorządowe, co pochwalam, to w jaki sposób mają one realizować zadania ogólnonarodowe. Gierek w 1974 r. zlikwidował duże województwa, bo bał się coraz silniejszych kacyków w terenie, których część orientowała się na Moczara. My zaś wchodzimy w reformę administracji terenowej na podstawie tzw. zasady pomocniczości, a więc po to, by wyższe szczeble administracji nie przejmowały funkcji, które mogą być spełniane przez niższe, bliższe obywatelom wspólnoty samorządowe. Idea jest piękna. Nikt jednak nie wyjaśnił dokładnie opinii publicznej na czym będzie polegał rzeczywisty podział kompetencji i ile to wszystko będzie kosztowało. Nikt nie wyjaśnił społeczeństwu, czy stać nas na tak wielką reformę w sytuacji, w której około 40 procent społeczeństwa żyje poniżej minimum socjalnego. Obawiam się, że politycy kierują się pięknymi przyrzeczeniami, lecz dokładnie nie wiedzą, co to wszystko da społeczeństwu. Politycy i specjaliści powinni

obliczyć i przedstawić opinii publicznej dokładny rachunek strat i zysków tak finansowych, jak i rzeczowych, wpływających na status obywatela i na poziom jego życia. Nie jestem przeciwnikiem reformy, lecz uważam, że jej podjęcie powinno być dobrze skalkulowane i przedstawione społeczeństwu, bo może się ono odbić korzystnie lub niekorzystnie na poziomie życia Polaków. Dla prawie połowy społeczeństwa jest on niski, a nasze zapóźnienie rozwojowe jest widoczne gołym okiem. Wpuszczono do Polski kilkanaście koncernów samochodowych, ale nasze drogi i mosty są w stanie fatalnym, autostrady znajdują się ciągle w sferze planowania. Wielkie miasta w godzinach szczytu są nieprzejezdne, a obwodnic wokół miast jest bardzo mało. A tymczasem właśnie od naprawy dróg i budowy autostrad należałoby zacząć rozwój motoryzacji w Polsce. Niestety, w tym zakresie decyzje były podejmowane bez szczegółowego zapoznania z nimi społeczeństwa, no i mamy miasta zakorkowane, a spaliny ze stojących i wolno posuwających się pojazdów zatruwają powietrze. Nigdy w Polsce nie ginęło na szosach i ulicach tylu ludzi, co obecnie. W niektórych tygodniach, np. świątecznych, ginie po kilkadziesiąt osób , nie mówiąc już o rannych. Politycy lekkomyślnie decydują, a społeczeństwo ponosi konsekwencje. Na przykładzie sprawy motoryzacji Polski można sobie wyrobić pogląd, że także pochopne decyzje, dotyczące podziału administracyjnego kraju, powinny być poważnie przemyślane.

Niski poziom cywilizacyjny i techniczny kraju odbija się także na świadomości społeczeństwa. Teoretycznie wszyscy akceptują wejście Polski do NATO i Unii Europejskiej, lecz jednocześnie pojawiają się w kraju przejawy skrajnego nacjonalizmu. Hierarchia kościelna jest tym także zaniepokojona, bo niektórzy duchowni, jak o. Rydzyk i ks. Jankowski zyskali tylu zwolenników, że i biskupi mają ograniczone możliwości wpływania na dalsze losy tych księży. Jest rzeczą zdumiewającą, że ci sami ludzie, którzy marzą o wszystkich dobrodziejstwach cywilizacyjnych wspólnoty europejskiej żywią obawy, że wejście do niej odbierze nam tożsamość narodową. Jest to wielką bzdurą. Nie tylko Niemcy, Francuzi, Anglicy, Włosi, Hiszpanie, ale także małe kraje europejskie nie straciły w UE swojej tożsamości narodowej. Problem polega w ogóle na czymś innym. Chodzi o to, że w społeczeństwach wolnych

i demokratycznych nikt nie ma rządu dusz, a obok wielkiego dorobku kulturalnego występują także przejawy nihilizmu i braku jakiegokolwiek systemu wartości. Polska jest w tej samej sytuacji. Z jednej strony szczycimy się naszym humanizmem, racjonalizmem, a z drugiej strony tradycjami chrześcijańsko-narodowymi, a jednocześnie przeżywamy objawy zdziczenia dość szerokich marginesów społecznych. Nigdy nie było w Polsce tylu morderstw, pobić, gwałtów, napadów i kradzieży, co obecnie. Wynika to bynajmniej nie z zatracenia polskich tradycji i naszej tożsamości narodowej, lecz z szybkości przemian cywilizacyjnych i politycznych, z gwałtownej zmiany ustroju, w którym wszyscy żyli w mniejszym lub większym strachu, na ustrój, w którym nikogo się nie boimy, a władze strzegące porządku publicznego praktycznie uczą się dopiero swojego rzemiosła. A mimo to mają dość duże sukcesy w walce z zorganizowaną przestępczością, natomiast trudniej im idzie opanowanie fali małych rzezimieszków, gwałcicieli i złodziei. Poza tym przez Polskę przechodzą drogi gangów międzynarodowych, które są pod baczną obserwacją policji, mającej coraz mniej czasu i ludzi do obrony na ulicy, czy w mieszkaniu pojedynczego obywatela.

Polska jest więc nie tylko krajem, który uwolnił się od totalizmu i idzie w stronę pełnej demokracji i państwa prawa, o czym lubią mówić zasłużeni walką z komuną intelektualiści. Polska jest także krajem, który z wielkiego zapóźnienia cywilizacyjnego idzie ku poważnemu rozwojowi. Takim przemianom nieuchronnie towarzyszą przejawy upadku moralnego i zwykłej łobuzerii, czym intelektualiści martwią się jakoś mniej. W tej sytuacji kneblowanie wolności słowa, lub ograniczanie jej do politycznych interesów elit jest naganne, bo tylko wszechstronny rozwój kultury i prawdziwy pluralizm mediów może prowadzić do pełnego, a nie tylko politycznego, kształtowania postaw społecznych. W tym wielkim procesie jest znowu wolne miejsce dla *Kultury* paryskiej, na kontakty z którą wielu ludzi się snobizuje, lecz powinni raczej szukać w niej argumentów cywilizujących życie publiczne i społeczne w Polsce.

Andrzej MICEWSKI

Polemiki

Inność rzeczywista czy imaginacyjna

W czasie lektury interesującego dwugłosu polemicznego o inności Rosji (Jerzy Boniecki, Mariusz Wilk – *Kultura* nr 11/97) impuls researchera kazał mi sięgnąć na półkę i przypomnieć sobie artykuł Elisabeth Hedborg, opublikowany w wiodącym szwedzkim piśmie intelektualnym *Moderna Tider*, nr 84. Ten niewielki tekst poświęcony jest „komórkowemu świętu Moskwy" – wyjaśniam, że nie chodzi akurat o powierzchnię i standard rosyjskich mieszkań, ale o telefony mobilne, po polsku zwane „komórkowymi". Artykuł jest o tyle charakterystyczny, że pisała go jeżdżąca po Rosji szwedzka dziennikarka i dokumentalistka filmowa, a więc zawiera uwagi, jakich raczej nie sformułowałby polski publicysta.

Elisabeth Hedborg rozpoczyna od opisu hotelowego westybulu, gdzie w milczeniu stoją rośli ochroniarze, każdy z nich z „komórą" w garści. Po schodach zstępuje na powitanie swych wspólników w interesach piękna, długonoga Rosjanka w czarnej sukni, a jej jedynym akcesorium jest telefon komórkowy. Otóż niejeden polski publicysta widziałby w tej scenie dowód cywilizowania się rosyjskiego społeczeństwa; szwedzka dziennikarka widzi w niej symbol jego sowietyzacji.

Elisabeth Hedborg przypomina, że w czasach sowieckich o przynależności do elity decydowało posiadanie „wietruszki", a rangę nomenklaturszczyka wyznaczała ilość telefonicznych aparatów w jego gabinecie. Sowiecki plebs kontentować się musiał rzadko działającymi, ulicznymi automatami – tą

trzeszczącą i rzężącą „parodią publicznej komunikacji". Dziś rolę dawnej konsolety z telefonicznymi aparatami pełni telefon mobilny, którego Rosjanin nie trzyma w kieszeni, torebce czy teczce, ale koniecznie w dłoni, bo też nie jest to – jak na Zachodzie – zwyczajne narzędzie komunikacji, ale symbol władzy, dokładnie jak królewskie berło. Na świecie jest to tani i i pospolity *gadget*, w Rosji – sygnał, że jego posiadacz jest „kimś".

Elisabeth Hedborg jest Szwedką, a Szwedzi zawsze z wielką dumą podkreślają, że są społeczeństwem chłopskiej kultury. Czasami brzmi to dość zabawnie, zwłaszcza w ustach osób, których rodziny od pokoleń nie mają związku z uprawą roli czy noszą dumne „von" przed nazwiskiem, ale i wtedy jest prawdą. W sferze mentalnej są Szwedzi nadal chłopskim społeczeństwem, żywiącym dużą nieufność wobec urbanizacji. Gales Sjöberg, wydawca interesującego *TOMORROW – Global Environement Business*, przypomniał niedawno, że większość Szwedów kojarzy duże miasta z wyobcowaniem, obojętnością na los bliźnich, przestępczością, zanieczyszczeniami powietrza i w ogóle gorszą jakością życia. Dlatego tak wielu Szwedów twierdzi, że „prawdziwą Szwecją" nie jest Sztokholm, ale prowincja. Pochodząca z takiego społeczeństwa Elisabeth Hedborg łatwo dała się przekonać, że każdy lądujący na Szeremietiewie cudzoziemiec powinien pamiętać, że „nie przybył do Rosji, ale do Mokswy", że Moskwa jest magiczną enklawą przedsiębiorczości i kapitalizmu, która pożera aż 70% wszystkich inwestycji w Rosji: zagranicznych oraz krajowych i że jest światem samym w sobie, mającym coraz luźniejszy związek z rosyjskim kontynentem. Co więcej, że istnieje niebezpieczeństwo nie tylko ekonomicznego, ale i kulturowego wyobcowania się z Rosji moskiewskiej enklawy, w której ton nadawać będą młodzi adwokaci, maklerzy i businessmeni, „bardziej zadomowieni w Nowym Jorku niż w pobliskiej Tule".

Mariusz Wilk pochodzi z zupełnie innego niż Elisabeth Hedborg społeczeństwa. Na tym większą zasługuje więc pochwałę, iż także on przestrzega przed oceną Rosji z perspektywy Moskwy. Błąd takiej oceny popełnia wielu dziennikarzy. Drukowane w tym samym, listopadowym numerze *Kultury* impresje Smecza powinny chyba jednak nosić tytuł „Z uko-

sa... z Moskwy", gdyż z treści ich nie wynika, czy autor widział choćby kawałek Rosji.

Podobnie jak Jerzy Boniecki nie jestem znawcą problemów rosyjskich. Znałem wprawdzie sporo rosyjskich stypendystów – nb. robiących znacznie bardziej europejskie wrażenie niż nieustannie podkreślający swoją „zachodniość" stypendyści polscy – ale nie uważam tej grupy za reprezentatywną, *ergo* – upoważniającą do formułowania jakichkolwiek, nawet amatorskich wniosków. Tak się jednak składa, że znając nordyckich businessmenów, którzy w Rosji mieszkają, robią interesy i są w tym kraju zakochani, często z nimi rozmawiam. Na podstawie tych rozmów oraz lektur specjalistów – kompetentnych, bo pracujących w Rosji dla wielkich firm multinarodowych – byłbym skłonny twierdzić, że inność Rosji jest mocno przesadzona.

W grudniu ubiegłego roku opublikowano wyniki ankiety, jaką Izba Handlowa Południowej Szwecji rozesłała do około 1500 przedsiębiorstw w tej części kraju. Z sondażu tego wynika, że zaledwie 1/3 ankietowanych firm bądź już ma nawiązane kontakty z rynkami Europy Centralnej i Wschodniej (z Rosją włącznie), bądź zamierza je w bliskiej przyszłości nawiązać. Zdumiewająco niska to liczba, zwłaszcza jeżeli uwzględnimy fakt, że 62% ankietowanych firm to typowe przedsiębiorstwa eksportowe, żyjące z działalności na rynkach zagranicznych, także Azji i Ameryki Łacińskiej. Jeszcze bardziej zdumiewać musi, że tym, co głównie odstrasza przedsiębiorców od krajów postkomunistycznych nie jest wcale bizantyjska ciągle biurokracja, przestępczość, bariery celne i podejrzliwość wobec obcych, ale fakt, iż Europa Centralna i Wschodnia postrzegana jest jako obszar nieokreślony, wręcz magmowaty i trudno pojmowalny. Swoisty to paradoks, że nie tylko Bułgaria, Ukraina czy Rosja, ale i sąsiednia w końcu Polska jest dla wielu szwedzkich przedsiębiorców mniej zrozumiała niż Malaje, Korea Południowa czy Chile. Choć jednak wielu z ankietowanych businessmenów w Europie postkomunistycznej bywało, jawi im się ona nadal jako klasyczna *terra incognita*, a więc widzą i opisują nie jej obraz rzeczywisty, a apriorycznie zmitologizowany.

Drugą grupą, która – już profesjonalnie – upowszechnia własne wyobrażenie Rosji jako obraz rzekomo obiektywny

jest cała czereda dawnych sowietologów, dziś na „rusologów" przemianowych. Na szczęście rozpad Związku Sowieckiego znacznie podważył prestiż tej licznej grupy profesorów, nadal głoszących tezy ze sobą sprzeczne; choć konsekwentnie podporządkowane kilku myślowym szablonom.

Twierdzenie, że do zrozumienia Rosji potrzebny jest jakiś wręcz mistyczny wgląd, gdy natomiast do rozumienia – powiedzmy – Chin, USA czy Australii wystarczy zwykła znajomość faktów i umiejętność ich analizy, nie może dziwić w ustach ludzi, którzy po prostu bronią swoich zagrożonych posad. Czasy są ciężkie, a zmiana kwalifikacji – trudna w pewnym wieku. Tym też należy tłumaczyć, że trzecią grupą, która gorliwie broni tezy o inności Rosji są wojskowi i lobbyiści przemysłu zbrojeniowego. Generałowie żadnej armii nie lubią, gdy im się zmniejsza tzw. stany liczebne; dotyczy to nawet armii rosyjskiej, w której żołnierze chorują z głodu, oficerowie popełniają samobójstwa, a która jednak liczy o jakieś 600 tysięcy żołnierzy za dużo. Redukcja liczebności armii niemieckiej o połowę, a amerykańskich sił lądowych o 60% też nie przebiegała bez oporów. Kuracja odchudzająca szwedzkich sił obrony, które pożerają rocznie 42 miliardy SEK zapowiada się boleśnie. Szwedzki naczelny wódz tak gorliwie więc malował rosyjskie zagrożenie, iż zarzucono mu wręcz świadome zniekształcanie analiz własnego wywiadu. Interesujący raport szwedzkiej grupy eksperckiej ESO stwierdza, że już w drugiej połowie lat 70-tych Związek Sowiecki nie był w stanie podbić środkami konwencjonalnymi kraju o wielkości i potencjale Szwecji; po roku 1991 możliwość inwazji stała się kompletną fikcją pod każdym względem: wojenno-materiałowym, transportowym, zaopatrzeniowym, nawet politycznym. A jednak całą szwedzką doktrynę obrony nadal opierano o założenie inwazji „Czerwonych", gdyż inna ocena zagrożenia prowadzić by musiała do redukcji budżetowych i osobowych, do mniejszych zamówień w przemyśle zbrojeniowym, do zmian w pracy sztabów czy całej struktury obrony totalnej. Wysocy oficerowie szwedzkich sił obrony, muszą liczyć się z faktem, że nawet bardzo przeciętny obywatel wie, że stan rosyjskich sił zbrojnych jest żałosny. I wtedy pozostaje już tylko powoływanie się na... inność Rosji, na ogrom i tajemniczość tego kraju, na możliwość ukrywania

lub przynajmniej błyskawicznego odbudowania rezerw, na mentalność imperialną i zdolność do nieograniczonych wyrzeczeń Rosjan.

Hubert Fromlet, główny ekonomista jednego z trzech największych banków Szwecji, widzi odmienność samej Rosji, ale w ramach całego bloku krajów określanych modnym terminem *emerging markets*, na których może zdarzyć się wszystko i nigdy nie ma pewnych lokat – nb. Fromlet podaje właśnie przykład Polski, która też ma duże problemy, chociażby bilans handlu zagranicznego.

Gdy czytam, że w Krasnojarsku 90% transakcji odbywa się według handlu wymiennego, to uderza mnie jedynie skala zjawiska, a nie jego charakter, gdyż handel wymienny, także między przedsiębiorstwami, występuje również w innych krajach postkomunistycznych. Mogę więc zgodzić się z Mariuszem Wilkiem, że ogrom Rosji warunkuje osobliwą monstrualność zachodzących w niej zjawisk, choć *nie każdy zachodni* obserwator musi sąd ten podzielać. Dla całkowicie kosmopolitycznych i skrajnie liberalnych analityków szwedzkiej firmy H&W, zarządzającej ulokowanym w Rosji 752 milionami SEK, bardziej egzotyczna od Rosji jest inność proeuropejskiej z pozoru Polski z jej agresywnie nacjonalistycznym Radiem Maryja, którego – wg szwedzkiej prasy – słucha 5 milionów Polaków, a które propaguje wrogość wobec Unii Europejskiej i posiada silną reprezentację w rządzącej dziś Polską AWS. Jeden ze stacjonujących w moskiewskim biurze szwedzkich analityków funduszu Alfred Berg Rurik wyznał niedawno, że rozumie rosyjską „walkę klanów" o pięć przeznaczonych do prywatyzacji kompanii naftowych, ze szczególnie atrakcyjnym ROSNIEFT na czele, ale nie pojmuje toczącej się na szczytach władzy w Polsce walki o przedmiot wychowania seksualnego w szkołach.

Niewątpliwie Rosja przeżywa dziś kryzys tożsamości, ale w dolegliwości tej wcale nie jest odosobniona. Duża część Rosjan żałuje gigantycznego subwencjonowania przez rząd sowiecki tzw. spożycia zbiorowego (prawie darmowe mieszkania, gaz, ogrzewanie, energia elektryczna, komunikacja, dopłaty budżetu do cen żywności, bezpłatne lecznictwo etc.), ale jednak nie należy się obawiać recydywy komunizmu. Rosjanie bowiem zdają sobie sprawę, że to spożycie było

bardzo nędznej jakości, a przy końcu istnienia imperium i tego było już bardzo mało. Obserwacje zachodnich businessmenów potwierdzają różne sondaże i rankingi, w których pozycja Ziuganowa ciągle spada, np. w rankingu, który 29 listopada ubiegłego roku opublikowała *Niezawisimaja Gazieta* wódz komunistów zajął 11 miejsce, a wyprzedzili go nawet Tatiana Djaczenko czy szef Gazpromu, Rem Wiachirew, skądinąd osobnik mało charyzmatyczny.

Jan-Olov Olsson – który pracował w Rosji dla kilku firm (w tym 5 lat dla Volvo), a obecnie jest zatrudniony w moskiewskim biurze firmy H&Q (Hasträer&Qviberg) – twierdzi, że tożsamościowy problem Rosji sprowadzić można do pytania, jaki będzie kapitalizm w tym kraju: – czy względnie cywilizowany, typu zachodniego, czy też kapitalizm *à la Papa Doc*. Prawdopodobnie nie wszyscy czytelnicy *Kultury* znają to ostatnie określenie (pierwszy raz użył go chyba Wade Davis w swojej pracy o Haiti) wyjaśnię, że kapitalizm, który zafundował swojemu krajowi François Duvalier opierał się o zasady: duże zyski dla dyrektora i kilku wielkich, głównie amerykańskich firm, ochłapy dla wyższej administracji, religia voodoo dla reszty narodu, a zachodnia pomoc charytatywna dla oddziałów *tontons macoutes*. Otóż wydaje się, że większość rosyjskich elit jest zwolennikami kapitalizmu *à la Papa Doc*. Mimo carskich prerogatyw prezydenta, duża część władzy spoczywa w dłoniach osławionych klanów: kilkunastu wielkich korporacji.

Osobliwością Rosji jest z jednej strony polityczna bierność społeczeństwa, a z drugiej – fakt, że wielu liczących się ciągle polityków (chociażby Niemcow, Primakow, generał Liebied' czy Anatolij Kulikow) nie ma żadnego zaplecza politycznego, a więc ewentualne poparcie wielkich korporacji jest dla nich bezcenne. Nie jest to jednak osobliwość typowa wyłącznie dla Rosji. Polityczną bierność społeczeństwa obserwujemy w wielu innych krajach, a w krajach Ameryki Łacińskiej poparcie wielkich firm, często obcych, jest dla polityka równie ważne co poparcie armii.

Podbudowując swoją tezę o inności Rosji, Mariusz Wilk powołuje się także na trwałość w tym kraju instytucji niewolnictwa: od handlujących żywym towarem kupców Rusi do współczesnych całkiem smerdów. Niestety, nie jest to argu-

ment przekonujący. Trzeba pamiętać, że z Rosji Jelcyna nie są jednak znane doniesienia o przymusowej pracy dzieci w kopalniach, co w Ameryce Łacińskiej jeszcze dziś zdarza się wcale często; wprawdzie urobek dzieci jest mniejszy niż dorosłych górników, ale też dzieciom płaci się znacznie mniej, a ich niski wzrost pozwala im pracować na czworakach nawet w najgorszych tunelach. Szwedzki koncern Ikea specjalizuje się w produkcji tanich mebli i wyposażenia mieszkań, a więc koszt siły roboczej musi być jak najniższy. Dlatego dyrektorzy koncernu Ikea nie widzieli niczego niewłaściwego, że u jego filipińskich podwykonawców zatrudniano dzieci; pracowały siedem dni w tygodniu (żadne wolne dni czy urlopy nie były przewidziane), ale za to krócej niż dorośli robotnicy, bo tylko 6 godzin dziennie.

Przedstawiciele skandynawskich firm w Rosji – na ogół ludzie dobrze znający świat i jego mroczne strony – nie widzą też niczego niezwykłego w nędzy wielu Rosjan, może i dlatego, że nie jest to zupełnie niewiarygodna nędza, znana im z Afryki i Ameryki Łacińskiej. Bieda występuje także w innych krajach postkomunistycznych, ot duża, szwedzka organizacja charytatywna zbierała minionej jesieni pieniądze dla łotewskich dzieci, które z powodu braku butów nie mogą chodzić zimą do szkoły. Nikogo nie szokują bezdomni w Moskwie, skoro są też bezdomni w Sztokholmie, a *Svenska Dagbladet* apeluje o dawanie im jałmużny.

Björn Löfström jest szwedzkim dziennikarzem-wolontariuszem, który 10 lat temu po prostu osiedlił się w Rosji i ma zamiar spędzić w niej resztę życia. Na łamach *Dagens Nyheter* (22 XII 1997) stwierdził on, że od Zachodu Rosja potrzebuje nie tyle jałmużny w postaci darów Czerwonego Krzyża, ile inwestycji, kontaktów, pomocy w kształceniu kadr, partnerskiej współpracy, więcej handlu, a mniej strachu i przesądów. Choć dla wielu brzmi to odpychająco – twierdzi Löfström – Rosjanie są tacy sami jak my.

Dalarna, 2 stycznia 1998

Stefan ABNER

Listy do Redakcji

15 grudnia 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie czytałem książki Jerzego Pomianowskiego, „Ruski miesiąc z hakiem" więc nie wiem co tam jest na mój temat. Natomiast w listopadowej *Kulturze* dotrzegłem jej omówienie pióra Kazimierza Dziewanowskiego, w którym ostro mnie atakuje. Twierdzi, że „świetnie pamięta" moje artykuły drukowane w 1968 r. w ówczesnej prasie w Warszawie wspierające komunistyczną władzę.

Coś jednak nie jest najlepiej z pamięcią redaktora/ambasadora. Konia z rzędem ktokolwiek znajdzie moje artykuły publikowane w tym czasie w Polsce i o takiej tematyce. A w ogóle w PRL ukazało się zaledwie kilka moich artykułów i to w wydawnictwach katolickich: w *Znaku*, *Tygodniku Powszechnym*, a następnie w *Ładzie*.

Natomiast w 1967 r. ukazała się nakładem Uniwersytetu Harvarda moja książka: „Poland's Politics". Już chociażby ze względu na rangę wydawnictwa przez szereg lat była dosyć popularna na Zachodzie. Książka była jednak na indeksie w Polsce, a nie brakowało i niewybrednych ataków na mnie. Właśnie w 1968 r. w broszurce „Za kulisami paryskiej *Kultury*" wydanej przez MON, przedstawiony zostałem jako jeden z czołowych ideologów dywersyjnej doktryny obalania komunizmu.

Pomimo zakazu – a może właśnie dlatego – moja książka miała dość szerokie grono czytelników w Polsce. Ewidentnie Dziewanowski nie był jednym z nich.

Z poważaniem

Adam BROMKE

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Adam Bromke ostro polemizuje z fragmentem mojej recenzji o książce Jerzego Pomianowskiego pt. „Ruski miesiąc z hakiem" (*Kultura* nr 11/602, listopad 1997). Pan Bromke pisze m.in.: [K.D.] „twierdzi, że 'świetnie pamięta' moje artykuły drukowane w 1968 w ówszesnej prasie w Warszawie wspierające komunistyczną władzę. Coś jednak nie jest najlepiej z pamięcią

redaktora/ambasadora. Konia z rzędem ktokolwiek znajdzie moje artykuły publikowane w tym czasie w Polsce i o takiej tematyce. A w ogóle w PRL ukazało się zaledwie kilka moich artykułów i to w wydawnictwach katolickich: w *Znaku, Tygodniku Powszechnym*, a następnie w *Ładzie*".

Otóż po sprawdzeniu okazało się, że nie jest z moją pamięcią tak całkiem źle, nie najlepiej jest natomiast z pamięcią pana Bromke. Nie prowadzę zbioru twórczości doradcy premiera Cimoszewicza, pomyliłem się tylko w jednym, jego dzieła ukazywały się w PRL nie w roku 1968, jak napisałem, tylko później – po wprowadzeniu w PRL stanu wojennego. Za tę pomyłkę przepraszam. Ale nie przepraszam za resztę.

Okazuje się bowiem, że pamięć nie dopisuje w istocie Panu Bromke. W roku 1982 w numerze z 5-6 czerwca, ukazała się w *Życiu Warszawy* obszerna rozmowa, a w roku następnym (1983), w tym samym piśmie, druga – w numerze 126. Ta druga rozmowa (wywiad przeprowadzała Ewa Boniecka) nosiła tytuł: „Trzeba pragmatyzmu", Cały, bardzo obszerny, wywiad prezentuje dwie główne tezy. Pierwsza: że polskie społeczeństwo jest pozbawione niezbędnego pragmatyzmu, co utrudnia mu wydobycie się z kryzysu. I druga: że USA prowadzą w stosunku do PRL fatalną politykę, a „neokonserwatyzm obecnej ekipy amerykańskiej jest intelektualnie prymitywny".

Co się tyczy społeczeństwa polskiego, to dręczący je kryzys, cytuję za *Życiem Warszawy*: „Jest to kryzys gospodarczy, którego przezwyciężenie przy nawet optymalnych warunkach musi zająć parę lat. Jest to kryzys społeczny... który na zewnątrz objawia się 'obrażeniem się na władzę'. Jest to kryzys niektórych dotychczasowych struktur politycznych, które ulegają przewartościowywaniu. Celem budowania czy odbudowywania więzi między społeczeństwem i władzą tworzy się nowe struktury jak PRON. Duże znaczenie ma tu działalność Sejmu. Nie widzę jednak dostatecznego zbliżenia między władzą a społeczeństwem. W niektórych kręgach społecznych nadal kultywuje się fantazje i 'pobożne życzenia'. Władza bez społeczeństwa nie może poprawić jego losu".

Tyle myśli Adama Bromke z *Życia Warszawy* w roku 1983 (nb. wydrukowanych obok wiadomości o wyroku śmierci dla Zdzisława Najdera). Dla wyjaśnienia: 1) *Życie Warszawy* nie było w stanie wojennym ani w ogóle nigdy pismem katolickim, 2) Rozmowy tam wydrukowane były właśnie „o takiej tematyce". Powtarzały podstawową tezę Jerzego Urbana o dychotomicznym podziale na „władzę i „społeczeństwo". Wspierać miały tę pierwszą, przeciw temu drugiemu.

Ponadto, wbrew temu co napisał w liście, pan Bromke opublikował także inny tekst („Słoń a sprawa świata") w piśmie stworzonym w stanie wojennym : *Tu i teraz* (nr 26 z roku 1983). W roku zaś 1984 wydrukował inne swe dzieło w *Rzeczypospolitej*, która była przecież wtedy gazetą rządową, a nie katolicką. Drukował też w r. 1979 w *Odrze*. Dalszych poszukiwań już nie prowadziłem. Tyle co do wiarygodności twierdzenia, że „w PRL ukazało się zaledwie

kilka moich artykułów i to w wydawnictwach katolickich". Warto też przypomnieć, że *Ład*, o którym Bromke wspomina i gdzie istotnie nieraz drukował, to nie był *Tygodnik Powszechny*, lecz pismo o opinii raczej „licencjonowanego".

W zakończeniu swego listu pan Bromke sugeruje, że był w latach sześćdziesiątych ofiarą prześladowań cenzury w PRL. Warto więc przypomnieć co napisał o Bromkem w roku 1974 jeden z największych publicystów politycznych, jakich Polska miała, Juliusz Mieroszewski (*Kultura,* nr 11/326, „Księgi ugody i diaspory Adama Bromke", tekst zamieszczony również w tomie: „Materiały do refleksji i zadumy"): „Bromke chciałby emigrację polityczną przekształcić w zagraniczną ekspozyturę PAX-u... Wychodzi z założenia, że *status quo* w Europie Wschodniej jest konstrukcją trwałą – to znaczy, że w wymiarze ludzkiej polityki trwać będzie bez większych zmian przez następne stulecia... Polska w takiej sytuacji liczyć może tylko na pewną autonomię, która będzie tym szersza, im Rosjanie będą nas pewniejsi. Jeżeli przestaniemy mówić o wolności słowa, o demokracji, o niezależnych związkach zawodowych – jeżeli przestaniemy popierać dysydentów rosyjskich – to zaufanie Rosjan do nas powoli zacznie wzrastać... Tę samą filozofię według Bromkego należy stosować w odniesieniu do sytuacji wewnętrznej Polski".

Nota bene, jedna z „rozmów" Bromkego w *Ładzie* nosiła tytuł: „Tyle wolności, ile jest możliwe" (*Ład*, nr 29 z r. 1983).

Taka jest prawda o postawie i działalności Adama Bromke, nie jest zaś prawdą to, co sam o sobie napisał w liście. Dlatego też uważam za słuszne (co podkreśliłem w recenzji) wszystko, co o nim napisał Jerzy Pomianowski. I podtrzymuję mój zapisany w tej recenzji wniosek: „Przebywając sam w Kanadzie, drukował w ówczesnej prasie w Warszawie pouczenia dla Polaków, że należy, po pierwsze, uznać system jałtański i pogodzić się z tym, że żyjemy w sowieckiej strefie wpływów, po drugie, że należy być posłusznym rezydującej w Warszawie władzy. Na szczęście Polacy nie posłuchali Bromkego".

Pozostaje jeszcze sprawa konia z rzędem, który w swym liście obiecał Adam Bromke, a który bez wątpienia mi się należy. Nie przyjąłbym jednak od niego ani konia z rzędem, a rządem, nie kupiłbym też używanego samochodu.

Kazimierz DZIEWANOWSKI

●

Warszawa, 20.11.1997

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do informacji o zakupach taboru kolejowego przez Polskie Koleje Państwowe, opublikowanej w „Notatkach" Pana Redaktora w nr 4/595 z 1997 r., na str. 118-119, uprzejmie wyjaś-

niamy, że: w dniu 23 grudnia 1996 r. Polskie Koleje Państwowe zawarły z Fabryką Wagonów „Pafawag" Sp. z o.o. wieloletnią umowę na dostawę dla PKP 50-ciu nowoczesnych lokomotyw elektrycznych dużej mocy, mogących prowadzić pociągi z prędkością 200 km/h. Podpisanie umowy było warunkiem zakończenia prowadzonego od kilku lat przez ówczesne Ministerstwo Przekształceń Własnościowych procesu prywatyzacji Fabryki Wagonów „Pafawag" Sp. z o.o. i sprzedaży 75% udziałów w tej fabryce inwestorowi zagranicznemu, międzynarodowemu konsorcjum ADtranz.

Nowo powstałe, po sprzedaży przez MPW udziałów w „Pafawagu", Przedsiębiorstwo „ADtranz Pafawag" Sp. z o.o., które przejęło wszystkie zobowiązania Fabryki Wagonów „Pafawag", będzie produkować dla PKP lokomotywy spełniające nasze wymagania, odpowiadające kierunkom naszej polityki taborowej, swoimi rozwiązaniami technicznymi nie odbiegające od najnowocześniejszych lokomotyw eksploatowanych w Unii Europejskiej, umożliwiając prowadzenie pociągów również w krajach UE.

Pierwsze osiem z 50-ciu zamówionych lokomotyw, to lokomotywy dwusystemowe, mogące pracować zarówno przy zasilaniu prądem stałym (jak w Polsce), jak i prądem zmiennym (jak np. w Niemczech), bazujące w sensie konstrukcyjnym na lokomotywach dwusystemowych, produkowanych przez konsorcjum ADtranz we Włoszech dla kolei włoskich. Trzy pierwsze lokomotywy dwusystemowe dla PKP są kompletowane we Włoszech (z niewielkim, na razie, udziałem elementów wytworzonych przez ADtranz Pafawag), natomiast pozostałe lokomotywy dwusystemowe i wszystkie lokomotywy jednosystemowe będą montowane w ADtranz Pafawag, z narastającym udziałem elementów wytwarzanych w tym Zakładzie, co w przyszłości będzie procentowało opanowaniem nowoczesnych metod i technologii wytwarzania, zarówno w firmie Pafawag, jak i u kooperantów, umożliwiając produkcję w kraju nowoczesnych i niezawodnych pojazdów szynowych.

Jednocześnie informuję, że w ramach zrealizowanego przez firmę ADtranz (dawne ABB Henschel) kontraktu na dostawę dla PKP nowoczesnych wagonów klimatyzowanych typu Z1, Zakłady H. Cegielskiego w Poznaniu, współpracując przy jego realizacji, opanowały technologie i organizacje umożliwiające wykonanie obecnie już we własnym zakresie nowoczesnych i bardziej niezawodnych wagonów, spełniających wszystkie wymogi stawiane przez Międzynarodowy Związek Kolei UIC.

Reasumując, uważamy, że mając możliwość zakupu nowoczesnego taboru w kraju, Polskie Koleje Państwowe poprzez tego typu działania, nie przyczyniają się do degradacji polskiego przemysłu, lecz stają się kreatorem jego rozwoju.

Z wyrazami szacunku

Jan JANIK
Prezes Zarządu PKP
Dyrektor Generalny

Edmonton, 28.11.1997

Szanowny Panie Redaktorze,

W jednej z kotlin bieszczadzkich na południe od Wysowej, już przy samej granicy słowackiej, natknąłem się na zbiorowy grób lotników z polskich eskadr w Anglii. Na kamieniu napis:

Pamięci
7 lotników polskich
nieznanego nazwiska
niosącym z Włoch pomoc
dla powstańców Warszawy
poległych w Banicy
we wrześniu 1944 r.
w 25 rocznicę śmierci

Społeczeństwo powiatu
gorlickiego

Dla zainteresowanych mam zdjęcie kamienia. Dziwiłem się, że lotnicy nieznani. Wiadomo, że startowali z Brindisi we Włoszech. Miejscowy Łemko, który ułatwił mi znalezienie kamienia, nie dziwił się brakowi identyfikacji: „spaleni i dokumenty spalone, tylko guziki zostały". Łemko był przy pogrzebie siedmiu nieznanych jako mały chłopiec. W Brindisi już na pewno śladów nie ma po polskiej eskadrze, ale chyba w polskim Londynie, a może angielskim, nazwiska zostały na pewno odnotowane. Byłem już wtedy pilotem w RAFie i mam wysoką opinię o angielskich praktykach ewidencyjnych. Warto by podać nazwiska fundatorom kamienia w Gorlicach. A i krewni by chcieli wiedzieć, jeśli dotąd nie wiedzą, gdzie leżą ich bliscy. Kamień pamiątkowy znajduje się po zachodniej stronie i w połowie drogi ze wsi Banica do wsi Krzywa, ukryty w rozbujałych krzewach. Na mapie turystycznej 1:125.000 jest oznaczony jako „Pomnik lotników".

W numerze czerwcowym są ciekawe uwagi Krzysztofa Czyżewskiego o nacjonalizmie państwowym na tle napięć rumuńsko-węgierskich w Siedmiogrodzie. Czyżewski cytuje „Banal nationalism" Billiga: „myślenie w nacjonalistycznych kategoriach nieustannie ujawnia się w języku brytyjskiej i amerykańskiej polityki czy też w języku codziennej prasy". Dobrze to zauważyć i odetchnąć, że to nie tylko my.

Łączę słowa poważania

Karol J. KRÓTKI

Toronto, 9 grudnia 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

Gwoli prawdzie, prostuję następujące informacje podane w *Kulturze* w dziale „Wydarzenia miesiąca – Zachód". W numerze 9/600 *Kultury* podano o śmierci prof. Zbigniewa Mariana Fallenbuchl, który urodził się 4-go listopada 1924 r, a zmarł 16-go lipca 1997 r., czyli nie miał jeszcze 73 lat a nie 83 lata.

W numerze 11/602 zamieszczono notatkę o uroczystościach jubileuszowych Związku Polaków w Kanadzie. Związek obchodził 90-tą rocznicę powstania organizacji a nie 50-tą.

Łączę wyrazy poważania i najlepsze życzenia na Boże Narodzenie i na Nowy Rok – dużo zdrowia i sił do kontynuowania wydawnictwa.

Stanisław T. i Krystyna ORŁOWSCY

●

Szanowny Panie Redaktorze,

Z radością znalazłem w grudniowym numerze *Kultury* (12/63) mój szkic „Historia spuszczona z łańcucha". Żałuję, że do tekstu tego zakradło się kilka błędów, zapewne z przyczyn technicznych. Zniekształciły one jednak nawet sens ważnego świadectwa o wojnie 1920 r., pochodzącego z diariusza Kazimierza Świtalskiego. Powinien on brzmieć, jak następuje:

„Demoralizowanie armii bolszewickiej przez dezercję na naszą stronę jest utrudnione wskutek zaciętego i bezwzględnego wyrzynania jeńców przez naszych żołnierzy..."

Również w licznych fragmentach „Dziennika 1920" Izaaka Babla, cytowanych w szkicu – gdzie mowa o rzeziach jeńców polskich, którzy dostali się w ręce czerwonych Kozaków Budionnego, termin „wyrzynanie" zastąpiony jest terminem „wyżynanie", jakby chodziło o żęcie zboża. Chociaż samosądy po stronie polskiej były o wiele mniej liczne i odmienny był do nich stosunek dowództwa (jak świadczy przykład samego Świtalskiego), jednak proszę o przywrócenie równowagi przynajmniej na polu ortografii.

Łączę wyrazy czci i oddania

Jerzy POMIANOWSKI

●

Calgary, 4 stycznia 1997

Szanowny Panie Redaktorze!

Z dużą przykrością muszę zawiadomić, że rezygnuję z prenumeraty *Kultury*. Z Polski wyjechałem w 1979 r. i prawie też od tego czasu byłem stałym czytelnikiem Pana pisma. Chciałbym również nadmienić, że *Kultura* w tych niełatwych czasach emigracji była dla mnie dużą podporą i bardzo ważnym kontaktem z krajem.

Kultura była zawsze dla mnie synonimem walki o niepodległość Polski oraz podtrzymanie kultury narodowej. Zasługi na tym polu, dzięki Panu, przejdą na trwałe do kultury polskiej. Niestety od dłuższego czasu, punktem zwrotnym był chyba rok 1989 i właściwie poparcie dla „grubej kreski", linia pisma uległa diametralnej zmianie. Wyłączna troska o interesy innych narodów, innych państw, ataki pana Pospieszalskiego na kościół katolicki, Pana kontakty z komunistycznym prezydentem Kwaśniewskim oraz redakcyjne komentarze świadczą o tym, że żywotne sprawy Polski – Polski niepodległej i silnej są Panu zupełnie obce, a na pewno na tyle odmienne od moich, że dalsza prenumerata i mój wewnętrzny dialog z Panem jest bez sensu.

Dochodzę też do wniosku, że być może profil Pana pisma nie uległ zmianie, lecz że to ja „zmądrzałem" – przeszło 30 lat w państwie komunistycznym miało duży (demoralizujący) wpływ na moje wychowanie i poglądy; dużo czasu upłynęło zanim trochę bardziej zacząłem rozumieć stosunki pomiędzy Wschodem i Zachodem i pewnie dużo czasu upłynie jeszcze zanim będę mógł powiedzieć, że trochę mniej zostało do zgłębienia tajemnic tego świata.

Z poważaniem

Bonifacy PULWICKI

P.S. Mam nadzieję, że list ten ukaże się w *Kulturze*.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M.R., Chicago: – **Artykułu „Jeden głos dla przyzwoitości" nie zamieścimy.**

S.M., Bydgoszcz: – **Przesłanych wierszy z braku miejsca nie zamieścimy. Nasz dział poetycki jest, niestety, bardzo szczupły.**

M.W., Paryż: – **Pana tekstu poetyckiego „Ściana" nie wykorzystamy.**

Zb.W., Warszawa: – **Nie zamieścimy. Zbyt dużo demagogii.**

Adam F.K., Poznań: – **Przesyłając jeden tylko – zręczny, ale błahy – wiersz, nie pozostawił Pan redakcji żadnego wyboru, nie pozwolił Pan też zorientować się w skali Pańskich poszukiwań.**

Maria K., Będzin: – **Pisanie wierszy nigdy nie jest, jak Pani pisze, „zawracaniem głowy". Nie wszystkie jednak utwory przeznaczone są dla wszystkich – niektórym wystarczy, że się je samej po latach przeczyta.**

Grzegorz B., Łódź: – **Pomysł poematu wydaje się interesujący, wszakże szereg formuł tu wprowadzonych – np. „ojczyzna bezwzględnej nadziei" czy „krew jej ciała weź za imię miasta/ i podanie ręki" – są delikatnie rzecz nazywając, zagmatwane.**

Szymon M. , Poznań: – **cykl wierszy odwołujący się do inskrypcji nagrobnych nie jest pomysłem nowym. Z przysłanego przez Pana zbioru trudno wyjąć jeden utwór, który by się obronił poza kontekstem pozostałych.**

Adam K., Warszawa: – **Wiersze Pana, bez wątpienia mające wartość dokumentu, zniechęcają natrętną stylizacją. Czy pies naprawdę musi nosić imię Kordiana?**

Władysław W., Paryż: – **Pana utwory są bez wątpienia świadectwem wrażliwości moralnej. Niestety – ich wartość artystyczna jest dużo niższa.**

Irena Thiel, Ann Arbor, MI (USA) dla uczczenia pamięci Siostry śp. Antoniny Thiel, w pierwszą rocznicę Jej śmierci 17 II 1998 – dol. 500,00 ..... F. 3.000,00

Jadwiga Ungar, Irvington, NJ (USA) – po raz 6-ty – dol. 100,00 ..... F. 600,00

Krystyna Wasung, Genewa – dla uczczenia pamięci Rodziców Marii i Aleksandra i Brata Andrzeja – Fr.szwaj. 100,00 ..... F. 400,00

W trzecią rocznicę śmierci Marii Topperman – Wojciech, Caroline i Noemi Topperman (Downsview, ON, Kanada) ..... F. 350,00

Zamiast kwiatów na grób Grzegorza Nawrockiego, zmarłego 14.01.98 od Jadwigi i Jerzego Jankowskich z Coquitlam BC (Kanada) ..... F. 300,00

Otrzymaliśmy sumę dol. US 500,00 pozostawioną przez naszego długoletniego czytelnika, śp. Stanisława Merło, prezesa krajowej SPK w Brukseli, przeznaczoną na Fundusz Kultury „dla uczczenia pamięci Przyjaciela Witka Zahorskiego przez Stasia Merło z Merliszek" F. 3.000,00

●

Eleonora Jędrysek, Nowy Jork, przekazała na Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu dol. 100,00 ..... F. 600,00

Witold i Renata Mikułowscy, Warszawa – zamiast kwiatów na grób Państwa Langrodów, przekazują na Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu ..... F. 270,00

Tadeusz Wyrwa, Paryż na Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu ..... F. 500,00

DZIĘKUJEMY

KSIĄŻKI

Adam Sikora: *Oświecenie i zło* 134
Leszek Szaruga: *Wykorzenienie i powrót* 139
M. Broński: *Sól ziemi* 142
Piotr Wandycz: *Lux et veritas* 145
– *Nadesłane nowości wydawnicze* . 147

●

– *Wydarzenia miesiąca* 150

WOLNA TRYBUNA

Andrzej Micewski: *„Kultura" coraz potrzebniejsza* . 153

POLEMIKI

Stefan Abner: *Inność rzeczywista czy imaginacyjna* 160

●

A. Bromke, K. Dziewanowski, J. Janik, K.J. Krótki, St. i K. Orłowscy, J. Pomianowski, B. Pulwicki: *Listy do Redakcji* 167
– *Odpowiedzi Redakcji* 174

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1ère trimestre 1998.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obł.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1998		
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: **Barbara Malak-Minkiewicz**, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260,fax: (613) 789-1051; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	$ can.13,00	$ can.75,00	$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 Münehen, tel.: (089) 54-21-80; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; **POLONIA Bookstore,** 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books**, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 325-5590 & (650) 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»**, 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru – F 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA" (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE" (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464 **Cena F. 200,00**

●

Tom 502 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DWUDZIESTY TRZECI

zawiera opracowania: B. Nitschke: ***Polacy wobec Niemców. – Odpowiedzialność Niemców za zbrodnie wojenne;*** **M. Radomski:** ***Sprawa pozbawienia prawa wykładu docenta UJ, dra Włodzimierza Kubijowicza w czerwcu 1939 roku;*** **K. Rutkowski:** ***W stronę poezji czynnej. Adam Mickiewicz w Collège de France;*** **Adam Mickiewicz:** ***Wykłady literatury słowiańskiej;*** **A. Grzywacz:** ***Relacja płk. dypl. Andrzeja Mareckiego dla Komisji Badawczej do spraw Przyczyn Klęski Wrześniowej;*** **J.J. Milewski:** ***Polsko-białoruskie komisje podręcznikowe;*** **A. Suchcitz:** ***Jeszcze o ochotniczce PWSK Ligii Żółkiewskiej;*** **J. Lewandowski:** ***Gen. Sikorski a Zagłada*****; LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240 **Cena F. 90,00**

Cena 55 FF

I.N., 93400 St-Ouen - 2669-1998